



# Rawi Hage

**W CO GRAŁ DE NIRO**

Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

**Nagroda literacka IMPAC 2008**

# Rawi Hage

**W CO GRAŁ DE NIRO**

Przełożyła Agnieszka Lakatos



Państwowy Instytut Wydawniczy

„...a wszere na dziesięć tysięcy”  
Księga Ezechiela (45, 1), Biblia Gdańska

Jak ukryć się przed tym, co nigdy nie zachodzi?”.  
Heraklit z Efezu, *Zdania*, przeł. Adam Czerniawski

„Mam brudne ręce. Aż po łokcie.  
Unurzałem je w gównie i we krwi”.  
Jean-Paul Sartre, *Brudne ręce*

*Dla moich rodziców*

**Część pierwsza**

**RZYM**

# 1

Spadło już dziesięć tysięcy bomb, a ja czekałem na George'a.

Dziesięć tysięcy bomb spadło już na zatłoczone miasto Bejrut, a ja leżałem na niebieskiej kanapie, na którą dla ochrony przed kurzem i brudnymi stopami narzucono białe prześcieradła.

„Czas stąd jechać”, myślałem.

Radio mojej matki grało. Grało od początku wojny – radio zasilane bateriami Rayovac, które nie wyczerpują się przez dziesięć tysięcy lat. Radio mojej matki miało obudowę z tandetnego zielonego plastiku pełnego dziur i smug pozostawionych przez jej zabrudzone w kuchni palce oraz kurzu, który wciskał się w szczeliny przy pokrętkach. Nic nie mogło powstrzymać płynących bezustannie z radia melancholijnych pieśni Fajruz.

Nie uciekałem od wojny. Uciekałem od Fajruz, tej uprzykrzonej pieśniarki.

Nadeszło lato, nastały upały; okolica spalona była promieniami zawieszono nisko słońca, które prażyło nam mieszkanie i dach domu. W dole pod naszym białym oknem po wąskich uliczkach nonszalancko przechadzały się chrześcijańskie koty, które nie żegnały się ani nie klękały na widok czarno odzianych księży. Po obu stronach ulicy na wysokich chodnikach stały zaparkowane samochody, blokując przejście smutnym, wycieńczonym, z trudem oddychającym przechodniom, którzy każdym krokiem i każdym drgnieniem mięśni twarzy obwiniali Amerykę za swe nieszczęśliwe życie.

Z nieba lał się żar i spadały bomby, a bandyci bez kolejki wpychali się po chleb, kradli jedzenie słabszym, terroryzowali piekarza i obściskiwali jego córkę. Bandyci nigdy nie stali w kolejce.

George zatrąbił.

Do moich okien dolatywały już trujące czarne spaliny z jego motocykla, do pokoju dochodził głośny warkot silnika. Ruszyłem w dół po schodach, przeklinając po drodze Fajruz, „tę makabrycznie zawodzącą pieśniarkę, która zmienia moje życie w piekło”.

Matka schodziła właśnie z dachu z dwoma wiadrami w rękach – kradła wodę ze zbiornika sąsiadów.

Nie ma wody, powiedziała. Pojawia się jedynie na dwie godziny dziennie.

Jak zwykle wspomniała coś o jedzeniu, ale ja tylko pomachałem jej i zbiegłem na dół.

Wskoczyłem na motor George’a i pojechaliśmy głównymi ulicami miasta, na które spadały bomby, na których dawniej saudyjscy dyplomaci zaczepiali prostytutki, na których tańczyli starożytni Grecy, które najeżdżali Rzymianie, na których Persowie ostrzyli miecze, Mamelucy kradli wieśniakom jedzenie, krzyżowcy jedli ludzkie mięso, a Turcy zrobili z mojej babci niewolnicę.

Wojna jest dla bandytów. Motocykle też są dla bandytów oraz dla długowłosych nastolatków takich jak my, z pistoletami przy pasie, z kradzioną benzyną w baku, bez konkretnego celu podróży.

Zatrzymaliśmy się na miejskim wybrzeżu, na podjeździe prowadzącym na most, a George powiedział:

Jest *maszkal*\*.

Mów, rzuciłem.

Jeden facet, nazywa się chyba Szafik al-Azrak, parkuje samochód koło domu mojej ciotki Nabili. Kiedy odjeżdża, rezerwuje sobie prawo do tego miejsca. Przesunąłem dwa wytyczające je słupki, żeby ciotka mogła zaparkować. Zaparkowała, a potem weszliśmy do niej na kawę. A ten Szafik puka do jej drzwi i mówi, żeby przestawić samochód, bo to jego miejsce. Ciotka na to, że to miejsce ogólnodostępne... On ją zaczyna wyzywać... Ona krzyczy... Wyciągam pistolet, przystawiam mu do twarzy i wyrzucam go z domu. On zbiega po schodach i już z dołu mi wygraża. Ale my mu pokazemy, co, cichy?

---

\* problem (arab.)

Słuchałem i kiwałem głową. Potem znowu wskoczyliśmy na motor i jechaliśmy pośród spadających kul, na nic nie zważając. Przebiliśmy się przez tumult wojskowych śpiewów i tysiąca stacji radiowych, z których każda ogłaszała zwycięstwo. Gapiliśmy się na krótkie spódniczki umundurowanych kobiet i oglądaliśmy się za udami licealistek. Jechaliśmy bez celu, ni to żebracy, ni złodzieje, dwóch napalonych Arabów o kręconych włosach, w długich amerykańskich džinsach i rozchełstanych koszulach, z paczkami marlboro wetkniętymi w zakasane rękawy, wyrzutki społeczeństwa, uzbrojeni w pistolety bezlitośni nihilisci o nieświeżym oddechu.

Zobaczymy się w nocy, powiedział George, zostawiając mnie przed domem. I odjechał.

Nadeszła północ; okolicę wypełnił ryk motoru George'a. Podeszedłem do uliczki, w której mężczyźni oglądali nadawany w piątkową noc egipski film, palili na maleńkich balkonach, pociągali zimne piwo i arak, rozłupywali świeże zielone migdały i wstrętnymi pożółkłymi palcami rozgniatali amerykańskie papierosy w zdobionych na ludowo popielniczkach. We wnętrzach ich domów zubożałe kobiety oszczędnie polewały wodą z czerwonych plastikowych wiader swoje brązowe ciała w pradawnych tureckich wannach, spłukując z siebie kurz, zapachy, cienką jak warstwa baklawy skorupkę brudu, złośliwe poranne plotki przy maleńkich filiżankach kawy, ubóstwo swoich mężów, pot spod nieogolonych pach. Myły się skrupulatnie, jak chrześcijańskie koty liżące sobie łapy w ukryciu pod silnikami małych europejskich samochodów, z których wycieka korporacyjna ropa wydobywana przez uciskanych nigeryjskich robotników z wnętrza ziemi, gdzie wałęsają się diabły, a robaki obgryzają korzenie martwych drzew poduszonych przez fabryczne opary i chciwe oddechy białych inżynierów. Leniwe koty spędzają czas pod niemytymi samochodami, obserwując mijające je włoskie buty, malowane paznokcie, kolorowe, postrzępione nogawki, wysokie obcasy butów o zaostrzonych noskach, plastikowe płetwy, tupiące bosc stopy i rozkosznie obnażone kostki, które przewiązują czyjeś grube dłonie, a potem podciągają wiązanie wyżej, ku miejscu, gdzie sączy się ciepła wilgoć, ostrożnie, lecz



hojnie wzbierająca delikatnym zapachem węgorka, czerwonego rybiego mięsa i wody różanej.

Pędziliśmy w stronę domu ciotki George'a. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, George powiedział: To samochód Szafika al-Azraka. Wyciągnął pistolet. Dodałem gazu, aż silnik zaczął ryczeć. George strzelał w opony auta, uwalniając z nich powietrze. Potem celował wyżej, w reflektory, drzwi, zaciemnione szyby, siedzenia i własne odbicie w lusterku. Strzelał cicho, tanecznym krokiem okrążał samochód, mierzył i znowu pociągał spust. Karoserię rozpruwały szybkie serie zabójczych kul, zostawiając w niej gęszcz miniaturowych dziurek. Groźny i zabawny akt zemsty, podobał mi się.

Kiedy było po wszystkim, uciekliśmy z miejsca zdarzenia. Prowadziłem motocykl przez uśpione dzielnice, wzdłuż niekończących się szeregów drewnianych drzwi. Czułem, jak pistolet George'a ociera mi się o plecy. Wyjechaliśmy na otwartą drogę, a nasze bawełniane koszule z ulgą powitały wiatr, który pieścił skórę i wibrował w uszach. Jechałem szybko, z impetem, wiatr smagał mnie po oczach, wpadał do nozdrzy i do płuc. Przecinałem ulice potłuczonych latarni, ścian pokrytych dziurami po kulach, rozlanej krwi tworzącej ciemne plamy na zakurzonych, zaniedbanych chodnikach. Jechałem, czując w żyłach pragnienie, a w piersi ozdrowiający, świeży powiew. Ponad moim ramieniem ciężko oddychał George, jak wściekły pies zwycięsko wyjący na wietrze zanosił się demonicznym śmiechem.

Koktajl, krzyknął mi do ucha. Jedźmy na koktajl! Szybko wykonałem ostry skręt. Niczym mongolski jeździec zarzuciłem maszyną George'a, aż tylne koło zawirowało, miazdząc drobne kamyki. Z ziemi uniósł się szary kłęb kurzu, a ja zawróciłem i pojechałem prosto do całonocnego baru ze świeżymi sokami przy autostradzie po drugiej stronie miasta, w dzielnicy ormiańskiej, z dala od Turków, którzy zrobili z mojej babci niewolnicę. Minęliśmy kino Lucy, gdzie młode wyrostki i nałogowi onaniści wpatrywali się w ogromny ekran, na którym Amerykanki o bujnych piersiach były pośpiesznie rżnięte przez facetów o wielkich kutasach, przebrani za kowbojów lub nauczycieli z typowymi dla lat siedemdziesiątych fryzurami afro, przy dźwiękach jazzu, nad brzegiem ekskluzywnych basenów, w towarzystwie ubranych w białe fartuszki pokojówek, które zostawiły swoje i tak ledwo widoczne spódniczki gdzieś na zapleczu, na drzwiach reżysera lub na siedzeniu samochodu

operatora, a teraz kręciły wyzwolonymi tyłeczkami na skraju plastikowych leżaczków, gotowe w każdej chwili serwować czerwone koktajle z papierowymi parasoleczkami.

W barze ze świeżymi sokami piliśmy z George 'em napoje z mango, twarogu, miodu i orzechów.

Siedzieliśmy, sącząc pomału koktajle, oblizywaliśmy palce i rozmawialiśmy o pistolecie, o tym, jak cicho strzela.

Dziesięć tysięcy bomb przedarło się już przez wiatr, a matka wciąż tkwiła w kuchni, paląc długie białe papierosy. Od stóp do głów ubrana na czarno, na znak żałoby po dwóch ojcach – swoim i moim. Gotowała wodę na kuchence gazowej, kroїła mięso na desce i wypuszczała dym z papierosów na pozostałość ściany i przez stłuczone okno. Tu, w jej kuchni, wylądowała bomba, wyszarpała ogromną dziurę w murze i zapewniła nam fantastyczny widok na bezkresne niebo. Mieliśmy ją załatać dopiero zimą, gdy spadną deszcze i spłuczają ziemię znad wszystkich pochowanych przez nas ciał. To tu, w tej właśnie kuchni, umarł mój ojciec; jej ojciec zginął na północ od miasta.

Gdy następnego dnia George odwiedził ciotkę, jej samochód stał zaparkowany na miejscu Szafika al-Azraka.

Szafik al-Azrak przyszedł rano, przeprosił i zaproponował wspólne korzystanie z miejsca, powiedziała ciotka George'a, bawiąc się ufarbowanymi na rudo włosami. Ciotka Nabila była grubo po czterdziestce. Pracowała w banku. Nie wyszła za mąż, wyglądała ponętnie i zachowywała się kokieteryjnie – nosiła krótkie spódniczki, wysokie obcasy i bluzki z głębokim dekoltem, które eksponowały jej bujne i śmiałe piersi. Nazywała George'a Gargotkiem, przezwiskiem z dzieciństwa, co wprawiało go w zakłopotanie.

Często mijałem dom ciotki Nabili, szukając George'a. Ona zaś często otwierała drzwi w samej koszuli nocnej, z papierosem zawieszonym u wydatnych ust. Fantazjowałem, że zaprasza mnie do siebie na kawę, proponuje wodę przy stole w kuchni, z czcią klęka przed moim pępkiem, rozpina japońskiej produkcji rozporek, chwyta w usta kropelki mojego sekretnego płynu i słodkim, kokieteryjnym głosem zapewnia mnie, że George'a u niej nie ma.

„Chyba jest w pracy?“, mówiła w mojej fantazji. „Gargotek jest przecież w pracy!“.

George, mój przyjaciel z dzieciństwa, pracował w salonie automatów do gry w pokera. Pobierał pieniądze od hazardzistów spędzających całe dni przy maszynach o migających zielono maleńkich ekranach. Uderzali w przyciski i przegrywali biżuterię swoich żon, domy i gaje oliwne ojców, ubranka dzieci. Maszyny wysysały wszystko, co posiadali; asy i roześmiane dzokery opróżniały ich poliestrowe kieszenie. George zbierał od nich pieniądze i nastawiał automaty, sprzedawał im whisky i papierosy, sprzątał w łazienkach, otwierał drzwi, regulował klimatyzację, zmiatał kurz, opróżniał popielniczki, wszystkiego pilnował, a kiedy zjawiali się falangiści\*, pakował pieniądze w zaklejone torby, oddawał im je, wsiadał na motor i odjeżdżał.

Musi być jakiś sposób, żeby coś z tego podebrać, powiedział kiedyś, gdy go odwiedziłem. Wchodzisz w to?

Abu Nahra poucina nam głowy, jeśli się dowie, że kradniemy.

No tak, ryzykowna sprawa, ale musi być jakiś sposób.

Chcesz dymać falangistów? – zapytałem.

George wzruszył ramionami i zaciągnął się tłustym czarnym haszem; przymknął oczy, zatrzymując dym w wychudzonej piersi. A potem powoli, z zamkniętymi oczami wypuścił go, wyciągnął rękę niczym ramię krzyża, wyprostował dwa palce i podał mi skręta.

Bomby spadały jak monsunowy deszcz w dalekich Indiach. Targał mną niepokój; rozpaczliwie potrzebowałem lepszej pracy i większych pieniędzy. Pracowałem w porcie jako operator wciągarki. Wyładowywaliśmy broń z pokładów statków. Na skrzynkach widniały napisy po hebrajsku, angielsku i arabsku. Zdarzały się dostawy ropy; musieliśmy wówczas doprowadzać ją rurami do ciężarówek. Z Turcji przywożono owoce. Stamtąd też pochodziły wymęczone chorobą morską, zakatarzone i beczące ze strachu owce. Wyładowywaliśmy wszystko. Podczas dostaw broni cały teren otaczały jeepy falangistów. Rozładunek zawsze odbywał się w nocy i mieliśmy zakaz używania światła, nawet papierosa nie można było

---

\* Falangiści – członkowie milicji Falangi, chrześcijańskiej partii prawicowej. W libańskiej wojnie domowej milicja Falangi walczyła z siłami palestyńskimi i muzułmańskimi.

zapalić. Po nocnej zmianie szedłem do domu i cały dzień spałem. Matka gotowała i narzekała. Z tych kilku prac dorywczych, jakie miałem w porcie, nie starczało mi na papierosy, zręczną matkę i jedzenie. Dokąd iść, kogo obrabować, oszukać, ubłagać, uwieść, rozebrać i zrewidować? Siedziałem w swoim pokoju, wpatrując się w ścianę oklejoną zagranicznymi wizerunkami, spłowiałymi plakatami nastoletnich gwiazd muzyki, blondynek o lśniących białych zębach oraz włoskich piłkarzy. Myślałem sobie, że Rzym musi być miejscem, w którym można swobodnie chodzić po ulicach. Gołębie na miejskich placach wyglądały na zadowolone i dobrze odżywione.

Myślałem o propozycji George'a i automatach do gry. Postanowiłem odwiedzić go nazajutrz w pracy.

Szedłem wąskimi uliczkami w stronę kasyna, mijając po drodze dom krawcowej Umm Sami, którą mąż zostawił dla egipskiej pokojówki. Wbijają igły w białą suknię panny młodej – ślub miał się odbyć w niewielkiej kaplicy przy dźwięku żałobnych dzwonów z nagrania trzeszczącego jak stara płyta z lat trzydziestych; ojciec dziewczyny zaakceptował kanadyjskiego inżyniera w średnim wieku w charakterze zięcia; matka zajęta była wyrabianiem ciasta, zbieraniem krzesel i siekaniem pietruszki na wielki dzień; brat zamierzał wystrzelić z pistoletu w powietrze, aby uczcić oficjalny moment rozdziewiczenia siostry; kuzyn miał ją zawieźć swoim długim wypolerowanym samochodem do kościoła, a potem na statek na Morzu Śródziemnym. Morzu pełnym łez faraonów, zatopionych okrętów pirackich, kości niewolników, płynących rzeką ścieków i francuskich tamponów.

Po przeciwnej stronie ulicy właściciel sklepiku, Abu Dolly, wachlował się i przeganiał muchy sprzed twarzy prosto na gnijące warzywa. Abu Afif grał w tryktraka ze swoim bratankiem Antoine'em. Claude wciąż polowała na męża. „To nie będę ja”, zawołałem. „To nie będę ja!”. Niebo jaśniało głębokim błękitem, raz po raz spadały z niego kule i bomby. Wystarczyło spojrzeć na nie, aby stanąć oko w oko z nadlatującą śmiercią – z człowieka zostawała tylko kałuża w krętej uliczce, słone morze pełne czerwonych ryb, uplecione ze sznurka łóżko, po którym skaczą chłopcy, haftowana bielizna, w którą wsuwają się stopy o malowanych paznokciach, wysadzana diamentami pochwa na zakrzywiony sztylet...

Przechodziłem koło domu Nabili i postanowiłem ją odwiedzić. Otworzyła drzwi. Uśmiechnąłem się, stojąc bez ruchu i bez słowa, głęboko oddychając.

Znów szukasz swojego przyjaciela? – spytała.

Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, odparłem.

Uśmiechnęła się, a potem roześmiała, pokręciła głową i zaprosiła mnie do środka.

Siedziałem w napięciu, jak uczeń, który może w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Chcesz kawy? – spytała.

Tak, odpowiedziałem, patrząc na jej prześwitującą sukienkę. Miała pełne, okrągłe uda. Widać było linię majtek oddzielającą jej dostojną pupę od górnej części nóg.

Poszła do kuchni, a ja za nią.

Idę odwiedzić George'a, powiedziałem.

W pracy?

Tak.

Dlaczego więc przyszedłeś tutaj, skoro wiesz, że jest w pracy?

Pomyślałem, że może chce pani mu coś przekazać, kanapkę czy jabłko.

Podeszła, uszczypnęła mnie w lewy policzek i powiedziała: Nie jesteś taki niewinny, młody człowieku, skoro odwiedzasz ciotkę najlepszego przyjaciela, podczas gdy on jest w pracy.

Wziąłem ją za rękę, próbowała się oswobodzić. Przytrzymałem jej mały palec i powoli przyciągnąłem do siebie. Uśmiechnęła się. Pocałowałem ją w szyję. Pachniała kremem nawilżającym, mlekiem i cygarami, jakie palą grubi bankierzy. Pozwoliła moim ustom wędrować po swojej szyi, po czym położyła otwartą dłoń na mojej piersi i delikatnie mnie odepchnęła.

Na kuchence kipi kawa, a ty, młody człowieku, musisz już iść.

\*

George na mnie czekał. Podeszedłem do niego i podałem mu pięćdziesiąt lir\*.

Udawaj, że mnie nie znasz, szepnąłem.

Który automat załadować?

Nie rozumiem.

Który automat? – powtórzył zirytowanym głosem. Te pieniądze zasilą jeden z automatów.

A, tak. Numer trzy.

Podeszedłem do automatu numer trzy, na którego ekranie w prawym górnym rogu migotała już moja pięćdziesiątka.

Postawiłem dwadzieścia lir i przegrałem. Podeszedłem do George'a i powiedziałem, że chcę dostać z powrotem resztę pieniędzy, pozostałe trzydzieści lir.

Wypłacił mi.

Wróciłem do domu, myśląc sobie, że tak, musi być jakiś sposób.

Dziesięć tysięcy bomb spadło już na naszą kuchenną podłogę niczym szklane kulki, a matka dalej gotowała. Ojciec wciąż leżał pogrzebany; mówią, że jak dotąd tylko Chrystus zmartwychwstał. Przestałem już czekać, aż ojciec stanie w drzwiach, a potem cicho i spokojnie wejdzie do kuchni, usiądzie przy stole i zaczeka, aż matka poda mu sałatkę i cieniutki chleb. Umarli nie wracają.

Dzwonił mi w uszach huk dziesięciu tysięcy bomb, ale wciąż nie chciałem schodzić do schronu.

Zbyt wiele już straciłam osób, które kochałam, mówiła do mnie matka. Chodź, zejdz do schronu.

Ale ja nie schodziłem.

---

\* Lira – arabska nazwa funta libańskiego.

\*

Dziesięć tysięcy papierosów dotknęło już moich ust, a przez moje czerwone gardło spłynął już milion łyków tureckiej kawy. Myślałem o Nabili, o automatach do gry i o Rzymie. Myślałem o swoim wyjeździe. Zapaliłem ostatnią świeczkę, napiłem się wody z wiadra, otworzyłem lodówkę i ją zamknąłem. Była pusta, zaczynała się rozmrażać. W kuchni panowała cisza – radio matki było daleko, schowane głęboko w schronie zabawiało szczury i sfloczone rodziny. Kiedy spadały bomby, schron zamieniał się w dom, plac zabaw i obozowisko dla rozbrykanych dzieciaków, świątynię, kuchnię i kawiarnię, ciemną, przytulną przestrzeń, w której ledwie mieściły się kuchenka, piankowe materace i mnóstwo gier. Było tam jednak duszno, a ja wolałem umrzeć na świeżym powietrzu.

W sąsiedniej uliczce spadła bomba. Usłyszałem krzyki – na pewno płynie już rzeka krwi. Zaczekałem – obowiązywała zasada, że trzeba poczekać na drugą bombę. Bomby nadlatywały parami, jak turyści z amerykańskiej prowincji do Paryża. Spadła druga bomba. Powoli wyszedłem z mieszkania. Zszedłem po schodach, a potem zagłębiłem się w uliczki na tyłach domu, kierując się krzykami, zapachem prochu i rozsypanymi kamieniami. Znalazłem dziewczynkę w kałuży krwi. Na miejscu był już Tony hazardzista, z samochodem gotowym do odjazdu. Półnagi, jękał tylko: M-a-r-y-j-o, Matko Boża, Maryjo, M-a-t-k-o Boża. Brakowało mu tchu, zastygł w bezruchu i wciąż z trudem powtarzał te słowa. Wziąłem dziewczynkę na ręce i zaniósłem ją na tylne siedzenie samochodu. Za mną wsiadła jej zawodząca, owładnięta histerią matka. Zdjąłem koszulę i owinałem nią zakrwawione żebra małej. Tony pędził samochodem w stronę szpitala, naciskając klakson. Ulice były puste, budynki zatracaly kontury, zdawały się całkiem obce. Krew dziewczynki kapiała mi po palcach, spływała po udach. Byłem w niej skąpany. Krew jest ciemniejsza od czerwieni i gładsza od jedwabiu; gdy spływa po dłoni, czuje się jej ciepło, jak zagrzanej wody z mydłem. Moja koszula przybierała barwę królewskiej purpury. Wykrzyczałem imię dziewczynki, ale moja koszula wsysała już jej krew – mógłbym ją wycisnąć i napełnić nią Morze Czerwone, dać w nie nura, zjednoczyć się z nim, po czym wyjść na brzeg i usiąść w słońcu. Naciskałem dłońmi otwartą ranę. Ale dziewczynka już gasła, jej źrenice wywróciły się i zatoneły w miękkiej białej poduszce marzeń. Głowę miała opartą o okrągłą pierś matki, która podchwyciła mantrę Tony’ego i teraz powtarzali oboje: Maryjo, Matko Boża, Maryjo, Matko



Boża. „Ta dziewczynka jedzie do Rzymu”, pomyślałem. „Jedzie do Rzymu, szczęściara”. Pośród pustych ulic rytmiczne dźwięki klaksonu Tony’ego układały się w smutne pożegnanie.

Następnego ranka miałem się spotkać z George’em na rogu ulicy przed sklepem Czahine’a rzeźnika. Kobiety stały w kolejce po mięso. W środku wisiały obdarte ze skóry kozy. Z góry leciały kawałki białego i czerwonego mięsa, które zaraz krojono, ugniatano, tłuczono, znów krojono, mielono, wkładano do papierowych toreb i podawano kobietom stojącym w kolejce, kobietom w czerni, o melodramatycznych, jakby pociągniętych farbą olejną twarzach, w uległych pozach członkiń Kościoła, straszącym jak upiory w Halloween, wiedzionym kanibalistycznym głodem mięsa zdjętego z krzyża, dzielącym ze świętymi dziewczycami menstrualne skurcze, zajmującym hermetyczne, wykastrowane pozycje społeczne, padającym na kolana i zdany na łaskę noży rzeźników analfabetów. Wszędzie wokół łążyły czerwonogłowe muchy, podłogę zalewała krew zwierząt, na poplamionych żółtych ścianach pyszniły się rzeźnicze noże. Bombardowanie dobiegło końca i kobiety powyłaziły z dziur, aby zdobyć delikatne mięso dla swoich bezrobotnych mężów, którzy zatopią w nim zbrązowiałe od nikotyny zęby i wypełnią rozdęte brzuchy.

George szedł ulicą w moją stronę. Kiedy go zauważyłem, pomachał do mnie. Zatrzymał go mężczyzna w zielonym mundurze falangisty. Uścisnęli sobie dłonie, a George ucałował go trzy razy w policzki.

Czekając, przyglądałem się muchom na mozaikowych płytkach, uczującym na doskonale okrągłych kroplach krwi.

Kto to? – zapytałem George’a.

Chalil. Pracuje z Abu Nahrą.

Może to nie najlepiej, że nas widzi razem, powiedziałem, myśląc o automatach do pokera.

On prawie nigdy nie przychodzi do kasyna. Nie ma się co martwić.

Chyba istnieje sposób, żeby podebrać trochę kasy, powiedziałem. Może to całkiem proste. Przychodzę, wpłacam ci forszę, a ty doładowujesz automat, kiedy gram. Czy te automaty rejestrują... Chodzi mi o to, że jeśli na przykład trafisz pokera, czy to zostaje gdzieś zapisane?

Nie, wydaje mi się, że nie, odparł George.

Musimy mieć pewność. Zajdę tam w poniedziałek. Możemy spróbować. Kiedy będę grał, doładuj automat. Na niewielką sumę, tylko na próbę.

Przyjdź wcześniej rano... zwykle nie ma tam wtedy nikogo, powiedział George.

Może powinniśmy przestać się tak otwarcie spotykać, dodałem.

Poszedłem na pogrzeb dziewczynki, która pojechała do Rzymu. Jej matka zawodziła. Ciasną uliczkę wypełniły kobiety o włosach zakrytych szalami. Moja matka również przysłała na pogrzeb. Oni przychodzą na nasze pogrzeby, a my chodzimy na ich, szepnęła do mnie moralizatorskim tonem.

Ojciec dziewczynki przyleciał na pogrzeb z Arabii Saudyjskiej, gdzie pracował na palonych słońcem polach piasku i ropy. Przeszedł do przodu, ze skrzyżowanymi potężnymi rękami, powłócząc nogami w kurzu i pyłe. Jego ogorzała twarz płonęła, a ciemne oczy były pełne łez. Kuzyni i sąsiedzi dziewczynki nieśli maleńką białą trumnę w daleką drogę na cmentarz; światło słoneczne skrzyło się, padając na białą drewnianą skrzynkę, skrzyło się drewno i metal oraz oczy wszystkich zebranych wokół ludzi, nawet moje. Mężczyźni w szarych garniturach i czarnych krawatach powoli sunęli naprzód, mijając pozamykane sklepy; ich ciężkie głowy zwisały ku ziemi. Tony szedł za mną i jękając się, opowiadał o jeździe samochodem, śmierci i szpitalach. Otaczały mnie znajome, przepełnione smutkiem twarze. Z tyłu za nami omdlewała matka dziewczynki, wieszając się na ramionach kobiet, które pchały ją naprzód, uderzały po policzkach i spryskiwały wodą różaną. Kobiety biły się w piersi,

śpiewały pieśni pożegnalne i weselne\*, zawodziły i machały uniesionymi wysoko w górę białymi chusteczkami w stronę krzywej wieży w Pizie.

---

\* W niektórych kulturach przedwcześnie zmarłym dziewczętom wyprawia się podczas pogrzebu symboliczne wesele.

### 3

W poniedziałek rano poszedłem do George'a do pracy. Oprócz niego nie było tam nikogo. Zapłaciłem, a kiedy grałem, George naładował ponownie automat. Zadziałało! Odebrałem pieniądze i wyszedłem.

Spotkałem się z George'em wieczorem, na schodach kościoła.

Zaczekajmy, zobaczymy, czy zauważą, powiedziałem. Może mają jakiś sposób, żeby się dowiedzieć. Kwota nie jest zbyt duża. Jeśli się zorientują, można ich będzie przekonać, że to tylko pomyłka.

Dałem mu połowę forsy i się rozeszliśmy.

W drodze powrotnej przeszedłem koło domu Nabili. W jej oknach nie paliło się światło. Miasto spowijała ciemność. Nie grały telewizory, woda była zimna, w kwadratowych lodówkach rozpuszczały się lody, a starzy mężczyźni pili whisky bez lodu. Spotkałem Ranę, naszą sąsiadkę, i z początku ledwo ją poznałem. Powiedziała *Bonsoir*, a ja odpowiedziałem *Bonsoirayn*<sup>\*</sup> i zapytałem: Dokąd tak idziesz po ciemku z jedwabnym szalem na ramionach?

Do sklepu po świece.

Z twarzą taką jak twoja na co komu świece? – zapytałem.

Rana roześmiała się i powiedziała, żebym szedł do domu i uważał, żeby się nie potknąć na schodach. Jest ciemno, dodała.

Ale nad nami świeci księżyc, odparłem.

I tak jest ciemno.

Możemy zapalić świeczkę, powiedziałem.

---

<sup>\*</sup> W dialekcie libańskim używano francuskiego zwrotu „dobry wieczór” z arabską końcówką dualisu. Dwa „bon soiry” to gorętsze powitanie.

Gdzie? – zapytała. U twojej matki czy u mojej? Oparła dłonie na krągłych biodrach. Włosy opadły jej na ramiona, a wielkie czarne oczy czekały na moją odpowiedź.

W Rzymie, powiedziałem.

Co?

Zamiast odpowiedzieć, przeszedłem na drugą stronę ulicy.

Nasz sąsiad, Sad, dostał wizę do Szwecji.

W przeddzień odjazdu urządził u siebie wieczorem zabawę. Zapukał do moich drzwi i zaprosił mnie.

Sztokholm, powiedział. Tak, tak, Sztokholm, powtórzył, kręcąc głową.

O siódmej wieczorem poszedłem do niego wygłodniały. Jego matka przygotowała *mazza*\*. Urywałem kawałki chleba i zanurzałem je w okrągłych brązowych miseczkach. Wciąż nie było prądu, ale paliły się świece i lampy naftowe. Ze sklepu rzeźnika przyleciało trochę much, które krążyły wokół lamp i zaraz się spalały. Był tam brat Sada, Czahker, według mnie nadęty idiota. Była też jego kuzynka Miriam, matka z ojcem oraz kilkoro krewnych i znajomych. A także George, który w milczeniu pił i palił.

Spojrzałem na George'a, a on uśmiechnął się do mnie.

Opowiadano dowcipy o Szwecji i Szwedkach, jasnych włosach i chłodnej pogodzie. Mężczyzna o potężnych dłoniach wieśniaka, grubym karku, z silnym góralskim akcentem zaczął śpiewać. Rodzina Sada się dołączyła. Śpiewali nieznane mi pieśni, wiejskie piosenki, jakich nigdy wcześniej nie słyszałem – hymny pożegnalne, powrotne i weselne, ostrzeżenia, żeby nie żenić się z cudzoziemkami: „Nasze kobiety są najwspanialsze na świecie, nie okryją cię hańbą, nasza ziemia jest najbardziej zielona. Jedź, zarób pieniądze i wracaj... Ona na ciebie zaczeka”.

„Ale ci, którzy wyjadą, nigdy już nie wracają”, śpiewało moje serce.

---

\* Wybór drobnych, jedzonych palcami przystawek (arab.).

George ostro pił. Śmiał się i flirtował z kuzynką Sada. Czakher był zdenerwowany i zazdrosny. Prosił już o rękę kuzynki Sada, lecz odmówiła. Była młoda, miała rumiane policzki i długie nogi. Szamotała się między sztywnymi wiejskimi zasadami i usilnym staraniem, aby zaprezentować swoje świeżo nabyte miejskie maniery. Sad i jego rodzina byli uchodźcami z prowincji; uciekli, gdy banda uzbrojonych rzezimieszków zaatakowała i zmasakrowała ogromną liczbę mieszkańców ich rodzinnej wsi.

Zanim zrobiło się późno, George był już bardzo pijany. Wyciągnąłem go na ulicę, a on zwymiotował na krawężnik.

Próbował wsiąść na motor, ale go powstrzymałem. Zaczął wymachiwać pięściami. Przytrzymałem mu rękę, mówiłem do niego, starałem się go uspokoić, prosiłem, żeby nie krzyczał. Potem zaciągnąłem go do domu ciotki. Położyłem go przy schodach, a sam wbiegłem na górę i zapukałem do drzwi Nabili. Otworzyła przerażona. Kto? – pytała. Z Gargotkiem wszystko w porządku? Kto? Och, Dziewico Maryjo, dopomóż. Kto?

Nikt, powiedziałem. Wszyscy żyją. George się upił i pochorował.

Gdzie on jest?

Na dole.

Nabila zbiegła po schodach, dłonią ledwo dotykając poręczy, półnaga i ogarnięta strachem; gładziła George'a po policzkach i całowała końce jego palców.

Razem dźwignęliśmy go i wnieśliśmy na górę. Nabila go umyła, zdjęła mu koszulę, buty i spodnie, oddała mu swoje łóżko i przykryła go starym kocem. A potem usiadła na kanapie i zaczęła płakać.

Martwię się o niego, wiesz? Kiedy późnym wieczorem dzwoni telefon, nieraz myślę, że ktoś umarł. On ma pistolet. Po co nosi pistolet?

Do pracy. Potrzebny mu, powiedziałem.

Powinien chodzić do szkoły. Zapłacę za jego naukę. Niech wraca do szkoły.

Zaproponowała mi kawę, a ja się zgodziłem. Poszła na palcach do kuchni i naląła wody do *rakwa*<sup>\*</sup>, wyjęła małą łyżeczkę, kawę i cukier. Trzykrotnie zagotowała kawę, przyniosła ją na metalowej tacy i odstawiła na chwilę, niczym szlachetne wino, zanim naląła mi małą filiżankę.

Pilem, a Nabila mi się przyglądała.

Wystarczająco słodka? – zapytała.

Tak.

Parę dni temu wróżyłam George'owi z fusów. Były ciemne, strasznie ciemne. Daj, tobie też powróżę.

Nie wierzę w to, szepnąłem.

Wzięła moją filiżankę do ręki i zajrzała do środka. Zobaczyła fale, daleki kraj, kobietę i trzy znaki.

Przesady, powiedziałem.

Nie! Naprawdę widzę. Podejź tu i zobacz. To droga, to morze, a to kobieta. Widzisz?

Nie, ale...

Pachniała jak noc. Przesunąłem dłoń na jej kolano.

Nabila wzięła mnie za rękę, przycisnęła ją do siebie, a potem odsunęła ku mojej piersi. Nie, Bassam, idź do domu. Ucałowała moją dłoń, jakbym był jej dzieckiem. Opiekuj się George'em, powiedz mu, żeby wracał do szkoły. Ty też powinieneś wrócić do szkoły. Mądry z ciebie dzieciak, lubisz czytać. Kiedy byłeś mały, razem z wujkiem recytowałeś wiersze.

Dobranoc, powiedziałem.

Opiekuj się Gargotkiem, powtórzyła Nabila i odprowadziła mnie do drzwi.

Poszedłem do domu spać. Kiedy się obudziłem, Sada już nie było – wyjechał do Szwecji.

---

\* Niewielki garnuszek z dzióbkiem używany do parzenia kawy po arabsku (arab.).

\*

Bomby spadały, falangiści walczyli, ludzie jedli, a na rogach ulic zbierały się stosy śmieci. Psy i koty ucztowały i obrastały w tłuszcz. Bogatsi ludzie powyjeżdżali do Francji, pozwalając swym psom włóczyć się po ulicach – kosztowne psy sieroty, nauczone nie załatwiać się w domu, psy o francuskich imionach, puchate pieski noszące czerwone kokardy, psy rasowe, chińskie, genetycznie modyfikowane, kazirodcze, trzymające się razem w sforach liczących po kilkadziesiąt sztuk, biegały po ulicach pod komendą charyzmatycznego trzynogiego kundla. Po Bejrucie i okolicach włóczyła się gromada najdroższych psów świata, które wyły do ogromnego księżyca i posilały się przy górach odpadków na rogach ulic.

Przeszedłem obok piętrzących się śmieci. Zapach kości i widok gnijących odpadów spowodowały, że przyspieszyłem kroku, idąc bez celu w kierunku stacji benzynowej, na której stały długie kolejki samochodów, czekających, aż im napełnią baki. Dostrzegłem Chalila, kumpla George'a, w wojskowym jeepie bez dachu i okien. Wjechał prosto na zatłoczoną stację benzynową. Zatrzymał samochód, podszedł bliżej, wyjął karabin i strzelił w powietrze. Zaczął krzyczeć i machać rękami, nakazując autom, aby się wycofały, a potem przesunęły do przodu i stanęły z boku. Kiedy zrobiło się luźniej, Chalil podjechał jeepem do dystrybutora, napełnił bak i odjechał.

Tego wieczoru poszedłem na dach. Nie było bomb eksplodujących niczym wpadające na siebie gwiazdy. Patrzyłem w spokojne, mroczne niebo, wiszące nade mną jak mętne, odwrócone do góry nogami bagno. Zdawało się, że zaraz to wszystko spadnie, zatapiając ziemię w ciemności. Na dachu stała wielka beczka z wodą, pod którą zwykle chowałem różne rzeczy. Wyciągnąłem kawałek gumowego węża, owinałem go wokół pasa i czekałem, aż przyjedzie George. Nad moim miastem unosił się okrągły księżyc. Razem z nim obserwowałem migoczące cicho płomienie świec w pokojach młodziutkich dziewczyc, które przebierały się w koszule nocne i wchodziły do wąskich łóżek, rozsypywały wyszczotkowane włosy na poduszkach wypchanych gęsim pierzem przez babki o imionach takich, jak Dżamila czy Georgette, ukrywały włosy łonowe pośród bawełnianych i jedwabnych prześcieradeł i śniły o białych mężczyznach z gładkimi torsami, ubranych w prowincjonalne garnitury,



jeżdżących sportowymi samochodami i opowiadających im bajki w obcym języku, w sekrecie, aż podkurczały palce stóp pod prześcieradłami, z dala od matczyńskich spojrzeń.

Brudny księżyc był moim współnikiem. On świecił, a ja patrzyłem.

Kiedy zjawił się George, pojechaliśmy do Sursok, starej dzielnicy burżujów, gdzie pokojówki usługiwały bogatym paniom domu ubranym w szykowne francuskie suknie, posiadającym szafy wnękowe pełne skórzanych butów. Miały one mieszkania w Paryżu i mężów, którzy importowali papierosy, kontenery i części samochodowe, którzy kasłali, siedząc w szwajcarskich bankach przy mahoniowych stołach naprzeciw bratanków właścicieli fabryk czekolady oraz wnuków posiadaczy pól kakaowych w Afryce usianych robotnikami o obolałych palcach; którzy pracowali w najróżniejszych krajach, również w piątki i niedziele. Mężowie ci jadali w wybitych aksamitami restauracjach i spali na wielkich łóżkach w drogich hotelach, gdzie portugalskie pokojówki roznosiły puszyste ręczniki. Palili grube kubańskie cygara, spoglądali na swoje okrągłe złote zegarki, w oparach koniaku i przy dźwiękach muzyki w windach wymawiali obmierzłe słowa, takie jak „dostawa” czy „faktura”, słowa, które odbijały się od luster i łysin barmanów, w towarzystwie wielojęzycznych prostytutek, których długie srebrne kolczyki spływały ze znudzonych i zgorzkniałych głów swoich właścicielek na ich biznesowe garnitury.

Baki amerykańskich samochodów nie są zamykane na klucz, powiedziałem do George'a. Łatwo je opróżnić.

Zatrzymaliśmy się przy białym buicku. Zdjąłem gumowy wąż, który miałem owinięty wokół pasa. Zakręciłem nim w powietrzu ze świstem. George się roześmiał i tak samo nim zakręcił. Otworzyłem bak samochodu, George położył motor na ziemi. Wpuściłem gumowy wąż do baku; delikatnie wślizgnął się do środka, niczym prawdziwy wąż do dziury w ziemi. Przyłożyłem usta do jego końca, pociągnąłem, poczułem w piersiach zapach benzyny płynącej wartko w stronę moich zębów. Skierowałem strumień do naszego baku. Napełniliśmy go, a potem czołgając się, rozptylniliśmy się w nocy przepięknej mgłą i rosą. Zapach benzyny w gardle przyprawiał mnie o mdłości. Zatrzymaliśmy się przy sklepie i kupiliśmy puszkę mleka. Wypiłem je i zwymiotowałem chlebem i trucizną między dwa zardzewiałe samochody.

\*

W czwartek rano znów poszedłem do George'a do pracy. Wpłaciłem mu trochę forsy, usadowiłem się na stołku naprzeciw automatu do pokera i zacząłem grać. Obserwowałem na ekranie, jak rośnie kwota na moim koncie. Dwa miejsca dalej siedział stary, nieogolony mężczyzna. Nerwowo mrugał pomarszczonymi powiekami, bo w oczy leciał mu dym z trzymanego w ustach papierosa. Uderzał w przyciski niemal na oślep.

Starąłem się naśladować jego tempo gry, tę nonszalancję, poufałość wobec trafu i przeznaczenia, obojętność na stratę, absolutny spokój. Zwieszał się ze stołka, jak gdyby jakieś spuszczone z sufitu liny podtrzymywały jego zrezygnowane ciało, unosząc ręce i zrzucając je w samobójczym, bezwładnym locie na okrągłe plastikowe przyciski.

Tego wieczoru spotkałem się z George'em u niego. Mieszkał sam, w starym kamiennym domu przy Francuskich Schodach. Były tam wysokie sufity, fotografia zmarłej matki i parę mebli, poza tym ziało pustką. George nigdy nie wspominał o ojcu. Krążyła pogłoska, że był Francuzem, który odwiedził nasz kraj, zasiał ziarno w młodym łonie matki George'a, po czym odleciał na północ, jak wędrowny ptak.

Wyciągnąłem zarobione rano pieniądze, odliczyłem połowę i oddałem mu.

Siedzieliśmy w salonie George'a na starej kanapie pomiędzy ścianami, od których odbijało się echo. Szeptaliśmy konspiracyjnie, wymienialiśmy się forszą, piliśmy piwo, robiliśmy skręty z haszu i miękkiego białego papieru, a ja wystawiałem zalety Rzymu.

Rzym? – zdziwił się George. Lepiej jedź do Ameryki. Rzym nie ma przyszłości. No dobra, ładne miasto, ale w Ameryce jest lepiej.

A ty co? – spytałem. Jedziesz czy zostajesz?

Zostaję. Podoba mi się tutaj.

Włączył muzykę. Popijając piwo, śpiewaliśmy.

Muszę naprawić motor, rura wydechowa jest do wymiany, powiedział George. Wpadnij do kasyna we wtorek rano, to znowu zagrasz. Nie zaszkodzi nam jeszcze trochę

forsy. Ale nie spiesz się, ostatnim razem wyglądałeś, jakbyś się ciągle oglądał za siebie. Nie przejmuj się, jeśli przyjdzie Abu Nahra albo inny falangista. Gdyby coś było nie tak, przyniosę ci whisky bez lodu. *Capisce*, rzymianinie?

Obaj byliśmy na haju, chciało nam się spać i czuliśmy się jak bogacze.

Tej nocy spałem na kanapie George'a, a on na łóżku swojej matki.

Obudziłem się, gdy blask świtu połaskotał moje brązowe oczy, podniósł mi powieki i zaprosił mnie na spacer.

George jeszcze spał. Jego pistolet leżał na stole, przygniatając pieniądze. „Żaden wiatr ich nie ruszy”, pomyślałem. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, w mieście panował spokój. Ulice zdawały się ugiąć pod ciężarem kurzu i zaparkowanych samochodów, wszystko było zamknięte, z wyjątkiem otwartej od świtu piekarni Saffiego. Zaszedłem tam po *man'usze*\*, które zaraz zjadłem. Nie jeździły jeszcze taksówki, nie podciągnięto żelaznych rolet w drzwiach sklepów, kobiety nie parzyły kawy, nie ładowano warzyw na wózki, konie nie biegały, hazardziści nie obstawiali zakładów, falangiści nie czyścili karabinów. Wszyscy spali. Miasto Bejrut było na razie bezpieczne.

---

\* Paszteciki z tymiankiem (arab.).

Spadło już dziesięć tysięcy bomb, a ja czekałem, aż przyjdzie śmierć i zgarnie swoją codzienną porcję z czary pełnej ludzkich szczątków i krwi. Szedłem ulicą, na którą spadały bomby. Miasto było opustoszałe. Przechodziłem nad głowami ludzi skrywających się w schronach niczym szczury. Mijałem udekorowane jak kapliczki fotografie martwych młodych mężczyzn przybite do drewnianych słupów elektrycznych i do drzwi budynków.

Bejrut w czasie wojny był najspokojniejszym miastem na ziemi.

Szedłem środkiem ulicy, jakby do mnie należała. Spacerowałem po najspokojniejszym mieście na ziemi, po moim ulubionym wyludnionym mieście – wszystkie miasta powinny zostać odebrane ludziom i oddane psom.

Niedaleko ode mnie spadła bomba. Wypatrywałem dymu i nasłuchiwałem jęków i krzyków, ale nic się nie działo. Może to mnie trafiło? Może leżałem martwy na tylnym siedzeniu samochodu, a moja krew tryskała radosnymi strumykami, wsiąkając w ubranie nieznanego? Może spijał ją właśnie jakiś watażka lub wiecznie spragniony Bóg, małostkowy plemienny bożek, zazdrosny Bóg świętujący krwawą jatkę swojego plemienia, Bóg, któremu milszy jest jeden sługa niż drugi, samotny, szalony, wymyślony Bóg, zatruty łożem ze srebrnych mis, zaprząnięty boskimi orgiami i aranżowaniem małżeństw Bóg, który miesza wino z wodą i podaje zaostrzony miecz swoim liczным odzianym w koźle skóry prorokom, wykastrowanym świętym i zaufanym eunuchom?

Dostrzegłem ptaka w klatce na balkonie pewnej starszej pani, a poniżej przyczajonego kota oraz wygłodniałego psa, który tylko czekał, kiedy będzie mógł zatopić rasowe kły w czyichś zwłokach, złapać delikatną rękę lub soczystą nogę. „Nas, psów, nie obowiązuje zakaz spożywania ludzkiego mięsa, te prawa dotyczą tylko człowieka”, powiedział do mnie zarośnięty pudel. Pokiwałem głową ze zrozumieniem i poszedłem dalej. Słyszałem odgłosy strzałów i kolejne wybuchy. Tym razem pociski spadały na stronę muzułmańską, żeby tam

zadawać rany i upuszczać potoki krwi małych dziewczynek. Wyrzutnie pocisków robią więcej hałasu niż same wybuchy.

Stałem pośrodku ulicy i skręcałem papierosa. Wciągnąłem dym, potem go wypuściłem, a unosząca się z moich ust chmura otoczyła mnie tarczą. Lecące ku mnie bomby odbijały się od niej i szybowały w niebo na spotkanie dalekich planet.

Przyszła noc, jak zawsze. George i ja postanowiliśmy wyskoczyć w góry. Pojechaliśmy do położonej wysoko wioski Brumana, która pełniła funkcję ekskluzywnego schronienia dla zamożnych. Dookoła kusiły kawiarnie i restauracje, a w nich okrągłe stoliki i szybka obsługa. Po wąskich uliczkach wioski spacerowały półnagie, wymalowane kobiety, mijały je mercedesy falangistów z krzyżami zawieszonymi na lusterkach. Z restauracji płynęły głośne dźwięki tanecznej muzyki. Weszliśmy do klubu, usiedliśmy przy stole i przyglądaliśmy się tańczącym parom, ludziom, którzy pili, ale nie rozmawiali. Nikt nie ma nic do powiedzenia. „Przecież wiesz, że wojna sieje ciszę, obcina języki i spłaszcza brzuchy”, powiedziała do mnie szklanka whisky. Bił od nas zapach dezodorantu, jedwabnych koszul, podrabianych zegarków i pianki do golenia. George wskazał na kobietę w niebieskiej sukience. Ta będzie moja, powiedział. Zamówiłem dwie szklanki whisky, a George uśmiechał się do kobiety. Odwróciła głowę do przyjaciółki, po czym obie spojrzały w naszą stronę i zachichotały. Chodźmy, powiedział George. Wstał i podszedł do nich. Zostałem przy stoliku, gdy rozmawiał z kobietą w niebieskiej sukience. Zapłaciłem za drinki i sączyłem whisky, obserwując ludzi dookoła. George gestykulował i niemal ocierał się pierśią o ramię swojej wybranki. Kobiety na parkiecie poruszały biodrami w rytm arabskiej muzyki. Mężczyzna z gęstymi wąsami położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: Przyjacielu, na tym świecie nic nie ma, nie istnieje nic, co byłoby cokolwiek warte, więc baw się dobrze. Jutro być może wszyscy umrzemy. Na zdrowie! Stuknęliśmy się szklankami, a mężczyzna poszedł na parkiet, wymachując rękami – w jednej trzymał pustą szklankę, do dolnej wargi przyklejonego miał papierosa.

George wrócił do naszego stolika, pochylił się ku mnie i szepnął: Czemu nie poszedłeś ze mną? Jej przyjaciółka jest tutaj sama, pytały o ciebie, po francusku, kochany, po fran-

cusku! Wziąłem jej numer. To moja whisky? Trzeba było podejść. Są bogate, a teraz już wychodzą. Gdybyśmy mieli samochód, moglibyśmy je zabrać do mnie.

Piłem whisky, a George poszedł na parkiet i tańczył solo. W czasie tańca dużo pił.

W końcu wrócił i zawołał kelnera. Wyciągnął z kieszeni banknoty, zapłacił i pił dalej.

Pierdolić ich wszystkich. Wszystkich ich rozpierdolę.

Kogo? – zapytałem.

Boga z aniołami i całe jego królestwo, powiedział George.

Był już wtedy strasznie pijany, zaczął bredzić i się rzucać. Wyciągnął pistolet i wrzasnął: Wszystkich ich rozpierdolę! Chwyćłem go za dłoń, pociągnąłem ją pod stół, wycelowałem pistolet w podłogę i szeptałem do niego łagodnie: Zaklinam cię na grób twojej matki, proszę cię... ja, twój brat, brat, który krew by za ciebie przelał. Daj mi pistolet.

Pocałowałem go w policzek, objąłem ramieniem i uspokajałem. Potem powoli wyjąłem mu pistolet z dłoni i wsunąłem pod swoją najlepszą jedwabną koszulę. Starąłem się go nakłonić do opuszczenia lokalu, ale nie chciał. Dalej go błagałem. Obsypywałem go słodkimi słowami, pochwałami i pocałunkami.

Później ich wszystkich rozpierdolimy, mówiłem. Nic się nie martw, jutro rozpierdolimy ich samochody, lusterka i opony. Na Allaha, Jezusa i wszystkie anioły, proszę cię, chodźmy stąd.

Wyszliśmy na ulicę. George przeklinał, popychał ludzi i wrzeszczał. Nie mam ojca, nie mam matki i nie mam Boga, pierdolone *asz-szarmuta!*\* Mam forszę, dziwki jedne, żeby was wszystkie spłacić! Wyjmował z kieszeni kolejne banknoty i wyrzucał je w powietrze.

Ściągnąłem go z głównej arterii w boczną uliczkę, gdzie małe wiejskie chatki przerobiono na kawiarnie i wyszukane burdele kuszące aksamitnymi sofami i różowymi neonami. Zatrzymałem zmierzającego tam, skąd dobiegała muzyka, młodego człowieka i poprosiłem, żeby nam polecił jakieś miejsce na nocleg. Wskazał mi hotelik, poszliśmy w

---

\* skurwysyny! (arab.)

tamtym kierunku. Zostawiłem George'a przed wejściem, przytulonego do krawężnika, po czym wszedłem. Wynająłem pokój, zabrałem George'a na górę i położyłem na łóżku. Zasnął.

Na zewnątrz wciąż było ciemno i głośno. Światła neonów nadal migotały i wzywały młodzież do siebie. Nie zważając na pokusy, wziąłem motor George'a i ruszyłem w stronę miasta.

Wiatr nie pozwalał mi zasnąć. Pędziłem jak wiatr, co nie pozwalał mi zasnąć. Pędziłem nawet szybciej od wiatru, co nie pozwalał mi zasnąć. Uciekałem czasowi i przestrzeni, jak przecinające powietrze kule. Śmierć nie przychodzi do tych, którzy śmiało patrzą jej w twarz, śmierć jest zdradliwa i tchórzliwa, zauważa jedynie słabeuszy i uderza w ślepców. Frunąłem krętą drogą, ześlizgując się po urwistych zboczach gór, ocierając o światła samochodów, zapomniane drzewa i stulone na noc płatki kwiatów polnych. Byłem łukiem, srebrną strzałą, włóczęgą bogów, kupcem wędrownym, nocnym złodziejem. Frunąłem na potężnej maszynie, która rozbijała wiatr i rozrywała ziemię pode mną. Byłem królem.

Chłopaczek na posterunku kontrolnym wycelował we mnie swój AK-47. Dokumenty, powiedział. Dałem mu akt urodzenia, który zawierał informacje o moim wieku i miejscu urodzenia, jak również miejscu urodzenia moich przodków, kolorze oczu i wyznawanej religii, oraz zdjęcie, na którym uśmiecham się do ormiańskiego fotografa, patrzącego w swój ukochany wielkoformatowy aparat, który ojciec przywiózł mu z Rosji, a potem taszczył przez Pustynię Syryjską, podczas gdy młodzi Turcy mordowali jego krewnych na progach ich domów, celowali z karabinów do górujących nad głowami krzyży, zabijali całe bydło i śpiewali dumne pieśni wystawiające nowoczesność.

Czyj jest ten motor? – zapytał chłopaczek.

Mojego kumpla, powiedziałem.

Ręce do góry.

Podniosłem ręce. Chłopak przeszukał mnie, a kiedy wyczuł pistolet, złapał mnie za gardło i szybko go wyciągnął. Zrobił krok w tył i wycelował we mnie karabin.

Zejdź powoli z motoru i połów się na ziemi, warknął.

Posłuchałem go.

Co to za kumpel?

George, zwany też De Niro, powiedziałem.

Masz papiery na ten pistolet?

Nie.

Czekaj tu, powiedział chłopak. Zostań na ziemi i nie ruszaj się. Jeśli ruszysz choć palcem u nogi, będę strzelać.

Zawołał swojego przełożonego. Podszedł do mnie brodaty mężczyzna po trzydziestce, w czarnej koszulce i butach wojskowych. Trzymał w ręku pistolet George'a, jak swój własny.

Czy to kradziony pistolet? – spytał, machając mi latarką przed oczami.

Nie, odpowiedziałem.

Jak masz na imię?

Bassam.

Gdzie mieszkasz?

W Al-Aszrafijji.

Czym się zajmujesz?

Pracuję w porcie.

Czyli jesteś złodziejem.

Nie.

Tak, tak, pracujesz w porcie i kradniesz, co? Jesteś złodziejem.

Na tej wojnie wszyscy jesteśmy złodziejami, powiedziałem.



I jeszcze pyskuje! Mężczyzna uderzył mnie w twarz, a potem zaciągnął do zielonego jeepa. Odchodząc, dyszał jak hiena, jego karabin zwisał luźno, wycelowany w piasek na ziemi.

Minęły trzy godziny, a ja wciąż czekałem z tyłu jeepa. O świcie, gdy blask porannego słońca zaczął pomału wypierać ciemność nocy, chłopaczek wsiadł na motor i zniknął pomiędzy wzgórzami. Posterunek został zlikwidowany, a ja siedziałem z tyłu jadącego samochodu, wdychając górskie powietrze i czując głód.

Falangista za kierownicą prowadził jak szaleniec, jakby wioził rannego do szpitala. Samochód szarpał i podskakiwał, a mną rzucało po siedzeniach. Trzymałem się mocno metalowego uchwyty, jak małpa gałęzi. Ale zaraz wyślizgnął mi się z rąk, a moje nogi zatańczyły w powietrzu jak u stającego dęba konia. Falangista jechał pod prąd wąskimi jednokierunkowymi uliczkami, zmuszając inne samochody, żeby się w popłochu wycofywały. Nagle zahamował z piskiem opon. Ręce znów ześlizgnęły mi się z uchwyty i przeleciałem na drugą stronę jeepa. Jęknąłem z bólu. Falangista wysiadł, wyciągnął karabin, uniósł lufę w niebo i strzelił. Stojące na jego drodze samochody zaczęły się wycofywać, spanikowani kierowcy trąbili. Stał pośrodku ulicy na szeroko rozstawionych nogach, z karabinem wycelowanym w powietrze, ramiona opuszczone, głowa jak równy rząd pustaków. Opuścił rękę, zaczekał, po czym znów ją uniósł i posłał jeszcze kilka serii. Kiedy zrobiło się pusto, wsiadł z powrotem do jeepa. W jednym zwięzłym zdaniu przeklął wszystkich chrześcijańskich świętych i pojechał ze mną na wzgórze, do bazy wojskowej.

Wprowadzono mnie do biura. Na ścianie wisiało zdjęcie najwyższego dowódcy, zwanego Al-Rajjis. Dalej dostrzegłem jeszcze drzewo cedrowe i flagę.

Siadaj. Dobra, czyj jest ten pistolet? – zapytał falangista, spacerując wokół mnie. Skąd go masz? I komu ukradłeś motor?

To mojego kumpla, George'a, zwanego De Niro. Pracuje dla Abu Nahry. To jego pistolet i jego motor. Niczego nie ukradłem.

Dla Abu Nahry, dowódcy? – zapytał falangista.

Tak.

Zadzwoń do niego. Czemu masz przy sobie pistolet kumpla?

Upił się. Zabrałem mu go.

Pogadam z Abu Nahrą. Jeśli kłamiesz, zgnijesz w celi, rozumiesz? Jak ma na imię ten twój kumpel?

George. Jeśli powiesz dowódcy „De Niro”, będzie wiedział, o kogo chodzi.

A ciebie jak wołają? Al Pacino?

Zaprowadzono mnie do pustego pokoju, w którym leżał piankowy materac. Zasnąłem, a po przebudzeniu gapiłem się na betonowe ściany. W materacu pełno było wypalonych papierosem dziur. Wyciągnąłem z kieszeni spłaszczoną pod ciężarem mojego ciała paczkę papierosów. Szukałem w kieszeniach zapalek, ale nie znalazłem. Zacząłem walić w drzwi. Nikt nie reagował. Przytknąłem do nich ucho, ale słyszałem tylko grające gdzieś w oddali radio. Rozpoznałem głos Fajruz lamentującej pośród korytarzy.

Następnego dnia przyjechał De Niro z pismem od Abu Nahry. Byłem wolny.

Wjechaliśmy motorem na autostradę. Upał się zrobił nie do zniesienia. Taksówkarze w starych mercedesach czekali na rogach ulic, w cieniu brudnych ścian. Śmigaliśmy przez korki, jechaliśmy po chodnikach tylnych uliczkach, środkiem wąskich ścieżek, przecinając spylone, niebrukowane ulice.

Pył leciał na witryny sklepowe i osiadał na jedwabistej skórze nagich ud, ludzie go wdychali, patrzyli przez zasłonę pyłu – pyłu spod łopaty grabarza, pyłu zniszczenia, zawalonych ścian, pyłu opadającego z czoła chrześcijan w stronę popielcową. Dobry, przyjazny pył, wierny druh Bejrutu, kochał nas wszystkich.

Chodźmy coś zjeść, powiedziałem do George’a.

*Man ‘usze czy kunafa\*? – zapytał.*

---

\* Placek z serem (arab.).

## *Kunafa.*

Zatrzymaliśmy się przy sklepie z moskitierą w drzwiach i usiedliśmy przy okrągłym stoliku. Lustro na ścianie nad naszymi głowami pokrywały zacieki i prawie nic nie było w nim widać. Za ladą stał mężczyzna z okazałym wąsem, posługiwał się kilkoma nożami. Piłem wodę. George zapalił papierosa. Do lokalu weszła kobieta z niemowlęciem na ręku. Radio podawało wiadomości: dwie osoby zabite, pięć rannych, wizyta arabskiego dyplomaty w Bejrucie, a potem amerykańskiego. Na okrągłym księżycu powiewała flaga dyplomaty, którą obrał sobie za cel ćwiczeń jakiś pozaziemski snajper.

Jedliśmy *kunafa*. Obserwowałem niemowlę, które bawiło się plastikowym pistoletem, wkładając go sobie do buzi. Byłem nieumyty i nieogolony, wszystkim nam przydałoby się trochę wody. Pod stołem oddałem George'owi pistolet. W popielniczce zarzył się papieros De Niro, sam jeszcze się nie poczęstowałem. Smutne oczy George'a przypomniały mi, że jego matka nie żyje, ojciec odszedł, że mój ojciec też umarł. Wspominałem, jak po jego śmierci wuj Na'im częściej nas odwiedzał. Przyglądałem mu się, gdy podczas niedzielnych wizyt dawał pieniądze matce, a ona wbijając oczy w podłogę, brała je i chowała za dekolt. Na'im zabierał mnie na długie spacer, kupował mi ubrania i książki. A kiedy mu powiedziałem, że ojciec jest u Pana Boga, odpowiedział, że nie ma żadnego Boga, że to tylko ludzki wymysł.

Skończyłem jeść, George podał mi papierosa. Myślałem o matce, która całymi dniami gotowała i narzekała, a czasem prosiła wuja o pieniądze. Wuj był komunistą. Pewnej nocy uciekł do Bejrutu Zachodniego. Potem szukali go falangiści. W środku nocy zapukali do drzwi matki i pytali o Na'ima, tego komunistę.

Przyglądałem się muchom, które daremnie usiłowały przedostać się do środka przez siatkę w drzwiach. Jedynie pył mógł bez przeszkód wlatywać i wylatywać. „Bejrut to starożytne rzymskie miasto”, pomyślałem. „Pod naszymi stopami pogrzebane jest miasto. Rzymianie też zamienili się w pył”. Kiedy wychodząc, otworzyłem drzwi, muchy zaraz wleciały do środka.

George odwiózł mnie pod dom matki. Śniłem, śpiąc nad starożytnym Rzymem, a miasto dalej wdychało pył.

Codziennie o świcie kobiety z naszej kamienicy zbierały się przy porannej kawie. Rozmawiały o cenach warzyw, mięsa i owoców. Powtarzały informacje usłyszane w wiadomościach, jak kolorowe papugi na pokładach pirackich statków.

Obudziły mnie ich krzyki. Myjąc twarz i zęby, usłyszałem, jak ktoś woła imię Rany. Włożyłem krótkie spodnie i przeszedłem do dużego pokoju. Przywitałem się z kobietami, a one zwracały się do mnie po imieniu. Salma, наша najbliższa sąsiadka, poprosiła, żebym ją pocałował: Chodź, ucałuj ciocię Salmę. Nieważne, jak duży urośniesz, wciąż jesteś naszym dzieciaczkiem.

Pocałowałem ją i podszedłem do Rany. Zarumieniła się. Kobiety wstrzymały oddech; matka Rany się uśmiechnęła. Spojrzałem na Ranę i powiedziałem: Co ty, siedzisz ze starymi?

Kobiety podniosły rwetes i zaczęły ze mnie szydzić. Nie ma tu żadnych starych, młodzieńcze!

W każdej chwili mogę zastrzelić tego mojego i znaleźć sobie młodszego, powiedziała Abła, a pozostałe wybuchły śmiechem.

Rana znów się zarumieniła. Uśmiechnąłem się, a matka, rozpromieniona, nalała mi kawy. Kobiety się przekrzykiwały. Wróżyły z fusów w filiżance Rany. W krótkiej spódniczce wyglądała oszałamiająco. Z każdym oddechem jej piersi unosiły się i opadały, oczy miała podkreślone czarną kreską, siedziała ze skrzyżowanymi nogami, chroniąc swoje dziewictwo przed oczami, językami i zakrzywionymi zębami drapieżców.

Wyszedłem z pokoju i czekałem przy schodach u wejścia do kamienicy. Po krótkiej chwili zeszła Rana z matką. Jej matka pierwsza mnie minęła, kiwnąłem jej głową na pożegnanie. Rana szła kawałek za nią; złapałem ją za nadgarstek.

Jaką przyszłość wyróżyła dziś Ranie filiżanka? – spytałem.

Powiedziała, że oddam komuś rękę.

Komu?

Komuś, kto będzie odjeżdżał.

To smutne, powiedziałem.

Nie, jeśli ja też pojedę.

Przyjdę po ciebie dziś o szóstej.

Mam dużo pracy.

Jakiej?

Mam dużo pracy i tyle. Bassam, proszę cię, puść moją rękę, ludzie patrzą.

Rozwarłem dłoń, a Rana odeszła.

Abu Nahra poprosił mnie, żebym dołączył do falangistów, oznajmił George.

Nie rób tego, George, ostrzegłem go.

Mówił, że potrzebują ludzi na linii frontu.

Powiedz nie.

Przekaze moją pracę komuś innemu.

George nalał whisky do szklanek i spojrzał mi w oczy.

Musimy wyjechać, powiedziałem. Musimy się zorganizować. Skoczyć na wielką kasę i wyjechać. Musimy poczekać na odpowiedni moment, kiedy w kasie będzie dość forsy, żeby starczyło na wielką wygraną. Daj mi znać.

Teraz ja spojrzałem mu w oczy.

Co się dzieje między tobą a Raną? – spytał.

Skąd wiesz o Ranie?

Tu wszyscy wszystko wiedzą. Wyrosła.

Kiwnąłem głową.

Możesz się z nią tu spotkać. Dam ci klucz do mieszkania. Matka raczej nie przyjdzie.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

Piliśmy whisky. Z balkonu George'a widzieliśmy dachy domów, a na nich białe pranie, anteny telewizyjne i puste beczki na wodę. Wszystkie domy łączyła sieć luźno zawieszonych drutów elektrycznych przyczepionych do drewnianych słupów; wypełniała betonowe miasto, gdzie nie ma drzew, na których mógłby zawisnąć Judasz, nie ma łąk, po których mogliby włączyć się najeźdźcy, tylko płaskie dachy i śmiertelnicy czekający na swój przydział wody i chleba. Na chodniku widać było dziecięce rowerki i ceglane ślady nieporadnych rysunków. Kobiety nie wychodziły z kuchni, wciąż coś gotowały. Z dołu dochodził dźwięk radia, matka wołała dziecko, kilka samochodów przetoczyło się niespiesznie po naszej wąskiej ulicy. Panowały cisza i spokój, jak zawsze, zanim spadną bomby i potrzaskają zęby, zanim dzieciaki zsikają się w szorty starszego rodzeństwa, młode dziewczęta przedwcześnie dostaną miesiączki, wylecą szyby, a szkło głęboko porozcina naszą ciemną skórę.

Johnny Walker to najlepsza whisky, odezwał się George. Z lodem czy bez lodu, to jest życie, przyjacielu.

Uniósł szklanekę i ją pocałował.

Czekałem na Ranę na dole, ale się nie zjawiała. Zawołałem Danny'ego, syna naszej sąsiadki Nahli, który jeździł na rowerku. Powiedziałem: Chodź no tutaj. Pójdź do rodziny Damuni, wejdź do ich domu, gdy nikt nie będzie patrzył, i daj Ranie ten list. Nikt nie może cię zobaczyć, rozumiesz? Zaczekaj... chodź no tu! Zrozumiałeś? Nikt nie może cię zobaczyć.

Dobrze, pokiwał głową chłopiec.

Dostaniesz potem coś dobrego. A teraz idź, pospiesz się.

Danny uśmiechnął się, śmignął po schodach w dół i poleciał jak gołąb w stronę domu Rany.

Spotkaliśmy się z Raną przy Francuskich Schodach. Było ciemno, widziałem, jak schodzi po pochyłej drodze, prześlizguje się między samochodami, ukrywając się w cieniu murów.

Gdy mnie zauważyła, pomachała mi dyskretnie z daleka.

Wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem na tył kamienicy. Oparłem się o ścianę i przyciągnąłem ją do siebie.

Nie trzymaj mnie za rękę, sprzeciwiła się Rana.

Przecież nikt nie patrzy.

Musisz poprosić o zgodę, powiedziała zalotnie.

Czyją zgodę?

Moją.

A odkąd to?

Odkąd wygrałam tamtą bójkę, powaliłam cię na ziemię i zmieszałam z błotem.

Zaśmiała się.

Pocałowałem ją w policzek; objąłem jej talię ramieniem.

Odsunęła moją dłoń, powoli mnie odepchnęła i powiedziała: Nie tutaj.

Chodź, odparłem na to.

Prowadziłem ją po schodach, trzymając za nadgarstek; w zupełnej ciemności odnalazłem drzwi do mieszkania George'a. Po omacku szukałem zamka palcami, jak ślepiec w noc poślubną, jak lew w lisiej norze. Wsunąłem klucz do zamka i powolnym, płynnym ruchem przekręciłem go. Trzymając Ranę za rękę, pociągnąłem ją do środka. Opierała się, ale pocałowałem ją w szyję. Zamknąłem drzwi, poszukałem świecy. Kiedy zapaliłem zapałkę, a na końcach moich palców zaczął tańczyć płomyk, zdmuchnęła go i powiedziała: Nie, bez światła.



Złożyłem na jej ciele dziesięć tysięcy pocałunków, podczas gdy nad naszymi głowami spadały kaskady upojnych bomb. Nasze ubrania leżały na podłodze niczym dywaniki modlitewne, nasze ciała na łóżku odgrywały taniec śmierci. Złożyłem na jej skórze kolejne dziesięć tysięcy pocałunków, a bomby spadały coraz bliżej i głośniej. Wsunąłem jej dłoń pod spódnicę. Przytrzymała ją, opierała się. Zakradłem się drugą dłonią do piersi. Pozwoliła na to, ściągnąłem jej więc stanik, dotykałem ciemnych, miękkich, sterczących matczynek sutków. Język prowadził mnie w dół, do jej pępka. Wówczas mnie odepchnęła, mówiąc: Proszę, przestań, Bassam, przestań. Matka na pewno mnie szuka. Powiedziałam jej, że idę zobaczyć się z Nadą. Muszę iść.

Pójdę z tobą.

Pójdiesz? Czy raczej pobiegiesz?

Biegliśmy pośród spadających bomb. Kiedy dotarliśmy do domu, Rana zeszła do schronu, a ja, unosząc się nad ziemią, wróciłem do siebie.

Abu Nahra był korpulentnym facetem po pięćdziesiątce. Miał łysinę, resztki siwych włosów i złoty ząb. Z zawodu był nauczycielem arabskiego, porzucił jednak nauczanie, aby zostać dowódcą chrześcijańskiej falangi. Przy pasie zawsze nosił pistolet, a na szyi długi, gruby łańcuch z imponującą kolekcją krzyży i ikon, które przygniatały bujne owłosienie klatki piersiowej. Odpowiadał za południowy rejon Bejrutu Wschodniego, zasłużył się zaś stworzeniem systemu podatkowego nałożonego na domy, stacje benzynowe i sklepy celem wsparcia działań wojennych. Pootwierał również minikasyna oraz salony maszyn do pokera, które także przynosiły znaczny dochód. Jeździł wielkim range roverem, za nim jechały zawsze dwa samochody ochrony. Gdy robił się korek, goryle wystawiali przez okna samochodu karabiny i strzelali w powietrze, żeby jego wysokość mógł przejechać. Wszyscy go znali. Abu Nahrę kręciły chrześcijaństwo, pieniądze i władza.

George poznał go przez ciotkę Nabile, o którą Abu Nahra akurat „zabiegał”. Nabila poprosiła go, żeby załatwił jej ukochanemu siostrzeńcowi pracę, a on spełnił prośbę. Gdy Nabila odeszła od Abu Nahry, posada George’a była zagrożona.

Zawsze trzeba zapłacić jakąś cenę, powiedział George. Abu Nahra chce, żebym przyłączył się do falangistów. Parę dni temu przysłał Chalila, żeby mnie spytał, czy nie pojechałbym z nim na zieloną linię\*.

I co powiedziałeś?

Powiedziałem, że nie mogę zostawić kasyna. Chalil na to, że wpadnie po mnie po pracy, pojedziemy tam na chwilę, wystrzelimy trochę naboju, opróżnimy kilka magazynków, zobaczymy chłopaków i wrócimy – nie zajmie nam to dużo czasu. Czekałem na niego, ale się nie pojawił. Jutro po mnie przyjedzie, jestem tego pewien.

Pojadę z tobą, zaproponowałem. Wyznacz mu miejsce spotkania. Nie jedź tam sam, pojedę z tobą. I miej naładowany pistolet.

Myślisz, że wiedzą o naszej akcji w kasynie?

Nie, ale na wszelki wypadek miej naładowany pistolet. Gdyby faktycznie wiedzieli, Abu Nahra wydałby rozkaz, żeby nas sprzątnęli. Pojadę z tobą. Powiedz Chalilowi, gdzie ma po ciebie przyjechać.

Zauważyłem Danny'ego, tego dzieciaka; bawił się szklanymi kulkami na skrawku piaszczystej ziemi. Zawołałem go, a on podbiegł do mnie.

Przekazałeś tamten list Ranie?

Tak, odpowiedział.

Jak zareagowała?

Przeczytała i uśmiechnęła się.

Masz. Sięgnąłem do kieszeni po drobne. Idź, kup sobie i kolegom cukierków. Popędził w stronę dzieciaków i wszyscy pobiegli w podskokach do sklepu Abu Fu'ada.

\*

---

\* Zielona linia – strefa zdemilitaryzowana rozdzielająca dwie zwaśnione strony, w tym wypadku Bejrut Wschodni i Zachodni.

Rana leżała na łóżku George'a na brzuchu, uniosła w górę łydki, wyprostowała palce stóp i położyła dłoń na mojej piersi.

Kochasz mnie? – zapytała.

Pocałowałem ją w usta.

Kochasz mnie? – powtórzyła głośniej.

No jasne, powiedziałem, wypuszczając chmurę dymu, w której ginęły słowa.

Przytrzymała moją brodę palcami i spojrzała mi w oczy.

Spójrz na mnie, spójrz mi w oczy, powiedziała. Kochasz mnie?

Tak, odparłem.

Próbowałem pocałować ją w pierś, ale odepchnęła moją twarz na poduszkę, mówiąc: Bassamie Al-Abjad, łeb ci rozwałę, jeśli kłamiesz! Znam cię. Mnie nie oszukasz. To ja, Rana, pamiętasz? Zastrzelę cię, słyszysz? Przysięgam na ten krzyż, zastrzelę cię.

Roześmiałem się i objąłem ją w talii. Nie mówiła już nic, spojrzała tylko na sufit wysoko w górze. Potem mnie pocałowała, poprawiła sukienkę, podciągnęła stanik i poprosiła, żebym zapiął jej suwak. Ucałowałem jej ramiona, po czym wyszła.

Spotkaliśmy się z Chalilem przy budynku elektrowni. Chalil siedział w jeepie na miejscu kierowcy. Na tylnym siedzeniu siedział drugi falangista, przezywany Abu Hadid, w lewej ręce trzymał czeskiego kałasznikowa.

George pocałował Chalila i przedstawił mnie. Przez chwilę gadaliśmy, znaleźliśmy wspólnych znajomych, rozmawialiśmy o broni i samochodach. Abu Hadid powiedział, że zna faceta zwanego Charbel, który pracuje ze mną w porcie.

George usiadł koło Chalila w jeepie, a ja jechałem za nimi na motorze. Mijaliśmy puste ulice i zniszczone bombami budynki, bez problemu minęliśmy kilka punktów kontrolnych. Wszyscy znali Chalila.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, rozpoznałem dwóch chłopaków, z którymi chodziłem do szkoły: Josepha Szajbana i Kamila Alasfara. Obaj zapuścili brody, byli zmęczeni i brudni. Na drewnianej kolbie kałasznikowa Josepha widniała podobizna Maryi Panny; Kamil trzymał w ręku snajperski karabin maszynowy. Kiedy Joseph mnie zobaczył, wycelował we mnie lufę i powiedział: Niesubordinowanym uczniom wstęp wzbroniony. Uśmiechnął się, po czym uścisnęliśmy sobie dłonie.

Siedzieliśmy na workach piasku i beczkach. Joseph zabrał mnie na bok i pokazał pozycje wroga.

Tam, powiedział. Widzisz ten wielki kontener? To za nim się chowają. Słuchaj!

Hassan, ty sukinkocie! – krzyknął.

Z drugiej strony odezwał się mężczyzna, posyłając wiązanek obelg.

On chyba przeklął moją siostrę? – spytał Joseph Kamila.

Nie masz żadnej siostry.

Tak czy inaczej splamił mój honor.

Joseph załadował karabin. Z szatańskim uśmiechem na twarzy wycelował w stronę Hassana i posłał mu kilka serii. Cała okolica stanęła w ogniu. Kule latały na prawo i lewo, w przód i w tył. Wcisnąłem się za worki z piaskiem, z karabinu Josepha wylatywały ciepłe, puste naboje i lądowały u moich stóp. Kiedy strzelanina ucichła, z tamtej strony dobiegł nas głos Hassana. Krzyczał coś o jakiejś prostytutce i chrześcijańskich matkach. Wszyscy zaczęli się śmiać.

George wyszedł z pobliskiego budynku z karabinem w ręce. Twarz miał rozpromienioną, śmiał się razem z Chalilem. Chalil objął George'a ramieniem i poszli dalej.

Czekając, słuchałem opowieści Josepha o ostatnich dwóch nocach. Toczyła się ostra walka, spadał grad bomb, a oni nie mogli się ruszyć z miejsca. Musieli tkwić na stanowiskach, ciężarówka z jedzeniem nie przyjeżdżała, byli głodni, skończyły się papierosy,

zaczynało brakować amunicji, a *Madżalis*\* nie chciało się przysłać więcej ludzi. Ponarzekał, potem zaciągnął się papierosem i powiedział: Jesteśmy niezorganizowani. Następnie zaprowadził mnie do budynku i poczęstował papierosem.

Pamiętasz Su'ad, naszą nauczycielkę? Zaśmiał się. Ale miała nogi, ładne i długie.

Jest teraz we Francji, powiedziałem.

Tak, wiem, odparł. Wyszła za tego francuskiego belfra. Każda chce wyjść za Francuza.

Wyciągnął karabin i podał mi go. Masz, strzel sobie kilka serii, może będziesz miał szczęście i trafisz Hassana w tyłek. Parę dni temu napędziłem mu niezłego stracha. Poszedł na bok się wysrać. Byłem akurat na drugim piętrze i go dostrzegłem, więc poleciałem po karabin snajperski Kamila i strzeliłem mu między nogi. Uciekał z opuszczonymi spodniami.

Nie zabiłeś go?

Nie, nie. Obiecaliśmy sobie, że kiedy wojna się skończy, pójdziemy się razem napić.

Nie chciałem wziąć karabinu. Joseph pokręcił głową, mówiąc: Zawsze byłeś taki cichy. Spokojny z siebie facet... Chociaż pamiętam twoją walkę z braćmi Ba'alini w szkole. Byłeś bezwzględny. Większość chłopaków wołała z tobą nie zadzierać. To co tutaj robisz?

Przyjechałem z George'em, żeby się spotkać z Chalilem.

Przyłączacie się?

Nie, pokręciłem głową.

Kiedyś byli tu sami ochotnicy, ale teraz trzeba formalnie wstąpić do oddziału i dostaje się kasę. Zaczynamy bardziej przypominać wojsko niż bojówki. Musimy nawet nosić mundury. Kiedy zaczęła się wojna, wszyscy byli w dżinsach. Nasz naczelnny dowódca, Ar-Rajjis, ma wielki plan. Wpadnij jeszcze kiedyś nas odwiedzić.

Kiedy wracaliśmy do George'a, zapytałem go, czego chciał Chalil.

Nic, powiedział George. Tylko pogadać.

---

\* Kwatera główna falangistów.

Tylko pogadać?

Chalil wie.

Co wie?

W co gramy.

Abu Nahra też wie?

Nie. Chalil chce dostawać działkę.

Jak się dowiedział?

Sam kiedyś pracował w salonie pokera, miał więc podejrzenia. Podpuścił mnie. Najpierw powiedział, że ma dla mnie wiadomość od Abu Nahry, że on wie. Mówi, że niby w automacie jest licznik. Potem zaproponował, że porozmawia w moim imieniu z Abu Nahrą. Jeśli zwrócę falandze pieniądze, to cała sprawa pójdzie w niepamięć. Kiedy powiedziałem, że nie mam już tych pieniędzy, zmienił taktykę. Powiedział, że tylko on wie i że chce dostawać działkę.

Gdzie on mieszka? – spytałem.

Przy dolnym moście.

Gdzie?

Nad Appo, tym barkiem, gdzie można zjeść *lahm ba'adzin*\*.

Mieszka sam?

Tak.

Powiedz mu, że nie ma sprawy, dostanie działkę.

Poszedłem do dolnego mostu i obserwowałem dom Chalila.

Zamówiłem dwa *lahm ba'adzin* w sklepiku pod jego mieszkaniem. Zjadłem, wypilem *ajran*\*\* . Potem wszedłem po schodach na górę, szukając nazwiska Chalila przy dzwonku.

---

\* Placek z mięsem (arab.).

\*\* Jogurt pitny (arab.).

Nie mogłem go znaleźć, więc opuściłem budynek i wróciłem prosto do domu.

Następnego dnia w południe George przyszedł do mnie. Moja matka Ormianka zaproponowała mu posiłek. Ucałowała go w oba policzki i mówiła o jego matce: Co to była za dama, niech ją Bóg ma w opiece, prawdziwa dama. Byłaby z ciebie dumna, George, widząc, że wyrosłeś na porządnego, przystojnego mężczyznę.

Później zapytała George'a o jego ciotkę Nabilę oraz dalekiego wuja i jego rodzinę. Nałożyła mu na talerz górę jedzenia, życzyła smacznego i powtórzyła to, co zawsze: Wy nie umiecie używać przypraw tak jak my, Ormianie.

George zwracał się do mojej matki *tante*<sup>\*</sup>, ucałował jej dłoń i jadł z apetytem.

Po posiłku poszliśmy do mojego pokoju. George wyciągnął się na moim łóżku, ja położyłem się na kanapie.

Ile on chce?

Połowę. Zostanie po ćwiartce dla nas.

Połowę? Wie, że ja też w tym siedzę?

Wie, że musi być ktoś jeszcze oprócz mnie.

Powiedz mu, żeby się z tobą spotkał przy moście, powiedziałem.

Nie przyjdzie. Chalil jest jak wąż.

Dobra. To powiedz, że spotkamy się z nim na linii frontu.

Tego samego dnia późnym wieczorem pewien mężczyzna, Samir Al-Afhama, został w drodze do domu zaatakowany przez psa rasy chihuahua. Samir Al-Afhama był poważnym człowiekiem, dawniej prowadził kancelarię adwokacką w zniszczonym obecnie centrum Bejrutu, teraz zaś był bezrobotny, ale zbyt dumny, żeby się podjąć innej pracy. Żył za niewielkie pieniądze, które przysyłał mu syn z Kentucky.

---

\* ciociu (franc.)

Kiedy przechodził obok góry śmieci, zebrane wokół psy zaczęły na niego warczeć. Ten, który go zaatakował, należał kiedyś do pani Charazi, która jakiś czas temu w pośpiechu uciekła do Paryża. Najpierw pojechała taksówką do punktu kontrolnego oddzielającego Bejrut Wschodni od Zachodniego, a potem, dzięki znajomości z jakimś bogaczem z Bejrutu Zachodniego, została zawieziona na lotnisko przez byłego pułkownika muzułmańskiego wojska, który znał się z jej mężem jeszcze przed wojną. Jej piesek zaatakował pana Samira na rozkaz swojego trzynogiego przywódcy.

Następnego dnia pan Samir poszedł do centrum falangistów porozmawiać o tym zdarzeniu i o sforcie psów, która opanowuje jego ulicę. Ostrzegął, że psią ambicją jest przejęcie kontroli nad chrześcijańską dzielnicą; korzystają z siły ostrych zębów oraz wypróbowanej metody zastraszania zwanej warczeniem, mają do dyspozycji górę śmieci, która może je żywić po wsze czasy, aż w końcu oczy znajdą im czerwienią, a z zaniedbanych dziąseł zaczną kapać ślina, wieszcząc wściekliznę.

Sprawa pana Samira została zlekceważona przez nieokrzesanego lokalnego dowódcę, który chodził, stawiając stopy na zewnątrz jak kaczka, zarówno podczas upału, jak i w chłodne dni zawsze nosił potężne buciska, niemożliwie śmierdział i cichaczem podkradał ludziom warzywa i drób, niczym średniowieczny mnich na krucjacie.

Pan Samir, adwokat wyszkolony przez jezuitów w długich, czarnych szatach, którzy skrupulatnie notowali każdy szczegół oraz nauczyli go francuskiego i dyscypliny, uniósł okulary i udał się prosto do domu Nabili. Wszedł po schodach i zapukał do drzwi.

Nabila otworzyła, ukazując się boso, w króciutkich spodenkach. W tym stroju jej uda zdawały się jeszcze bardziej krągłe i ponętne niż zwykle. Zniżyła głos i poprawiła fryzurę, widząc potężną postać pana Samira, prawnika, jego wyraźną wściekłość oraz, w tym akurat momencie, podniecenie. Pan Samir opuścił głowę na znak szacunku i z pełną powagą wygłosił długi monolog godny skorumpowanego sędziego i stada hien zasiadających w ławie przysięgłych w oczekiwaniu na odpadki pozostawione przez lwicę i jej głodne lwiątko pod afrykańskim drzewem.

Proszę mi wybaczyć, pani Nabilo, muszę jednak wszystkim uświadomić, co się dzieje w naszej okolicy. Widzi pani, ostatniej nocy zostałem zaatakowany przez sforę przepięknych



psów. Owszem, w każdej chwili możemy zginąć od bomby czy kuli, ale jeśli nabawimy się od tych kosztownych piesków wścieklizny, będziemy mieć tu epidemię. Przychodzę specjalnie do pani, ponieważ wiem, że pani siostrzeniec ma pistolet i przyjaciół wśród falangistów. Może zna kogoś wyższego ranga, kto mógłby coś z tym zrobić. Gdybym miał pistolet albo chociaż potrafił go używać, sam zrobiłbym z nimi porządek. Te psy mogą przecież zaatakować kobiety i dzieci, a niedaleko od pani domu stoi góra odpadków. Przecież mogą zaatakować również panią albo kogokolwiek innego...

O Boże, ma pan świętą rację, musimy coś z tym zrobić. Śmiertelnie boję się psów.

Tak.

Proszę wejść.

No cóż... Hm... Dobrze.

Skąd one się biorą? Nie mieliśmy tu nigdy takich psów.

Cóż, nie mamy rządu, nie mamy systemu prawnego, nie ma już żadnych zasad, ludzie rzucają śmieci na ulicę, niektórzy nawet prosto z balkonów. Parę dni temu... nasi sąsiedzi z góry...

Boże, dopomóż... Co my teraz mamy za życie.

Nasz świat się zmienił, pani Nabilo. Wszystko się zmieniło... Podczas tej wojny nie ma miejsca na szacunek do ludzi...

Może kawy, panie profesorze?

Nie, nie, dziękuję.

Ależ tak, musimy się napić kawy. Dobrze to panu zrobie na nerwy.

Zgoda, ale proszę bez cukru... Musimy się ich pozbyć, pani Nabilo, bez dwóch zdań.

Powiem o tym Gargotkowi. Jak się miewa pański syn?

Całkiem nieźle, dziękuję.

Jest w Ameryce?

Tak, w Kentucky. Ciężko jest z telefonami. Wie pani, te linie... Próbuje do nas dzwonić. Wciąż się o nas martwi... Oglądają tam wiadomości... A my nie możemy się do niego dodzwonić, żona próbuje godzinami...

Ameryka, wszystkie nasze kłopoty biorą się z Ameryki, proszę pana.

No tak, plan tego psubrata Kissingera, proszę pani.

To ropa, im chodzi o naszą ropę, proszę pana.

Tak, proszę pani. Ma pani rację. Naprawdę pyszna kawa.

*Szachtajn*\*. Jak się ma pańska żona?

No cóż, całymi dniami siedzi i narzeka. Wie pani, odkąd Zijad wyjechał, ciągle tylko płacze.

Pańska żona to prawdziwa dama, proszę pana. Niedawno widziałam ją na ulicy. Nie zatrzymałam się, żeby z nią porozmawiać... Wie pan, jak to jest, teraz już nigdy nie wiadomo, kiedy znowu się zacznie bombardowanie. Zawsze się śpieszymy... Całymi dniami słucham wiadomości...

Przepraszam panią, ale muszę już iść.

Tak, niech Bóg ma pana w opiece.

Trzeba się pozbyć tych psów.

Porozmawiam z Gargotkiem.

*A u revoir*

Nabila wzięła do ręki słuchawkę i zadzwoniła do Abu Nahry.

Psy?! – zagrzemiał Abu Nahra. Czy to czas, żeby rozmawiać o psach? Po to do mnie dzwonicz?

---

\* smacznego! (arab.)

Abu, wiesz, co to jest wścieklizna? Jeśli się zarazisz, będziesz szczekać jak pies. Włożą ci w usta kawałek drewna, żebyś miał co gryźć. Tak, tak, będziesz sobie jeździł swoim range roverem z drowienkiem w ustach... No cóż, Abu, może to jednak nie jest taki świetny pomysł... Zrób z tym coś. Zrób coś dla ludzi, zamiast tylko do nich strzelać i zabierać im pieniądze.

Nabila się rozłączyła, zapaliła papierosa i zauważyła, że jest sama w pustym domu, samiuteńka pośród wojny, otoczona psami, ludzkimi psami, psami w męskich maskach, psami uzbrojonymi w karabiny, psami w garniturach bankowców, psami, które obsikują ci kanapę i wstrętne dyszą, leżąc ci na piersi. Wszystko to psy, ci faceci, zwłaszcza faceci. Niewierne psy i tyle.

Następnego dnia, późnym wieczorem, usłyszeliśmy strzały oddawane z bliskiej odległości w naszej okolicy. Mężczyźni w piżamach schodzili na dół, trzymając w dłoniach pistolety i długie noże.

Zabijają psy! Słowa chrześcijan przelatywały z jednego balkonu na drugi. Psy zostały otoczone przez dwa jeepy wiozące siedmiu falangistów. Pogrom! Rzeź psów! Afgańska charcica została rozstrzelana za zdradę, podczas gdy w Paryżu jej ukochana właścicielka klęczała na czworakach na jedwabnym prześcieradle, wspierając artystyczne wysiłki swego sekretne kochanka, francuskiego malarza Pierre'a. Gruby falangista gonił cocker spaniela, którego mamusia kupowała właśnie na Polach Elizejskich *filet mignon*\* na zakrapiany winem rozpustny wieczór. Owczarka niemieckiego zarżnięto jak owcę w bajce o wilku, podczas gdy jego przybrani rodzice pili piwo przy długim stole w europejskiej knajpce pełnej facetów śpiewających bawarskie pieśni. W pieska chihuahua dwa razy nie trafiono z powodu jego niewielkich rozmiarów, w końcu jednak został powalony strzałem z bliska, pod samochodem, a jego mamuśka rozprawiała w tym czasie o pochodzeniu jedwabiu, popijając espresso w szykownym salonie w Wenecji. Trzynogi przywódca zginął samotnie, jako sierota, na

---

\* polędwicę (franc.)

szczybie góry śmieci, wsparty o kawałek metalu, trzy puste puszki po humusie i pudełko belgijskiego proszku do prania.

Podczas całej tej masakry pan Samir stał obok jeepa, wskazywał palcem ofiary, odczytywał na głos nakazy egzekucji oraz zamykał psie powieki. Przywiązywał ich łapy długą skórzaną smyczą do krzyży niesionych przez rzymskich żołnierzy w spódniczkach i skórzanych sandałach, wtykał ostatnie papierosy między ich obłuzowane kły, a przy każdym strzale w ataku szalu wymachiwał mieczem w górę i w dół, tocząc z ust psią karmę i krzycząc: Tego małego, dorwicie tego małego! Jest pod samochodem... To niebezpieczny okaz... Dajcie mi pistolet, sam to zrobię...

Nie zostawcie ani jednego... Wszystkie muszą zginąć! krzyczał, stojąc w piżamie tej nocy, znanej odtąd jako „Noc wielkiego księżycy i ostatniego skowytu”.

Nasze ulice zalała rzeka psiej krwi, niosąc ze sobą kości i mocz.

Chrześcijanie wygrali bitwę, bitwę stu psów.

George przyjechał po mnie następnego dnia. Pojechaliśmy na zieloną linię, żeby się spotkać z Chalilem. Obaj wzięliśmy pieniądze. Po drodze zatrzymaliśmy się pod mostem, pośrodku opustoszałej ulicy, z dala od bystrych oczu snajperów.

Włożyliśmy pieniądze do torby.

Pokażę mu tę forszę, powiedział George.

W punkcie kontrolnym zatrzymało nas kilku facetów otoczonych workami z piaskiem. Młody mężczyzna z karabinem w ręku zapytał mnie, dokąd jadę. Powiedziałem, że jedziemy się spotkać z Chalilem Kogutem. Musieliśmy poczekać, aż zadzwoni do Abu Hadida. W końcu nas puścili.

Kiedy będziecie przejeżdżać przez główną ulicę, gdzie na środku stoi spalona furgonetka, dajcie gazu do dechy, poradził nam chłopak. Jest tam wieża, z której snajper wszystko widzi.

Zanim dojechaliśmy do Niebezpiecznej Ulicy, George przystanął. Trzymaj się mocno, powiedział.

Uniósł przednie koło motoru w górę i śmigaliśmy prosto na teren falangistów.

Joseph wyszedł nam na spotkanie. Uścisnąłem mu dłoń, a George poszedł poszukać Chalila. Znalazł go, po czym obaj zniknęli w pustym budynku.

Rozmawiałem z Josephem. Narzekał, że boli go ząb, przyciskał dłoń do lewego policzka. Mówił, że popija arak, żeby uśmierzyć ból.

Powiedziałem mu o dentyście, który mógłby niedrogo załatwić sprawę. Powiedział, że sam też zna dentystę. Chodzi jednak o elektryczność, dodał. Nie ma prądu... Kiedy ostatni raz byłem u dentysty, nagle wyłączyli prąd, a ja czekałem na fotelu, wijąc się z bólu.

Jak się ma Hassan po drugiej stronie? – zapytałem.

Zobaczmy. Hassan! – krzyknął Joseph.

Hassan odpowiedział czułą wiązką obscenicznych przekleństw.

Znów obraził twoją siostrę, zażartowałem.

No właśnie, masz, zastrzel go i ocal mój honor, bracie, zaśmiał się Joseph, podając mi karabin.

Trzymałem go w prawej ręce, załadowałem lewą. Wycelowałem w powietrze i puściłem serię w stronę Hassana, podczas gdy Joseph przeklinał waginę, z której narodził się Hassan.

Hassan odpowiedział strzałami. Schowaliśmy się za worki z piaskiem, a potem wetknąłem między nie lufę i dalej strzelałem. Joseph wstał i krzyknął do Hassana, obiecując mu, że zrobi z niego szynkę. Cała linia frontu stanęła w ogniu, wszyscy zaczęli strzelać. Abu Hadid przybiegł, trzymając w obu dłoniach wielki karabin, kaliber dziesięć milimetrów. Śpiewał bluźniercze piosenki, puszczając długą serię z pasa na naboje, który miał zawieszony na mocnych ramionach. Joseph przez cały czas się uśmiechał. Wyrwał mi karabin z rąk, zmienił magazynki i krzyknął mi do ucha: Widzę, że ci się spodobało!

W tym momencie z budynku dobiegły krzyki, ktoś wołał o pomoc. To był głos George'a. Pobiegliśmy do niego, słyszałem, jak krzyczy:

Trafili go, trafili!

Ciało Chalila przewieszane było przez ramię George'a, kapąca z niego krew, ściekała z palców. Abu Hadid podbiegł do George'a, podniósł ciało Chalila i położył je z tyłu jeepa. George usiadł obok. Wziąłem motor, Joseph zajął miejsce za mną, jechaliśmy jak wariaci, trąbiąc przez całą drogę do szpitala. Widziałem, jak zranione ciało Chalila podskakuje z tyłu jeepa. George podłożył mu coś pod głowę i przytrzymał go, odwracając wzrok. Dodałem gazu i wyprzedziłem jeepa, za mną Joseph strzelał w powietrze, żeby ustępowano nam z drogi.

Kiedy przyjechaliśmy na ostry dyżur, Abu Hadid podniósł Chalila i popędził do środka. Położył bezwładne ciało na łóżku na kółkach i krzyknął: Lekarza! Widząc, że nikt się nie zjawia, wyciągnął karabin i zaczął strzelać w korytarz – biała farba i zbitki kurzu spadały z sufitu na jego czerwoną twarz. Podbiegły dwie pielęgniarki i popędziły z Chalilem przez szpitalne korytarze.

Chalil zmarł.

W drodze powrotnej George jechał powoli. Siedząc za nim na motorze, otworzyłem torbę z pieniędzmi, podzieliłem forszę i schowałem ją przed wiatrem. Wsunąłem działkę George'a do wewnętrznej kieszeni jego kurtki, zaraz obok pistoletu.

George, powiedziałem następnego dnia, gdy siedzieliśmy w kawiarni, pijąc kawę i paląc, w środę jest pogrzeb Chalila. Idziesz?

Nie, odparł, patrząc na mnie przeszywającym wzrokiem. Nie mam zwyczaju tańczyć wśród piór ptaka, którego zabiłem.

\*

W środę poszedłem na ulicę koło mostu. Po drodze widziałem zdjęcia Chalila przyklejone na drzwiach zakładu szewskiego i na betonowych ścianach. „Nasz bohater Chalil ad-Dik zmarł śmiercią męczeńską na linii frontu, broniąc ukochanej ojczyzny”, głosił plakat. Minąłem je i wszedłem na dach budynku naprzeciwko domu Chalila. Przysiadłem tam jak jastrząb, obserwowałem mężczyzn wchodzących do środka i słuchałem świątobliwego zawodzenia odzianych na czarno kobiet w pokoju pełnym omdlewających matek, sióstr o czerwonych od płaczu oczach, pobożnych babć. Na ulicach roiło się od falangistów.

Zobaczyłem, jak Abu Nahra wysiada z jeepa i idzie prosto do trumny. Podawał ludziom dłoń, nie zdejmując ciemnych okularów. Miałem ochotę zobaczyć jego oczy.

„Pogrzeby są zawsze takie same”, pomyślałem. „Mężczyźni osobno, kobiety osobno. Dom zmarłego przyjmuje kobiety, sąsiedzi przyjmują mężczyzn”. Ja zaś tkwiłem na dachu jak sęp, który patrzy na wszystko z góry i ląduje na ziemi tylko po to, żeby się najeść.

Kiedy po wąskich schodach znoszono trumnę, przytrzymywaną przez potężnych młodych mężczyzn, którzy bili się o złote uchwyty, a potem nieśli ją na ramionach, żeby oddać z powrotem ziemi, zawodzenie kobiet się nasiliło. Balkony w całej okolicy pełne były ludzi; z dachów wyglądały nieme twarze ciekawskich. Kolesie z batalionu Chalila stanęli w szeregu, wycelowali karabiny w sunącą po niebie chmurę i wystrzelili w powietrze na cześć oddalającej się powoli trumny.

Mężczyźni szli za trumną, kobiety machały jej na pożegnanie. Patrząc z góry, widziałem chrześcijan w drodze do piekła.

## 6

Z powodu upału miałem sucho w gardle. Leżałem w samej bieliźnie, myśląc o Ranie.

Włożyłem dzinsy i poszedłem ulicą w stronę jej domu. Gdy dotknąłem stopą rozplywającej się z upału ziemi, rozdzwoniły się kościelne dzwony.

Cud! Cud! – krzyczała Wafa, spiesząc tam, skąd dochodził ich dźwięk.

Isam podrapał się po głowie, Butrus patrzył w niebo. Poszedłem w stronę kościoła i zobaczyłem tłum zebrany przed wejściem; staruszki w czerni biły się w zapadnięte piersi. Chwyciłem za rękę hydraulika Salaha i ściszone głosem zapytałem, co się dzieje. Odpowiedział: Jakaś dziewczynka zobaczyła na niebie Maryję Pannę, która rozpostarła szaty, żeby nas wszystkich osłonić przed muzułmańskimi bombami. Dłonie dziewczynki pokrywa święty olejek.

W kościele panował ścisk. Mamrotane słowa mieszały się ze sobą, nasączone wodą święconą modlitwy spalały się w płomieniu świec. Ku niebiosom unosił się zbiorowy śpiew.

Wślizgnąłem się w tłum jak gad o wilgotnej skórze. Przecisnąłem się do ołtarza, oddzielając kaleki od ich matek, ślepych od lasek, zalane łzami twarze od uniesionych rąk. Ponad głowami klęczących sunąłem do przodu, w stronę złotych ikon, a potem zatrzymałem się z boku i patrzyłem: stała tam dziewczyna, której nigdy wcześniej nie widziałem, nieruchoma jak posąg. Patrzyła w sufit, jej otwarte dłonie błyszczały. Była młodziutka, mogła mieć kilkanaście lat. Jej oczy mieniły się szaleństwem. Wokół ust błąkał się uśmiešek, zdawała się nierealna, jak zjawą.

Ksiądz dymił wokół niej kadzidłem. Ludzie zegnali się, jakaś starsza pani wyrwała się do przodu i dotknęła dłoni dziewczyny. Ksiądz odciągnął ją w tył i skierował z powrotem na miejsce, wtedy jednak tłum przesunął się naprzód, wyciągając ręce w stronę dziewczyny. Pojawiło się kilku mężczyzn, którzy zaczęli odpychać ciżbę w tył, tworząc tarczę mającą chronić dziewczynę. Zabrano ją na tył ołtarza. Gardłowe pomruki i histeryczne krzyki,



wyciągnięte dłonie i bicie się w piersi, dym z kadzidła, zabobonne piski, widok pobożnych wiernych na potrzaskanych kolanach, nieznośne gorąco, wszystko to kazało mi szukać otwartych drzwi. Kierując się ku wyjściu, złapałem za rękę kobietę, która dotknęła dłoni dziewczyny, uniosłem jej palce do nosa i powąchałem, ale stara wyrwała mi dłoń i odepchnęła mnie, krzyząc: Wiara! Wiara! Prześlizgiwałem się z powrotem przez tłum niczym włócznia wycofującego się wojownika.

Przez wiele dni tłumy ludzi ściągały z całego miasta do kościoła. Bicie dzwonów tłumilo huk bomb. Czułem się ogłuszony przez radio matki i bijące dzwony.

Wieczorem słońce odeszło ze świata. Na jego miejscu pojawił się jasny, okrągły księżyc. Unosił się nad Maryją Panną, zalał jej błękitną suknię białą poświatą i stworzył aureolę nad jej głową. Na dole tłum ruszył w stronę kościoła, odbijając się od murów swoich domów z pluskiem, niczym odpływ.

Rana i ja leżeliśmy nago w pokoju George'a. Jej dłonie były suche i ciepłe, uda zaś mokre, jak jedwabne prześcieradła nasączone świętym olejkim. Przykryła się i słuchała moich marzeń o gołębiach w Rzymie.

Chcesz jechać do Rzymu?

Myślę o tym.

I co, mnie tutaj zostawisz?

Nie, możesz jechać ze mną.

A co ja bym robiła w Rzymie?

Mogłabyś studiować, spacerować i wracać do mnie.

A jak mielibyśmy się tam dostać?

Pracuję nad tym, powiedziałem.

Rana wstała i poszła do kuchni. W zlewie stały brudne naczynia. Wycisnęła trochę płynu na gąbkę, naląła do zlewu wody z kubła i je umyła.

Nie znoszę brudnych naczyń, powiedziała. Doprowadzają mnie do szału. Wyjdź i zobacz, czy na schodach nie czają się jacyś ciekawscy sąsiedzi. Muszę iść do domu.

Otworzyłem drzwi i rozejrzałem się. Nie ma nikogo, stwierdziłem.

Rana ubrała się i zbiegła po schodach.

Zamknij drzwi, szepnęła ze złością, zbiegając. Wracaj do środka! Zamknij drzwi, jeszcze ktoś mnie zobaczy!

Stałem w otwartych drzwiach i uśmiechałem się, patrząc na nią.

Nieco później George wrócił do swojego mieszkania.

Widziałem z balkonu, jak podjeżdża jeepem. Miał na sobie mundur falangisty, w rękę trzymał M-16. Kiedy wysiadał z jeepa, przerzucił karabin z jednej ręki do drugiej. Zapukał do swoich własnych drzwi.

Rana jeszcze jest? – zapytał.

Poszła już. Nowe ciuchy? – spytałem.

Nie odpowiedział. Położył karabin na kanapie, zdjął buty i powiedział: Abu Nahra mnie wezwał.

I co?

Zapytał, co się dzieje w kasynie. Wydaje mi się, że on coś podejrzewa.

Wątpię.

W każdym razie poprosił mnie, żebym wstąpił do oddziału. Spojrzał mi prosto w oczy i powiedział, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Chyba wiesz, co miał na myśli?

Więc to cię przestraszyło i dlatego się zaciągnąłeś? Może miał na myśli to, że stracisz robotę?

Nie, dobrze wiem, co on miał na myśli. To ja tam byłem.

Gdzie mieszka Abu Nahra? – zapytałem.

Bassam, wokół niego zawsze jest pełno ochroniarzy. Nawet o tym nie myśl. Słuchaj, lepiej będzie przystopować na razie z automatami do pokera.

Uniósł karabin wyżej, do podbródka, i przycisnął go do koszuli khaki na piersi. Potem wycelował we mnie i uśmiechnął się.

Weź do ręki. Widzisz? Lekki jak piórko.

Zdjął ubranie i poszedł do łazienki. Słyszałem, jak klnie: pieprzona woda!

Wciągnął koszulę i spodnie, wszedł na dach i wrócił z pełnym wiadrem. Polewałem jego głowę wodą, a on się mył pod pachami. Kiedy skończył, posmarował sobie szyję wodą kolońską.

Idę się spotkać z tą babeczką z Brumana, powiedział.

Zadzwoń!

Kiwnął głową i przecesał swoje proste czarne włosy. Idziesz ze mną?

Nie, posiedzę tu. Ale zostaw mi pistolet.

Rzucił go na kanapę, o nic nie pytając.

Wsunąłem pistolet za pasek i ruszyłem do domu Josepha Szajbana. Wszedłem przez otwartą klatkę schodową, zostawiając na brudnym marmurze ślady butów. Joseph mieszkał w jednym ze starych libańskich domów, które były mieszanką architektury florenckiej oraz arabskiej i ukrywały się pomiędzy okazalszymi nowoczesnymi budynkami wyposażonymi w windy i duże balkony.

Zapukałem do drzwi Josepha. Otworzyła jego matka. Przywitałem się i zapytałem ją o zdrowie. Zaprosiła mnie do środka i zawołała syna. Joseph akurat spał. Wszedł do pokoju w szortach, białej bawełnianej koszulce bez rękawów i plastikowych klapkach, które pasowały do taniej ceraty na stole jego matki. Przywitaliśmy się, a matka przyniosła mi coś do picia, przepraszając, że nie ma lodu, narzekając na braki wody, na wojnę, na życie... Jej słowa były echem słów mojej matki.

Kiedy poszliśmy z Josephem na dach, krzyczała z dołu: Dachy są niebezpieczne, wszędzie czyhają snajperzy! Zejdźcie tutaj, porozmawiajcie w pokoju. Ja wyjdę, tylko zejdźcie na dół!

Dach jednak nie miał ścian, nie chcieliśmy zaś pogłosu, więc zignorowaliśmy jej krzyki. Pokazałem Josephowi pistolet i spytałem go, czy nie zna kogoś, kto chciałby taki pistolet sprzedać. Wziął go do ręki, wyjął magazynek, włożył z powrotem, naciągnął spust, wycelował w stronę Bejrutu Zachodniego i strzelił.

Beretta, powiedziałem. Dziewięć milimetrów, dziesięć naboí. Czysty, nieużywany w walce.

Dowiem się.

Jak sobie radzą rodzice Chalila? – zapytałem.

Parę dni temu zobaczyła mnie na ulicy jego siostra. Wracałem z linii frontu w mundurze i tak dalej, a kiedy mnie zobaczyła, zaczęła krzyczeć: Zabiliście mojego brata! Jesteście bandyci, przestępcy, jak możecie zabierać takich młodych chłopców na wojnę?! On miał siedemnaście lat, krzyczała. Siedemnaście lat, przecież to jeszcze dziecko!

Joseph pokręcił głową i jeszcze raz obejrzał pistolet.

Wciąż jeszcze chodzisz na linię frontu? – spytałem.

Tak, odpowiedział. Abu Nahra nie pozwoli, żebym odszedł. Wiesz, jak się w to już wejdzie, nie ma odwrotu.

A co Abu Nahra myśli o śmierci Chalila?

Zadawał wiele pytań, ale mnie akurat nic nie powiedział.

Obiecałem Josephowi, że załatwię mu tłusty, błyszczący haszysz. Uśmiechnął się i powiedział, że postara się znaleźć dla mnie dobry pistolet.

Kiedy zeszliliśmy na dół, matki Josepha nie było. Joseph wrócił do środka.

Tego dnia, pamiętam, było zawieszenie broni i parę chmur na niebie.

Następnego dnia pożyczyłem motor George'a. Spotkałem się z Raną na obrzeżach naszej dzielnicy, na rogu budynku pełnego ludzi, którzy nigdy wcześniej nie widzieli naszych twarzy. Rana usiadła za mną i pojechaliśmy prosto w góry. Ścisnęła mnie w pasie obiema rękami. Jechałem po żwirowych drogach, między wzgórzami. Kiedy się zatrzymaliśmy, podałem jej pistolet, objąłem ją z tyłu, kładąc dłonie na jej dłoniach, wyciągnęliśmy ręce i celowaliśmy w zardzewiałe puszkę. Strzeliła i się zaśmiała. Potem uwolniła się z mojego uścisku, odepchnęła mnie, sama wzięła pistolet, wycelowała i strzeliła. Uśmiechnęła się i podeszła do mnie, kołysząc biodrami, machając pistoletem w powietrzu. Wycelowała w moją pierś. Trzepocząc zalotnie rzęsami, powiedziała: Teraz, gdy już mam pistolet, pojedę za tobą do Rzymu, a jeśli wyjedziesz beze mnie, to cię zastrzelę.

Bejrut wyglądał z daleka jak pasmo cementowych pagórków, samych stłoczonych budynków, bez ulic, latarni i ludzi.

Tam, zobacz, to strona muzułmańska. W życiu nie spotkałam żadnego muzułmanina. Chociaż nie, w szkole mieliśmy dwie muzułmanki, ale uciekły, gdy zaczęła się wojna. Faten, jedna z nich miała na imię Faten, a druga – nie pamiętam... Nie mogę sobie przypomnieć.

Objąłem ją i pocałowałem w szyję. Pod cienką białą bawełnianą koszulą jej sutki sterczały, owiewane delikatnym, chłodnym wietrzykiem. Wsunąłem dłoń pod jej bluzkę, bawiłem się jej piersiami, a potem ssałem jej okrągłe czerwone sutki.

Była niespokojna, rozglądała się dookoła, wypatrując zagubionych wędrowców, miłośników przyrody i polujących na ptaki myśliwych, a kiedy wepchnąłem dłoń pod jej obcisłe dzinsy, powiedziała: Bassam, przestań. Nie tutaj. Bassam, przestań!

Nie przestawałem. Dyszałem jak pies i natarczywie się do niej dobierałem. Rana zamarła, po czym chwyciła moją dłoń i mnie odepchnęła. Wycelowała we mnie z pistoletu.

Kiedy mówię przestań, to masz przestać! Przestać! – krzychała w złości.

Podszedłem do niej. Chwyciłem ją za nadgarstek, wycelowałem lufę w swoją klatkę piersiową i powiedziałem: Strzelaj!

To boli, powiedziała.

Zabrałem jej pistolet, oboje milczeliśmy, ciężko oddychając.

Później pojechaliśmy dalej między wzgórz. Zatrzymaliśmy się i jeszcze raz spojrzeliśmy na miasto. W Bejrucie Zachodniej nad ziemię wzbijała się podłużna chmura w kształcie grzyba.

Bomba, powiedziała Rana. Zobacz, tam spadła bomba.

To chyba raczej jakiś wybuch, stwierdziłem.

W drodze powrotnej Rana głaskała mnie dłońmi po piersi. Wbiła mi paznokieć w skórę i powiedziała: Mogłam cię tam zastrzelić.

Matka szła, szurając nogami po schodach, niosła torby z warzywami, mięsem i chlebem.

Zawołała mnie do kuchni: Co się dzieje między tobą i Raną? Dziś rano przy kawie jej matka mnie o was pytała.

O co konkretnie?

O twoją pracę i czy chciałbyś przyjść razem ze mną do niej do domu. Powiedziała, że Rana jest już w odpowiednim wieku, żeby się zaręczyć.

Jesteśmy tylko przyjaciółmi, odparłem.

Nie okłamuj mnie, Bassam. Rana jest dla mnie jak córka, to nie jest tego rodzaju dziewczyna. Jeśli nie masz poważnych zamiarów, to nie niszczyć jej przyszłości. U nas ludzie gadają. Ludzie gadają.

Odwróciłem się i poszedłem. Krzyczała za mną: Tak, tak, dokładnie jak twój ojciec! On też zawsze wychodził, potrafił tylko wychodzić! Żadnego z niego nie było pożytku! Żadnego!

Spadło już ponad dziesięć tysięcy bomb, a ja tkwiłem między dwiema ścianami, mając przed sobą drżącą ze strachu matkę. Powiedziała, że nie zejdzie do schronu, jeśli z nią nie

pójdę. Ja zaś odmawiałem chowania się pod ziemią. Ja, potomek długiej linii potężnych wojowników, mogłem umrzeć jedynie na otwartym powietrzu, ponad błotnistą ziemią, wśród gwiżdżącego wiatru.

Matka podskakiwała przy każdym wybuchu. Wzywała po kolei imiona wszystkich świętych dziewic, ale one były zajęte i nie odpowiadały.

Petra, nasza mała sąsiadka, wczołgała się po brudnych marmurowych schodach i zapukała do drzwi. Spojrzała podejrzliwie na mój błyszczący miecz i twarz wojownika, po czym zakryła usta i szepnęła coś w tajemnicy mojej matce do ucha. Matka podniosła się i poszła prosto do łazienki. Wróciła z paczką po podpaskach i powiedziała: Pusta, *babibtī*<sup>\*</sup>, ale nic się nie martw, chodź ze mną.

Mała miesięczkująca figurka wstała, twarz miała purpurową ze wstydu. Schowała się szybko w pokoju matki.

Zszedłem po schodach i przeciąłem opustoszałą ulicę, zmierzając do Abu Dolly'ego, właściciela sklepiku. Sklep był zamknięty, ale Abu Dolly mieszkał z rodziną na zapleczu. Zapukałem. Sklepikarz uchylił drzwi. Na mój widok zmarszczył brwi i zapytał, czego mi trzeba. Podpasek, powiedziałem. Teraz zamknięte, odparł bezbarwnym głosem.

To pilne! – krzyknąłem.

Chodź do środka.

Wszedłem do jego domu. Pachniało tam szarym mydłem, mieloną kawą, gnijącymi warzywami, które utknęły pod buczącą głośno lodówką, dwoma kotami łowiącymi brązowe myszy oraz córką sklepikarza, Dolly. Karmiła nowo narodzone niemowlę okrągłą, białą piersią, na której widok zachciało mi się pić. Kiedy wszedłem do środka, Dolly zakryła dziecko i pierś różową wełnianą narzutą. Żona sklepikarza, Umm Dolly, siedziała w kącie i robiła na drutach, jej zięć Elias miał na sobie szelki i gapił się na ścianę, paląc papierosa. Wszyscy siedzieli wokół dwóch żałosnych świeczuszek, których płomyki migotały dziko i diabolicznie, rzucając ludzkie cienie na płonące ściany Hadesu.

---

\* kochanie (arab.)

Abu Dolly, mężczyzna w średnim wieku, który nigdy nie miał syna, a jego przewisko odnosiło się do najstarszej córki, podał mi dwie paczki podpasek.

Które chcesz? – zapytał.

Przysunąłem oba pudełka bliżej do świecy, a potem je powąchałem, na co żona sklepikarza wzdrygnęła się i mruknęła coś oburzona.

Po co je wąchasz? – rzucił Abu Dolly i wyrwał mi obie paczki. Wynos się stąd, wyjdź!

Zaczął mnie pchać, odepchnąłem go. Jego zięć złapał kij od miotły i mi nim pogroził. Wyrwałem jedną z paczek z dłoni Abu Dolly'ego, drugą rękę wsunąłem za pasek i wyciągnąłem pistolet. Trzymałem go luźno w dłoni, z lufą zwisającą w stronę podłogi. Umm Dolly zaczęła krzyczeć: On ma pistolet! On ma pistolet! Dolly odcięła od ust niemowlęcia dopływ ciepłego mleka, na co dziecko zaczęło płakać, i uciekła do drugiego pokoju.

Ściskając paczkę podpasek, wyszedłem przez drzwi wejściowe na świeże powietrze. Słyszałem za sobą, jak Abu Dolly krzyczy: Znałem twojego ojca! Znałem twojego ojca, przyjaźniliśmy się! Wstydziliby się, widząc, co wyrosło z jego syna! Bandyta! Wstydz się, tak mnie obrażać w moim własnym domu, przed rodziną! Bandyta! Tak, synu, jesteś bandytą!

Splunął na podłogę, przeklinając moje pokolenie i takich jak ja.

Bandyta szedł między budynkami, unikając spadających bomb. Bandyta przechodził nad strumieniami ścieków wypływającymi z pękniętych rur. Szedł z pistoletem w jednej dłoni i paczką delikatnej waty w drugiej.

Następnego dnia George przyszedł po swój motor.

Stał zaparkowany, przechylony nad okrągłą kałużą wyschniętej benzyny, w cieniu przed warzywniakiem, naprzeciwko szpitala, tyłem do kościoła.

Oddałem George'owi kluczyki, obracał je chwilę na palcu wskazującym, po czym powiedział: Musimy pogadać.



Prowadził, a ja trzymałem się go w pasie. Pojechaliśmy do Karantiny, dawnej kurdyjskiej dzielnicy nędzy przy starych torach kolejowych, zdobytej i doszczętnie zniszczonej przez chrześcijańskie oddziały. Obecnie wszystko tu było zrównane z ziemią, blaszane daszki, małe uliczki i kałuże nieczystości wyparowały – zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Bojowników pozarynano z zimną krwią. Ich kobiety zdążyły uciec łódkami podskakującymi na falach Morza Śródziemnego, trzymając w ramionach bose dzieciaki z zasmarkanymi nosami. To tutaj Abu Nahra i jego ludzie napadli na obóz, zabijali mężczyzn i wyciągali im złote zęby, to tu Abu Nahra zdobył reputację bezwzględnego dowódcy. Jego zwycięscy wojacy ponabijali głowy pokonanych na bagnety i paradowali z nimi po ulicach. Ciała zabitych przywiązywano z tyłu jeepów, tak że obijały się po asfaltowych drogach i toczyły po bocznych uliczkach.

Teraz na miejscu obozowiska kwitła łąka, na trupim kompoście rosły dzikie chwasty, a pośród nich można było dostrzec popiół ze spalonych ścian oraz oddziały much wyrosłych na krwi i pustych nabojach.

Mów, powiedziałem. Mów, zanim trupy pod naszymi stopami wrócą do życia.

Odchodzę z salonu pokera, powiedział George. Poprosiłem Nadziba, dalekiego kuzyna, żeby zajął moje miejsce. Możesz dalej prowadzić ten interes. Pokażę mu, na czym to polega.

Dlaczego odchodzisz?

Abu Nahra dał mi inne zajęcie.

Jakie?

Niedługo wyjeżdżam do Izraela na jakieś szkolenie. Nasze siły pracują nad wzmocnieniem relacji z Żydami na południu.

To błąd, powiedziałem cicho.

Nie, Bassam, prowadzimy tę wojnę sami, każdego dnia nasi ludzie są masakrowani. A ty... twojego dziadka zarżnęli... ojca ci zabili... a ty... ty... Zjednoczymy się nawet z diabłem, żeby ocalić kraj. Jak mamy zmusić Syryjczyków i Palestyńczyków do odwrotu?

Ja uciekam i zostawiam ten kraj jego własnym diabłom, powiedziałem.

W nic nie wierzysz.

A od kiedy to tacy jak my złodzieje i bandyci w cokolwiek wierzą?

Pojechaliśmy pustą autostradą na wybrzeże. Był letni dzień, wiał ciepły wietrzyk. Siedzieliśmy na brzegu morza i patrzyliśmy na wodę.

Małe łódki kołysały się na falach, które niespiesznie zbliżały się do brzegu, a my siedzieliśmy. Zapadła noc, a my przypaliliśmy cienkie bibułki i zaciągaliśmy się, patrząc w dal; obserwując świat i własne halucynacje, śmialiśmy się i paliliśmy dalej. Skończyliśmy dwa skręty, aż nam poparzyły czubki palców, paznokciami zgasiliśmy żar. W mojej wizji rosły drzewa na równinie, był też dom – otwarty dom, i cienie, i słońce poruszające się po prostej zamiast po kole, a także księżyc, który pozostawał nieruchomy i w nocy oświetlały go świece oraz gwiazdy, maleńkie dziurki, przez które przebijało światło i spadało w ocean. Ziemia pachniała wilgocią, lecz trawa była brązowa, obumierała i zmieniała postać, unosząc się na słonej wodzie. Wstałem i ruszyłem przed siebie, napotkałem rybaka – minęliśmy się w kompletnej ciszy, bez jednego spojrzenia. Śnił mi się stół, kobieta o dłoniach zdobionych henną, połamane krzesło, wszystko to pod jednym dachem. Zobaczyłem drzwi, które musiałem otworzyć. Podeszedłem do pierwszych drzwi i pociągnąłem z całej siły – przekroczyłem próg i popędziłem ku drugim drzwiom, które jednak były zamknięte na klucz. Czekałem tam wiele dni, błagając drzwi, żeby się otworzyły. Potem zasnąłem i śniłem, że drzwi się otworzyły. Naga kobieta z torbą w ręku uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: Zdejmij ubranie. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że moja szata zamienia się w wodę. Zebrałem wodę i jej podałem. Wzięła ją w dłonie i chlusnęła mi w oczy. A teraz, powiedziała, przejdź przez trzecie drzwi, a jeśli zobaczysz swojego ojca, powiedz mu, że zostawiłeś ubranie. Zobaczyłem dwie ścieżki. Pójdę wąską ścieżką, powiedziałem. Przyśnił mi się kolejny sen, w którym byłem w rzece. Trzymałem w dłoniach kawałek chleba, który rzuciłem jakiemuś ptakowi. Przedostałem się na drugi brzeg i zobaczyłem czwarte drzwi. Pchnąłem je z całej siły, ale nie chciały się otworzyć. Dotknąłem ich delikatnie palcem, a one ustąpiły. Wszedłem do ogrodu, w którym stało krzesło, a na nim książka. Usiadłem na krześle i zapaliłem. Potem zacząłem śpiewać, a przede mną otworzyły się kolejne drzwi.

Pospieszyłem na drugą stronę i przeszedłem przez pustkę – nie było tam drzew ani stołów, krzeseł, ptasich skrzydeł, księżycy, świateł ani myśli. Stałem bez ruchu i zamknąłem oczy. Przyśnił mi się wielki kwiat. Powąchałem go. Wspiąłem się po łądydze i umościłem sobie posłanie wśród jego płatków. Zasnąłem i przyśnił mi się kolejny sen, w którym widziałem przyjaciela zanurzonego w mieszaninie światła i krwi.

Jechaliśmy z powrotem, mając przed sobą drogę, na którą padało jedynie światło reflektora poniżej naszych odrętwiałych piersi, kości palców i ciężkich przekrwionych oczu. Jechaliśmy w stronę zaciemnionego miasta, oświetlonego tylko przyćmionymi lampami zawieszonymi na barykadach. Słabiutkie promienie miasta odbijały się od błyszczących żołnierskich butów.

Kiedy wróciłem do domu, zadzwonił telefon, ale nie odbierałem. Leżałem na łóżku, choć nie mogłem spać. Wyciągnąłem spod koszuli pistolet i schowałem go pod materac. Z dołu dochodziły hałasy – kocie bójki, czasem pospieszne kroki, jakieś szepty, ciche szmery, które przedostawały się do mojej głowy i snów i przemieniały w znajome słowa.

Nagle zatrzęsyły mną ręce mojej matki, która ściągając ze mnie kołdrę, błagała, żebym się obudził.

Zejdź na dół, celują w naszą okolicę. Zejdź na dół, odsuń się od okna. Jak możesz tak spać? Wszędzie dookoła spadają bomby.

Była z nią Nahla, nasza sąsiadka, która również mnie błagała. Zlituj się nad swoją matką. Zejdź z nami do schronu. Czekala na ciebie cały dzień i całą noc. Jak możesz być tak bezmyślny? Całą noc nie spała. Gdzieś ty był?

Zostanę między tymi dwiema ścianami, powiedziałem. Wy sobie schodźcie na dół, mnie tu jest dobrze.

Nie, zejdź! Potrzebny nam w schronie mężczyzna. Chodź z nami, skarbie. Zaklinam cię na grób twojego dziadka, zejdź na dół!

Usłyszeliśmy głośny wybuch. Niedaleko spadła bomba. Kobiety wrzasnęły z przerażenia i rzuciły się na podłogę. Blisko! To było gdzieś blisko, mówiły, po czym wstały i pobiegły na korytarz. Na ulicę spadały kawałki szkła i kamienia. Matka się trzęsła. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że na jej twarz wystąpiły zmarszczki, tworząc kanały dla płynących po zapadniętych policzkach łez.

Dzieci, moje dzieci! – krzyknęła Nahla.

Chwyciłem Nahlę za rękę, żeby nie pozwolić jej wybiec na zewnątrz. Na pewno już leci druga, powiedziałem. Nie ruszaj się!

Nahla próbowała się wyrwać, ale ją trzymałem. Walczyła w moich ramionach jak schwytny zwierz. W końcu podrapała mnie po twarzy i wybiegła. Ruszyłem za nią po schodach. Ogarnięta histerią wykrzykiwała imiona swoich dzieci przez całą drogę w dół na ulicę pełną odłamków szkła. Nagle budynkiem wstrząsnął głośny, świdrujący huk. Czułem, jak napiera mi na klatkę piersiową. Usłyszałem opóźniony brzęk spadającego szkła, zobaczyłem słup dymu o smaku starego kurzu i okrutnej ziemi. Zapach prochu i spalonego chleba kazał mi się przedrzeć przez dym i wrócić na górę, gdzie, już bez tchu, zawołałem: Mamo.

**Część druga**

**BEJRUT**

Moi rodzice, którzy za życia się nienawidzili, teraz spoczywali razem w drewnianych skrzyniach pod jedną i tą samą ziemią.

Kłócili się i wrzeszczeli na siebie, kiedy ojciec wracał późną nocą, ziejąc alkoholem, i prał matkę po twarzy dłońmi, którym nie poszczęściło się w grach hazardowych, a matka z podbitym okiem uciekała do kuchni, mając za sprzymierzeńców latające talerze i ich skorupy na podłodze. A teraz, gdy oślizgłe mięsolubne robaki toczyły już ich złożone w wilgotnej ziemi ciała, oni nadal skakali sobie do gardeł.

Rzuciłem pierwszą grudkę ziemi na trumnę matki, a potem odwróciłem się i poszedłem z powrotem do domu, byle dalej od monotonnych śpiewów, białego dymu kadzidła i łez.

Przez kolejne dni do moich drzwi pukali sąsiedzi i przyjaciele, ale nie otwierałem.

Pałem. Ucichł brzęk garnków, radio milczało, ustał delikatny szelest miotły, byłem sam – w jakiś sposób napełniało mnie to spokojem.

Wiatr swobodnie wpadał i wypadał przez dwie ogromne dziury w ścianach domu. Tylko wiatr mnie odwiedzał, tylko on miał prawo wstępu. Kiedyś późną nocą, gdy otworzyłem drzwi, żeby pójść po papierosy, znalazłem na progu talerz z chlebem. Zostawili go tam sąsiedzi, gdy zdrętwiały im już palce od stukania w drzwi.

Szedłem ulicami, aż dotarłem do cmentarza. Wypaliłem papierosa, a potem wdrapałem się na ogrodzenie i stanąłem przed kopczykiem ziemi, której wciąż jeszcze nie wyrównano. Stałem i słuchałem szmeru rodzicielskich głosów. Choć może to tylko wiatr ocierał się o białe kamienne krzyże?

Tej samej nocy, trochę później, George i Nabila wyłamali zamek w moich drzwiach i weszli do środka. Nabila, ubrana na czarno, podbiegła do mnie.

Aleś wychudł, powiedziała. Spójrz tylko na siebie, jak pożółkłeś, sama skóra i kości. Musisz jeść. Przyniosłam ci jedzenie. Usiadła na brzegu łóżka i mówiła: Musisz jeść. Proszę, Bassam, jedz.

George stał w milczeniu nieco dalej. Przechadzał się pośród szczątków mebli, wyglądał przez dziury w ścianach. Potem wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Kiedy zapalił zapałkę, Nabila syknęła na niego: Starczy tych papierosów. On musi jeść. Zobacz, jaką ma pożółkłą cerę.

Następnego dnia wróciłem do pracy w porcie. Brygadzysta Abu Tarik podszedł do mnie wolnym krokiem. Złożył kondolencje, podziękowałem. Widziałem, że czeka na jakieś oznaki smutku, że może uronię parę łez, podobnych do słonych fal, które wzbierały u naszych stóp i rozbijały się o betonowe brzegi doku. Nie było jednak we mnie smutku, którym mógłbym się podzielić czy afiszować. Jeśli już, śmierć matki raczej mnie wyzwoliła. Teraz już nic mnie tutaj nie trzymało. Jej śmierć zbliżyła mnie do ptaków i oddaliła od ludzi. Ptaki lecą w niebo, a mnie marzył się własny lot. Miałem ochotę powędrować gdzieś bez celu, z głową tuż nad ziemią, obserwując mijane kamyki, wdychając kurz. Czułem się teraz bliżej psów niż ludzi.

Pod wieczór wróciłem do kamienicy i zobaczyłem siedzącą na schodach Ranę. Przeszedłem obok niej bez słowa. Weszła za mną na górę, aż do mojego pokoju. Później zaczęła chodzić po domu i zbierać szczątki mebli i porozrzucane kamienie.

Zostaw, powiedziałem.

Nie! – krzyknęła i zaczęła płakać. Potem wzięła mnie za rękę i powiedziała: Musisz naprawić szkody w domu, słyszysz? Słyszysz, co mówię?

Podnosiła kolejne przedmioty, płakała i krzyczała na mnie: Mijają kolejne dni, a ty słowa z siebie nie wydusisz!

Milczałem.

Dość tego! Powiedz coś! Powiedz! Popchnęła mnie otwartymi dłońmi.

Próbowałem wyjść, ale zablokowała mi drogę.

Nie! Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się do mnie nie odezwiesz. Nie.

Odepchnąłem ją. Uderzyła mnie w twarz. Wziąłem ją za rękę i popchnąłem na podłogę. Potem zszedłem po schodach i ruszyłem w miasto.

Kiedy spotkałem się z Nadzibem w kasynie, był jeszcze ranek i automaty do pokera nie zostały włączone. W lokalu unosił się zapach wczorajszego dymu, nieumytych szklanek po whisky i ciężkiego oddechu hazardzistów.

Jestem przyjacielem George'a, powiedziałem.

Pokiwał głową, wyszedł zza baru i podłączył jeden z automatów.

Tego dnia po południu spotkałem się z Nadzibem na schodach kościoła.

Teraz był bardziej zdenerwowany niż rano.

Minąłem go, mówiąc, żeby szedł za mną. Wahał się przez chwilę, czekał, po czym ruszył moim śladem po schodach w dół.

W kościelnym zaułku śmierdziało szczynami i wilgocią starych miejskich murów. Podałem mu pieniądze. Przeliczył, wsunął do kieszeni i spytał opryskliwie, kiedy znów przyjdę.

Jak zwykle, w piątek rano, oznajmiłem. Czy George mówił, żebyś przyniósł mi whisky, gdyby działo się coś podejrzanego?

Tak, tak, wszystko mi powiedział, odparł Nadzib. Odwrócił się i popędził w górę po schodach.

W piątek, zawołałem za nim.

\*



Dziesięć tysięcy trumien zniknęło cicho pod ziemią, a żywi wciąż tańczyli na jej powierzchni z bronią w ręku. W ciągu kilku kolejnych dni kupiłem od Josepha pistolet i zamurowałem dziury w ścianach. Nadchodziła zima i wędrujące wiatry nie były już mile widziane. Spadł deszcz, przemoczył ziemię i zalał moich rodziców miękkim błotem. Całymi dniami paliłem, leżąc w łóżku. W domu panowała cisza, byłem sam.

Któregoś popołudnia wziąłem do rąk radio matki. Zdjąłem obudowę i zobaczyłem żółte i zielone druty. Okrągły głośnik z tandetnego srebrzystego metalu przyklejonego do zielonego plastiku milczał. Myślałem, że znajdę tam Fajruz, ale ona śpiewała gdzieś w Paryżu.

W piątek, gdy poszedłem do kasyna, Nadżib traktował mnie z lekceważeniem. Kazał mi czekać na resztę, w końcu załadował automat na znacznie mniejszą sumę niż zwykle. Kiedy grałem, do lokalu wszedł jakiś inny chłopak. W szybie automatu zobaczyłem, że Nadżib macha mu ręką. Chłopak dał mu jakiś znak i zniknął.

Zgarnąłem pieniądze i wyszedłem.

Przebiegłem ulicę i schowałem się w bramie pobliskiego budynku.

Patrzyłem, jak chłopak wraca do kasyna. Przyglądałem mu się i czekałem. Paliłem i czekałem dalej. Kiedy opuścił kasyno, szedłem za nim w bezpiecznej odległości, aż wsiadł do samochodu i odjechał.

Gdy znowu zobaczyłem się z Nadżibem, miał nowe skórzane buty, skórzaną kurtkę i żel na włosach.

Spotkaliśmy się przy schodach kościoła. Oddałem mu połowę pieniędzy.

Nadżib przeliczył, po czym spokojnym głosem powiedział: Masz więcej.

Co takiego? – spytałem.

Masz więcej. Słyszałeś przecież.

Nie, to jest połowa, odparłem. Nie mam więcej. Stałem bliżej niego i spojrzałem mu w oczy.

On też spojrzał na mnie i powiedział: Owszem, masz.

Załaduj automat na większą sumę, to będzie więcej, rzuciłem.

Nic nie powiedział, tylko się odwrócił i poszedł w górę schodami. Kiedy był już na szczycie, spojrzał w dół i powiedział: Nadżib zawsze dostaje, co mu się należy.

Powiedziałem na to: Niech mały Nadżibek lepiej się zajmie odrabianiem lekcji.

Zajmie się, zajmie. Nadżib splunął na ziemię i odszedł, krocząc jak paw.

Parę dni później poszedłem do knajpki Królewski Falafel zjeść kanapkę i wypić pepsi. Zobaczyłem, że siedzą tam George i Abu Nahra. Powinienem być się domyślić, że tam są, bo na chodniku ciągnął się sznur potężnych samochodów, lecz byłem głodny i się nie zastanawiałem. Próbowałem przemknąć niepostrzeżenie, ale było za późno – George zauważył mnie i zawołał. Podszedłem do niego i ucałowaliśmy się na powitanie. Abu Nahra miał na twarzy stylowe okulary przeciwsłoneczne, nie mogłem stwierdzić, czy na mnie patrzy. George mnie przedstawił; dowódca się uśmiechnął, poprosił, żebym usiadł, i zaproponował mi kanapkę. Odmówiłem, ale nalegał, krzycząc od razu polecenia do chłopaka za ladą, więc zjadłem.

Wokół Abu Nahry kręciło się trochę znajomych twarzy: Kamil, Joseph i Abu Hadid, przyjaciel Chalila, który pomachał do mnie od sąsiedniego stolika i zapytał, czy nadal pracuję w porcie.

Nie ma ostatnio zbyt wiele ruchu, powiedziałem.

George powiedział Abu Nahrze, że mój ojciec w latach pięćdziesiątych założył stację radiową. Abu Nahra wspomniał, że znał mojego ojca i wujka Na'ima. Tego komunistę, dodał z uśmiechem. Zostawił nas i przeszedł na drugą stronę. Jak sobie radzi?

Nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości, powiedziałem.

Byliśmy w jednej drużynie koszykówki. Wiedziałeś o tym?

Nie. Pewnie byłem wtedy jeszcze dzieciakiem.

Wciąż jeszcze jesteś dzieciakiem, zaśmiał się Abu Nahra.

Kiedy Abu Nahra dał sygnał, że jest gotów do wyjścia, jego gwardia przyboczna wstała. Niektórzy zmięli w dłoniach papierowe serwetki, a niedojedzone kanapki wepchnęli sobie do ust. Abu Nahra objął mnie ramieniem za szyję. Jednym palcem miarowo uderzał w otwartą dłoń i powiedział głębokim głosem: George, przyprowadź nam kiedyś tego bojownika, niech do nas dołączy. Nie chcemy, żeby się przyłączył do drugiej strony, jak jego wujek. Zawsze potrzebujemy dobrych młodych mężczyzn.

George burknął coś cicho, próbując uniknąć odpowiedzi. Obserwowałem Abu Nahrę. Wciąż miałem ochotę zobaczyć jego oczy. George mrugnął do mnie, wyszedł razem z resztą mężczyzn, a potem wrócił do środka i usiadł naprzeciwko. Kiedy skończyłem jeść, poszliśmy ulicą do zaparkowanego na chodniku jeepa.

To samochód Chalila, powiedziałem.

Tak, jemu nie będzie już potrzebny.

Dojechaliśmy do schowanej pod mostem drogi. Zaparkowaliśmy. George miał przy boku swoje M-16. Przesunąłem się w stronę oparcia, na tyle, żeby poczuć, jak pistolet ociera mi się o plecy. Z góry dochodził nas hałas pędzących samochodów.

Kiedy wyjeżdżasz? – spytał George, patrząc prosto na mnie.

Jeszcze nie teraz.

Wczoraj wieczorem przyszedł do mnie Nadżib. Mówi, że jesteś mu winien pieniądze.

Twój kuzyn to kłamca, powiedziałem. Wciągnął w układ jeszcze jedną osobę.

Porozmawiam z nim. Jak się ma Rana?

W porządku.

Słuchaj, w przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Izraela. Płyniemy statkiem. Zostawię ci klucze do mieszkania. Jeśli Nabila będzie pytać, powiedz jej, że pojechałem z przyjaciółmi w góry, pod namiot.

Ręka George'a przesunęła się na karabin. Wyciągnął go pomału i położył na tylnym siedzeniu. Potem włączył silnik jeepa i wróciliśmy do naszej dzielnicy.

Kiedy wysiadałem, George spojrzał na mnie i powiedział: Porozmawiam z kuzynem.

Czekałem na Nadziba na szczycie wzgórza za miastem, tak jak się umówiliśmy wcześniej tego dnia.

Przyjechał samochodem z jeszcze dwoma kolesiami. Z daleka słyszałem głośno włączoną muzykę. Wzbił się kurz, który zdusił zapach płynu po goleniu i żelu na włosach tego idioty. Wsiadł z samochodu. Obserwowałem zza drzewa, jak wspina się na wzgórze we włoskich bucikach na gładkiej podeszwie i ślizga się na skałach, w ręku niosąc błyszczącą skórzaną kurtkę. Pozwoliłem, żeby mnie minął, a kiedy miałem przed sobą jego plecy, podszedłem do niego powoli. Wyrwałem mu kurtkę i rzuciłem ją na ziemię, jego zaś przyparłem do drzewa.

Nadzib szarpał się, przestraszony. Spojrzałem na jego ręce, były puste. Przejechałem dłonią wokół jego pasa – był czysty.

Kto jest w samochodzie? – spytałem.

Moi kumple, powiedział ze strachem. Czuć było od niego alkohol.

Po co wzięłeś ze sobą kumpli?

Jedziemy do Brumana.

Nie powinieneś nikogo tu przywozić.

Oni nic nie wiedzą o naszym układzie.

Wsunąłem mu jego działkę do kieszeni i powiedziałem: Nie przestrzegasz zasad i zachowujesz się jak idiota. Któregoś dnia Abu Nahra się o wszystkim dowie i wsadzi ci kulkę

w łeb. Ani twój kuzyn, ani twoja matka go nie powstrzymają. A teraz idź i wytłumacz kolegom, że poszedłeś się wysikać. Tak im powiedziałaś, co?

Nie odpowiedział.

Wszedłem na szczyt wzgórza i spojrzałem w dolinę. Potem zaś na morze przed sobą, morze, w które pewnego dnia będę musiał dać nura, zniknąć wśród fal i przepłynąć na drugi brzeg, zostawiając za sobą to miejsce.

George wrócił z Izraela.

Zadzwoił do mnie, poszedłem go odwiedzić. Drzwi otworzył Abu Hadid. Pocałował mnie, objął za szyję i posadził koło siebie, klepiąc po ramieniu. Skóra George'a była ogorziała od pustynnego słońca. Obaj wciągali kokainę usypaną na szklanej tafli.

Chcesz kreskę mleka w proszku? – spytał George, wskazując na stolik do kawy.

Nie, dzięki.

George miał na sobie koszulkę z trzema hebrajskimi znakami. Przycichł i spotęźniał, głowę miał ogoloną. Poruszał się wolniej i zdawał się bardziej skupiony. Nalał whisky do szklanek i opowiadał o obozie na pustyni i o swoim szkoleniu.

Kiedy zakradasz się od tyłu do wroga, żeby mu podciąć gardło, musisz go złapać za podbródek, a nie za usta, żeby nie ugryzł cię w rękę, no nie? Mieliśmy to wyćwiczyć. Paul Jeouriege – wiesz, ten, co mieszka w Karm az-Zajtun, znasz go, Bassam, jeździ białym fiatem z wysokim spoilerem – no więc on właśnie położył rękę na ustach Bibo, zamiast na podbródku, no nie? I co na to Bibo? Ugryzł go w rękę i nie chciał puścić, chociaż Paul wrzeszczał z bólu. *Wa jalla szid ja, Bibo, szid misl ma szad bajak awwal lajla* \*.

George i Abu Hadid się zaśmiali.

Słuchaj opowieści George'a, powiedział Abu Hadid. Słuchaj, słuchaj tak, jakby chodziło o cześć twojej siostry. Ten koleś to wielki *fannas* \*\*.

George był na haju, uśmiechał się szeroko. Spojrzał na mnie i powiedział: Zaklinam cię na zagubioną duszę twojego ojca, opowiedz Abu Hadidowi o Nicole, tej dziewczynie, która dała mi swój numer w Brumana. Byłeś wtedy ze mną. Powiedz mu.

---

\* Pchaj, Bibo, pchaj, tak jak twój ojciec w swoją pierwszą noc (arab.).

\*\* kłamca (arab.)

Tak, byłem z nim wtedy. To prawdziwa *hamsza*, *szalcha*<sup>\*</sup>, powiedziałem.

*Szalcha* co? – podchwycił George. No więc zadzwoniłem do niej i odebrał jakiś starszy facet, no nie? Myślałem, że to jej ojciec, ale kiedy ją zapytałem, powiedziała, że mąż. Mam zadzwonić później? – spytałem. A ona na to: Nie, nie przejmuj się, i dalej rozmawiała ze mną, całkiem naturalnie, jakby nikogo obok nie było.

Dzwoniłem więc do niej codziennie, czasem pytałem, co ma na sobie, a ona odpowiadała, że nic albo że koronkową bieliznę, albo samą koszulkę. Zaczęliśmy świntuszyć przez telefon, podczas gdy jej mąż był w domu, no nie? Raz ją zapytałem, czy mąż jest w domu, a ona na to, że słucha naszej rozmowy przez drugą słuchawkę. Myślę więc sobie: O co tu, kurwa, chodzi? Wiecie, może on nie jest prawdziwym facetem, no nie?

Kiedy następny raz zadzwoniłem, poznał mnie po głosie i pyta: Jak się masz, George? Wpadnij do nas kiedyś. A potem Nicole wzięła słuchawkę i zaczęliśmy rozmawiać, jak gdyby nigdy nic.

George podszedł do szklanej tafli, uklęknął i wciągnął kreskę kokainy. Wciągał jednym nozdrzem, drugie przyciskając palcem wskazującym. Po chwili opowiadał dalej:

Odwiedziłem ich więc w ich domu w Sursok. Wiecie, jeden z tych odjechanych domów. Drzwi otworzyła pokojówka. Facet był siwy, miał z sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt lat, wyglądał na jej ojca. Nosił szlafrok i kapcie, palił grube cygaro. Zaprosił mnie do środka i zaczął ze mną rozmawiać po francusku, no nie? *Bonjour, George, comment ça va?*<sup>\*\*</sup>. Oprowadził mnie po domu. Potem przyszła Nicole i na jego oczach pocałowała mnie w usta. Wtedy odwróciła się do niego, ucałowała go w oba policzki, nazywając go *Loulou*<sup>\*\*\*</sup>. On z kolei mówił na nią *Bébé*<sup>\*\*\*\*</sup>. Otworzyli butelkę francuskiego wina, a Nicole przez cały czas patrzyła na mnie z uśmiechem.

Przeleciałbym ich oboje, ryknął Abu Hadid. I pokojówkę też!

---

\* w slangu „gorąca laska” (arab.)

\*\* Dzień dobry, George, co słyhać? (franc.)

\*\*\* Koteczek (franc.)

\*\*\*\* Maleństwo (franc.)

Czekaj, posłuchaj. George wstał, pełen energii. Słuchajcie. Nicole zdejmuje buty i dotyka mnie stopą pod stołem. A po obiedzie pokojówka wychodzi z domu.

Przeleciałbym tę pokojówkę, przerwał znów Abu Hadid. Przeleciałbym pokojówkę!

Usiedliśmy w salonie, mówił dalej George. Usiadła koło mnie i wzięła mnie za rękę, no nie?

Na oczach męża? – spytał Abu Hadid.

Tak, na jego oczach.

I co zrobiłeś? – zapytałem.

Cóż, powiedziałem: *Excusez-moi*, ale czy naprawdę jesteście mężem i żoną?

*Bien oui*, zapewnia Laurent – tak ma na imię jej mąż. *Bien oui, George, absolument*. Nicole cię lubi. *C'est quoi le probleme, alors?*\*

Nicole zaczęła mnie całować. Potem wzięła mój karabin i powiedziała: Uwielbiam twarde. Mówi do niego: *Regarde, Laurem. Regarde, mon chéri*\*\* , i podaje mu mój karabin, co nie? Laurent patrzy na niego i mówi: *C'est un vrai guerrier, lui*\*\*\* . A jej ręka właśnie łąduje na moim kutasie, no nie? Dziewczyna ciężko oddycha, strasznie podniecona. Klęka, rozpina mi spodnie i zaczyna pracować ustami – w górę i w dół.

Na jego oczach? – krzyknął Abu Hadid. Wierzysz w tę historię, Bassam?

Czekajcie, przerwał mu George. To jeszcze nie wszystko. No więc ona mi ciągnie, a ten koleś zagrzewa ją do działania. Klaszcze w ręce i śpiewa: *Vas-y, Nicole, vas-y, bébé*\*\*\*\* . Kiedy doszedłem, pobiegł do kuchni, przyniósł ręcznik, przytrzymał jej buzię i otarł dookoła usta. Przez cały czas powtarzał: *Bébé, mon petit bébé*\*\*\*\*\* ...

---

\* Ależ tak... Ależ tak, oczywiście... A w czym problem? (franc).

\*\* Popatrz, Laurent, popatrz, kochanie (franc).

\*\*\* Prawdziwy wojak z niego (franc).

\*\*\*\* Dawaj, Nicole, dawaj, mała (franc).

\*\*\*\*\* Moja mała, moja malutka (franc).



Potem Laurent poprosił mnie, żebym już szedł. *C'est tard*, George, powiedział. *Nicole est fatiguée maintenant*\*. Odprowadził mnie do drzwi, podziękował i powiedział: Nicole cię lubi, jeszcze zadzwonimy.

Zadzwoiła do ciebie jeszcze? – spytał Abu Hadid.

Tak.

Zabierzesz mnie ze sobą? – zaśmiał się Abu Hadid, nachylając nos nad szklaną taflą.

Kiedy wychodziłem, George zszedł ze mną po schodach i powiedział: Słuchaj, wygląda na to, że między tobą a Nadżibem wytworzyło się jakieś napięcie. Zróbcie coś z tym albo może obaj na jakiś czas powinniście dać sobie spokój z tym układem. Nie chcę, żeby Abu Nahra się dowiedział. Jeśli się dowie, może mnie poprosić, żebym wam obu wsadził po kulce w łeb. Gdybyś potrzebował forsy, możesz zawsze wstąpić do oddziału.

Pogadaj ze swoim kuzynem, powiedziałem.

Tego wieczoru szedłem przez miasto oświetlone płomieniami miliona świec szaleńczo migoczących w okolicznych domach. Szedłem po ulicach wolnych od psów w mglistym świetle zza nylonowych płacht zakrywających nasze porozbijane okna. Szedłem, a świece tańczyły w mieście o poranionych murach, mieście pozbawionym światła, zniszczonym mieście owiniętym plastikiem i usianym dziurami po kulach.

Spotkałem po drodze Umm Dolly. Szła do kościoła na wieczorne nabożeństwo; głowę miała nakrytą czarnym koronkowym szalem.

Pomodlę się za twoją zagubioną duszę, synku. Wielki jest gniew Boży i wszystkich nas dosięgnie.

Bóg umarł, powiedziałem.

Umm Dolly krzyknęła z przerażenia i się przeżegnała, jak gdyby właśnie spotkała samego Lucyfera. Szedłem przez świat pozbawiony słońca i zdało mi się, że dostrzegłem

---

\* Już późno... Nicole jest teraz zmęczona (franc).

podążającego za mną diabła, który węszył jak nocny pies pośród beczek pełnych ogarków świec, kawałków dzienników, resztek zarżniętych kóz, ludzkich nieczystości, gruzu, ruin, łajna, śmieci, różnych szpargałów, szczątków statków i potłuczonego szkła.

Usłyszałem za sobą cichy szum jadącego powoli samochodu. Obejrzałem się i zobaczyłem zarys trzech głów za przednią szybą. W ciemności usłyszałem męski głos mówiący, żebym zszedł na chodnik. Obejrzałem się raz jeszcze i dostrzegłem Nadziba w towarzystwie dwóch facetów, których nigdy wcześniej nie widziałem. Nagle wyskoczyli z samochodu, trzasnęli drzwiami i zaczęli mnie popychać. Poczułem czyjś łokieć pod brodą i ucisk na gardle. Jeden z mężczyzn trzymał mnie za rękę i wykręcał mi dłoń za plecami, a jego towarzysz pchał mnie na chodnik. Przycisnęli mnie do metalowych drzwi. Nadzib podszedł i szepnął mi do ucha: Nie pokazuj się więcej przy automatach, rozumiesz? Nawet o tym nie myśl. Bo ci skasujemy tę paskudną gębę.

Próbowałem sięgnąć po pistolet, ale nie mogłem złapać tchu, a prawą rękę miałem wykręconą w górę i przyciśniętą do pleców.

Przyniesiesz nam to, co ukradłeś, albo moi przyjaciele z sił zbrojnych odwiedzą cię w domu, szepnął Nadzib tonem wyższości, który nie pasował do jego chłopięcego głosiku. Tych dwóch puściło moją rękę i rzuciło mnie na chodnik. Zakryłem głowę i zwinąłem się jak robak pod ziemią w ogrodzie, czekając, aż spadną na mnie podeszwy olbrzymów, jak ogromne liście z wysokich drzew w potężnych lasach. Poczułem uderzenia pięści na żebrach i na twarzy. Za pięściami poszły w ruch stopy, kopniaki spadały na moje ciało jak grad monet przy wielkiej wygranej w automacie. Nadzib splunął na mnie i odszedł.

Patrzyłem, jak cała trójka zamyka za sobą drzwi do samochodu i odjeżdża w stronę ulicy Szpitalnej. Wtedy odbiłem się od ziemi niczym demon – pobiegłem z siłą tysiąca żądnych zemsty bogów, jak wściekła hiena ze słodką pianą krwi na ustach szepczących jadowite obietnice, niczym stal przebijająca gardło dzikiego zwierzęcia. Przeskoczyłem ogrodzenie i wbiegłem w uliczkę, która zaprowadziła mnie na ulicę Szpitalną (mnie – gniewny piorun, płonący brzuch konia trojańskiego, gotową do ataku kobrę w indyjskiej dolinie). Przeskoczyłem kolejne ogrodzenie i wylądowałem na Szpitalnej, patrząc na zbliżające się powoli światła samochodu. Wyciągnąłem pistolet, załadowałem i stałem na środku

ulicy. Samochód się zatrzymał i zaczął cofać. Ulica była wąska, więc raz po raz obijał się o auta zaparkowane po prawej lub po lewej. Słyszałem piski Nadżiba, jak myszy złapanej przez lwa. Strzeliłem prosto w samochód, trafiłem w prawy reflektor. Zrobiłem krok w bok, bliżej muru, gdzie było ciemniej. Wyciągając obie ręce przed siebie, z palcem na spuście, powolnym krokiem szedłem w stronę samochodu. Nadżib skowyczał: *Rdza, ja Allah rdza!*\*. Oddałem jeszcze dwa strzały w lewy reflektor. Uchwyciłem zarys ich zdezorientowanych głów, jak ptaków uwięzionych w szklanej klatce. Przygryzłem spuchniętą wargę, nie zważając na krwawienie z lewej ręki ani na obolałe żebra. Powiedziałem im, żeby powoli wysiedli. Powoli, powtórzyłem. I jeszcze raz: Powoli.

Nadżib wysiadł pierwszy. Pozostali dwaj podnieśli ręce do góry i podeszli w moją stronę. Kazałem się im wszystkim położyć na ziemi, na brzuchu, przed błotnikiem samochodu, pod mściwym księżycem, równolegle do moich butów, w zasięgu mojego ciężkiego oddechu, kapiącej krwi i błyszczących diabelsko oczu. Nadżib stękał i kwilił jak głodne niemowlę.

Obszukałem ich – nie mieli broni. Zwolniłem kumpli Nadżiba, jemu zaś kazałem zostać.

Wzięliśmy samochód. Usiadłem z przodu, Nadżib kierował. Przez całą drogę płakał. Śmierdziało od niego moczem, a na spodniach widać było mokrą plamę, która ciągnęła się aż do kolan. Płakał, bełkotał i błagał mnie o litość, jadąc według moich wskazówek.

Kiedy dotarliśmy pod most, kazałem mu wysiąść. Trzymał się kurczowo kierownicy i zaczął się bujać w przód i w tył, szlochając i błagając, żebym go nie zabijał.

Wysiadaj, powiedziałem. Nie zrobię ci krzywdy. Ale wysiądź.

Jestem mokry, powiedział. Powiedz, czego chcesz.

Wysiadaj.

---

\* Zawracaj, na Boga, zawracaj! (arab.).

Powolnym ruchem otworzył drzwi. Zanim miał szansę rzucić się do ucieczki, chwyciłem go i pchnąłem na nagrzaną maskę samochodu, przystawiając mu pistolet do czaszki nad uchem.

Kim byli ci kolesie?

Nie znam ich, krzyczał.

Wiem, że są z sił zbrojnych. Mały Nadżibek coś chyba musi wiedzieć. Kto ich przysłał?

Nadżib płakał i dalej błagał, żebym go nie zabijał.

Dobra, umówmy się. Będziesz gadał, to cię nie zabiję. Nie będziesz gadał, to zagram z tobą w rosyjską ruletkę tym automatycznym pistoletem. Jak myślisz, jakie masz szanse? Gadaj albo wrzucę twoje zwłoki w tych eleganckich bucikach do ścieku, żeby dokarmić szczury. Chętnie by się wgryzły w te francuskie perfumy, co masz za uszami. *Ja szik inta*<sup>\*</sup>.

Nadżib zadrżał, a wokół jego kostek rozlał się świeży, ciepły potok moczu.

Kim oni są? – pytałem.

Nadżib płakał i dalej twierdził, że nigdy wcześniej ich nie widział.

Dobra, to lecisz do szcurów.

Nie! Nie! Zaczekaj! To kumple De Niro. Błagam, nie mów mu, że ci powiedziałem. Zaklinam cię na grób twojej matki.

Zabieram samochód, powiedziałem. Pójdiesz do domu piechotą, akurat zdążysz wyschnąć.

Zaparkowałem samochód pod wzgórzem, na którym rozściierała się nasza dzielnica, Al-Aszrafijja, i otworzyłem schowek. Była w nim latarka i kartka papieru, która okazała się dokumentem upoważniającym do przejazdu przez punkty kontrolne. Widniało na nim nazwisko Nadżiba. Złożyłem kartkę i schowałem do kieszeni. Przeszukałem resztę samochodu, ale nie było nic więcej – ani dowodu rejestracyjnego, ani broni. Wysiadłem,

---

<sup>\*</sup> przystojniaczku (arab.)

zamknąłem za sobą drzwi i poszedłem w górę, przez dzielnicę Asyryjczyków. Jakaś kobieta wyganiała miotłą kurz z progu domu na ulicę. Kiedy przechodziłem koło niej, przestała zmiatać i długo mi się przyglądała. Popatrzyliśmy na siebie, po czym poszedłem dalej, a po chwili w powietrze znów wzniósł się szelest jej miotły.

Księżyc opadał coraz niżej, barwiąc swym światłem tańczące pranie porozwieszane na niewielkich dachach. Niebo chrześcijan rozświetlone było gwiazdami, a na wąskich uliczkach rozmazywały się cienie.

Oddychając ciężko, wspinałem się na wzgórza, mijałem okna na parterze. Rzucałem do środka szybkie, wścibskie spojrzenia, wychwytyjąc strzępy fotografii w sepii, ukazujących martwych przodków o skruszonych twarzach, fragmenty ekstrawaganckich wazonów pełnych plastikowych kwiatów, prastarych kanap poplamionych dawnymi grzechami, malowniczych, romantycznych obrazów przedstawiających zielone doliny i czerwone domki z cegły, masywnych drewnianych stołów w jadalni i gotyckich krzeseł ustawionych pod krucyfikami przybitymi do pionowych ścian. Słyszałem też dźwięki: szczęk garnków, stukot noży i ultrafioletowe fale radiowe, pod wpływem których psy zaczynają gonić własny ogon. Na zewnątrz, za domami, po rozwieszonym przez anemiczne ręce praniu zdawały się paradować rzędy klamerek porozstawianych w równym wojskowym szyku, niczym freski na weneckich balkonach. Czułem zapach gotującego się rosołu, słyszałem, jak pachnące cebulą dłonie wystukują *crescendo* nożami o deski do krojenia, niczym chór kastratów lub bezgłośnie aramejskie łzy płynące z oczu w tamten burzliwy dzień na widok przebitych gwoźdźmi rąk i nóg syna Jahwe oraz zwisającego bezwładnie ciała jego towarzysza, złodzieja, któremu zostały odpuszczone grzechy.

George wskazał na krzesło, mówiąc, żebym usiadł. Wyciągnął paczkę marlboro, zapalił, po czym rzucił papierosy na stół.

Między tobą i Nadżibem wszystko załatwione?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: Zapomnij o automatach do pokera. Mam dla ciebie inną robotę.

Nie odrywałem od niego wzroku. Nie wziąłem w palce papierosa, paliło mnie jedynie w gardle i szczypały oczy. Wzbierała we mnie złość, spływała w dół klatką piersiową, po stole zaś przetaczały się obrazy z dzieciństwa: dwóch chłopców sikających w rogu pochyłej ściany, strzelających do gołębi z drewnianych pistoletów, małymi rączkami podbierających cukierki ze sklepu i machających patykami podczas turlania kół samochodowych w dół stromych ulic, na nogach tanie sandały, w ustach fioletowa guma do żucia, w kieszeniach pełno szklanych kulek, ganiecie z procą i krzywym łukiem za Indianami i afrykańskimi lwami, modlitwy na posiniaczonych kolanach, spowiedź w obcych językach w otoczeniu płomieni tańczących jak żar naszych kradzionych papierosów w wąskich uliczkach i pod schodami.

George uniósł szklanę, mówiąc: Whisky.

Whisky, szepnąłem sarkastycznie.

Whisky to dobra kasa. Popracuj dla mnie przez kilka miesięcy, zapomnij o salonie gier, zarób forszę i jedź.

Nie przyłączę się do was.

Nie, wcale nie musisz. To robota na boku. Tania whisky z Rumunii, kilka tysięcy podrobionych butelek i etykietek johnny'ego walkera. Łączysz wszystkie elementy i Johnny może ruszać w świat. Producent potrzebuje posłać kilkaset skrzynek na stronę muzułmańską. Ładujesz ciężarówkę i spotykasz się z kimś w centrum. Dostarczasz towar i po sprawie.

Kto jeszcze bierze w tym udział?

Nikt, tylko ty, ja i producent.

A Abu Nahra?

Abu Nahra jest tu bez znaczenia.

Będziesz jeździł ze mną?

Nie. Sam będziesz obsługiwał dostawy. Mogę ci załatwić wojskową przepustkę, w razie gdyby cię zatrzymali. Na początek będziesz to robił raz w tygodniu. Po kilku tygodniach cały Bejrut Zachodni zacznie błagać o więcej.

To zadanie dla dwóch osób, powiedziałem.

O kim myślisz?

Dam ci znać.

Tylko się pośpiesz. Pierwszy ładunek ma pojechać już w czwartek wieczór. Facet czeka, a ja najpierw pomyślałem o tobie. Zawsze myślę o tobie.

Każdy z nas myśli przede wszystkim o sobie, powiedziałem, rzuciłem mu z powrotem zapalniczkę i wyszedłem.

Wychylałem się ze swojego balkonu, obserwując przechodzących chrześcijan. Wierni gnali ulicą jak konie, dźwigając torby na zakupy. Na końcu ulicy zatrzymywali się przy wózkach handlarzy, pełnych sprzętów kuchennych i warzyw. Na wołanie sprzedawców gospodynie domowe wychodziły na balkony i zwieszały jak na szubienicach liny, koszyki i pieniądze. Zamawiały całe kilogramy, negocjując z wysoka, osobiście wybierały towary, trzepocząc długimi rękami. Zamówienia odbijały się echem pośród potrzaskanych ścian. Koszyki zjeżdżały z balkonów jak wiadra spuszczone do studni. Kiedy zaś sprzedawcy napełnili koszyki, kobiety jak górniccy ciągnęły za liny, rozpałały ogień i gotowały potrawy, w czerwonym sosie, w metalowych garnkach.

Zauważyłem przechodzącą w dole Ranę. Miała opuszczoną głowę. Doszła do końca ulicy, zawróciła i znów przeszła koło mnie. Czekwała, aż gospodynie zwiną swoje liny i długie języki, które zaglądają do każdych drzwi, okręcając się wokół każdej poduszki, wślizgują się niczym węże do łóżek i rozciągają pod spódnicą każdej młodej dziewczyny, żeby ocenić jej cykl menstruacyjny i stan błony dziewiczej.

„Języki, które smakują sos, siorbiąc z łyżki”, pomyślałem. „Języki, które przeklinają umarłych, a oprócz prania wieszają na balkonach i dachach ludzkie życiorysy, opowiadają...”.

Matka powiedziała, oznajmiła mi Rana, kiedy w końcu dotarła do moich drzwi, że albo przyjdiesz i poprosisz o moją rękę, albo masz przestać krążyć pod moim oknem jak kot na łowach.

Pracuję nad czymś, powiedziałem. Bądź cierpliwa. Nie mogę tu więcej przychodzić, Bassam. Abla, ta *hajdi as-sarsara*<sup>\*</sup>, zobaczyła któregoś dnia, jak tu wchodzę, i powiedziała, że jeszcze nie minęło czterdzieści dni żałoby. W tej okolicy ludzie całymi dniami tylko patrzą i gadają. Mam tego serdecznie dosyć, Bassam, mam dość wojny i tych ludzi. Chcę stąd

---

\* plotkara (arab.)



wyjechać, Bassam. Wyjedźmy stąd jak najszybciej. Nie zamierzasz chyba spędzić reszty życia, przenosząc skrzynie w porcie.

Pracuję nad czymś. Już niedługo, powiedziałem. Niedługo wyjedziemy, *chalas*\*.

Objąłem ją w talii, pocałowałem w usta, podciągnąłem spódnicę i przesunąłem dłonią po ukrytych pod ubraniem krągłościach. Z jej ciała parowała delikatna, ciepła wilgoć, czułem ciepło pod palcami i na popękanych wargach, ciepło języka na słonych palcach, palce wirujące w kręconych włosach i rozchylające poły bluzki, wędrujące palce duszące poduszki.

Wypaliliśmy po papierosie, a Rana powiedziała: Widziałam niedawno George'a. Jechał nowym bmw. To jego?

Raczej nie. Pewnie Abu Nahry.

Szłam z przyjaciółką, Leilą, mówiła Rana, rozmawiałyśmy i oglądałyśmy ubrania, a tu koło nas zatrzymuje się elegancki sportowy samochód. Nie poznałam George'a, bo miał na nosie ciemne okulary. Potem je zdjął i zapytał, czy chcemy się przejechać. Powiedziałam: Nie, dziękuję, nie idziemy daleko. Ale zaraz zaczęli z tyłu trąbić, a drzwi samochodu George'a były już otwarte, więc wsiadłyśmy. Przywiózł nas tutaj... Zabawny jest, puścił na cały regulator arabską muzykę i jechał jak kierowca rajdowy... Ciągłe milczysz, Bassam... To twoje milczenie mnie niszczy, niszczy mnie. Chcesz tylko mnie dotykać. Spotykamy się, a ty chcesz tylko ściągnąć ze mnie ubranie, a potem leżysz, patrzysz w sufit i palisz, ani słowem się do mnie nie odzywając. Niszczysz mnie.

Poszedłem potem do George'a. Na kanapach rozciągali się członkowie jego oddziału, ubrani w bawełniane koszule, lewisy i kowbojskie paski. Rozpoznałem Nicole, tę kobietę z Brumana. Jej mąż, Laurent, był pijany i opowiadał o Afryce. Na lustrzanych taflach ciągnęły się autostrady kokainy. Ich nosy wciągały ją jak odkurzacze, doprowadzając biały proszek do molekuł odrętwiających, szeroko otwartych oczu. Mieszkanie aż wibrowało od natłoku niezwykłych bojowników, wzbierających śmiechów i błyszczących zębów. W kuchni pełno było facetów z prostymi, szerokimi barami, którzy śpiewali do muzyki głosami

---

\* koniec, dosyc (arab.)

nawykłymi do dawania rozkazów, obsypywali się pocałunkami i pochwałami za męskie czyny, ich oczy zaś podążały za wywijającymi tyłkami. Było mnóstwo jedzenia i picia, rozmów i papierosów.

Stałem pod ścianą z piwem w ręce. Porozmawiałem z kilkoma osobami: z Fadim, Adilem, Raymondem, Suhą, Chantal, Christine, Mają, Suhaj i z George'em, który uśmiechał się szeroko – był wyraźnie na haju.

George powiedział: Teraz baw się dobrze, potem pogadamy. W pokoju jest dziewczyna, której leci krew z nosa.

Poproszę jednego z twoich kumpli z oddziału, Josepha Szajbana, żeby mi pomógł z tą whisky, powiedziałem.

Jutro pogadamy, powiedział i pocałował mnie w policzek. Jesteś moim bratem, moim bratem, powiedział i poszedł w kierunku Bébé i jej męża, *monsieur* Laurenta.

Przyjechałeś po herbatę, powiedział producent, kiedy otworzyłem drzwi. Posłuchaj. Sprawa jest prosta. Ja załatwiam kontakt. To jest interes, przecież każdy pije. Jadłeś coś?

Tak, odparłem.

Musisz spróbować *bamia*\* mojej żony. Chodź, usiądź i zjedz.

Dziękuję, już jadłem. Następnym razem, dziękuję.

Lubisz whisky? – zapytał.

Tylko dobrą, powiedziałem.

Producent się zaśmiał: W takim razie nie będę ci proponował mojej. Tak przy okazji, znałem twojego wuja. Zawsze się angażował w politykę. Mówiłem mu: przestań marnować czas na te głupoty. Ale to był socjalista, lubił demonstracje! Jutro w magazynie mój syn Hakim załaduje ci ciężarówkę. Przekazujesz tylko towar, nie musisz się zajmować wymianą pieniędzy. Osobą kontaktową jest facet o imieniu Ali. George podał ci, dokąd masz jechać?

---

\* Okra (bot. ketmia pizmowa), warzywo popularne na Bliskim Wschodzie (arab.).

Tak, powiedziałem.

Będziesz sam?

Nie.

To tylko interes, powtórzył. Nie ma tu religii, nie ma wojny, jest tylko interes. Muzułmanie czy chrześcijanie, wszystko jedno.

Pojechaliśmy z Josephem do Al-Aswak\*. Ulice były puste. Wątle roślinki wyrastały ze szczelin w płytach chodnikowych, mościły się pod potrzaskanymi arkadami, jaśniały przed splądrowanymi sklepami, wyskakiwały spod brzuchów niszczących worków z piaskiem i zamieszkiwały opuszczone budynki rządowe, tęskniące za starymi dobrymi czasami, gdy leniwi biurokraci przechadzali się po długich korytarzach, przysypiali na metalowych biurkach, maczali wąsy w gęstej kawie, dumnie obnosili cienutkie krawaty na owłosionych, nadętych klatkach piersiowych, machali rękami, żeby odgonić muchy, zachęcić kogoś do wręczenia łapówki lub przypieczętować jeden z niekończącej się serii zawieranych tu układów dotyczących podrobionych testamentów, nieprzepisowych dachów, świadectw ponownych narodzin, religijnych rozwodów, zatrutych rur doprowadzających wodę, praw jazdy dla nieletnich, nieaktualnych banknotów, chwiejnych budowli, zdezelowanych kanałów ściekowych, poplamionych dokumentów podróźnych oraz potajemnych zbiorów halucynogennych roślin uprawianych w dolinie Al-Bika na schodach Heliopolis, gdzie Fajruz, zawodząca pieśniarka, śpiewała nocą pod migoczącymi gwiazdami, tymi, które prowadziły trzech Babilończyków ze wschodu na południe, do stajenki pełnej krów przeżuujących siano nad głową dziecięcia ssącego mleko z okrągłych, czarnych sutków dziewicy.

Prowadziłem, a Joseph mnie pilotował. Znam to miasto jak własną kieszeń, powiedział. Skręć tutaj w prawo, koło tej beczki. Zatrzymaj się.

Wyjąłem pistolet, wysiadłem z furgonetki i stanąłem obok. Joseph wyciągnął swój AK-47 i zajął pozycję za samochodem.

---

\* Al-Aswak (arab.) to liczba mnoga od *suk* – targ, bazar. W czasie libańskiej wojny domowej nazwa rejonu między Bejrutem Wschodnim a Zachodnim.

Czaj, chodźcie zabrać dostawę, krzyknął Joseph. Czaj!

Z pierwszego piętra pustego budynku gwizdnął jakiś mężczyzna.

Ali? – spytałem.

Bassam?

Tak.

Na sygnał Alego zza worków z piaskiem wyskoczyło dwóch młodych chłopaczków o umorusanych twarzach. Mieli na sobie znoszone ubrania, a na nogach plastikowe klapki.

Wsiadłem do furgonetki i ustawiłem ją tyłem do zachodniej części miasta. Chłopcy drobnymi rączkami wyciągali z samochodu skrzynki i nieśli do budynku.

Czterdzieści skrzynek, powiedziałem.

Mahmud, przeliczyłeś skrzynki?

Czterdzieści, krzyknął chłopaczek ze środka budynku. *Arba'in, tawakkal ala Allah* \*.

*Kassak* \*\*, i uważajcie w drodze powrotnej na minę, odkrzyknął Joseph.

Dziesięć tysięcy igieł wbiło się już w ramiona Nicole, a ja i tak przyniosłem jej małą torebkę. *Monsieur* Laurent stał nad kuchenką w łyżką w dłoni, mieszając proszek z wodą i podgrzewając miksturę.

*Tiens, Bébé, mon amour. Tiens* \*\*\*.

Kiedy rozluźniono pasek zaciśnięty na jej ramieniu, Nicole uśmiechnęła się do mnie. Mam przekazać pieniądze George'owi czy tobie?

George'owi, powiedziałem.

Zszedłem po schodach i ruszyłem w miasto, w stronę murów kościoła. Siadłem pod kościelnymi schodami i zapaliłem. Przeszło koło mnie parę pręgowanych kotów,

---

\* Czterdzieści, z Bożą pomocą (arab.).

\*\* dzięki (arab.)

\*\*\* Weź, Maleństwo, moje kochanie. Weź (franc.).

zamiauczało parę karabinów, kilka par obcasów polizało ziemię, a ponad dachami nad moją głową rozległo się bicie dzwonów.

W końcu zjawił się George z Abu Hadidem u boku.

Jak się ma nasza narkomanka? – spytał. Jej stary też sobie strzelił?

Nie.

Zapłacił ci?

Nie. Powiedziałem, żeby dał pieniądze tobie. Powinieneś był mi powiedzieć, co było w... Przerwałem. Masz dla mnie działkę za whisky?

Facet jeszcze mi nie zapłacił. Kiedy zapłaci, zatroszczę się o ciebie, nic się nie martw.

Następnym razem powiedz, czego mam się spodziewać. Nie jestem twoim prywatnym dilerem, powiedziałem i ruszyłem w drogę.

George zawołał za mną, ale mu nie odpowiedziałem.

Przez cały następny dzień leżałem w łóżku, tonąc w kłębach dymu papierosowego, które wisiały nade mną, tworząc szarą chmurę pod sufitem. Gdzieś w oddali spadały bomby. Talerz pod łóżkiem pełen był popiołu i żółtych kiepów marlboro przypominających powykrzywiane ciała o skasowanych twarzach. Światło świecy padało na komiks, który trzymałem w ręku. Pod łóżkiem czekały na mnie kapcie, jak Milou, pies Tintina\*. Kiedy usłyszałem pukanie, wyciągnąłem pistolet spod poduszki i szybko zgasilem świecę. Podeszedłem w kapciach do drzwi i przykleiłem oko do wizjera. Zobaczyłem tylko jakąś ciemną postać.

Odsunąłem się. Kto tam? – spytałem.

To ja, Nabila. Otwórz, Bassam.

Otworzyłem.

---

\* Tintin – tytułowy bohater komiksowej serii Georges'a Remi (pseud. Hergé).

Czemu się chowasz w ciemnościach? Już lepiej ukradnij świecę z kościoła, podpal dom, ale nie chowaj się w ciemnościach jak zbłąkany duch.

Nabila poszła za mną do pokoju. Przejechałem dłonią po blacie stołu w poszukiwaniu zapalek. Kiedy je znalazłem, potrząsałem pudełkiem jak brazylijskim instrumentem perkusyjnym. Potarłem zapalką o pasek siarki i twarz Nabili rozbłysła.

Wciąż jesteś wychudzony, poźółkły i wychudzony. Pozwól, żebym jutro przysłała ci coś ugotować i posprzątać w domu.

Nie, powiedziałem.

Widziałeś się ostatnio z Gargotkiem?

Wczoraj.

Nie widziałam go od tygodnia. Zadzwoiłam do niego do pracy, powiedzieli mi, że już tam nie pracuje. Wiele razy chodziłam do niego do domu, ale nigdy go nie ma. Nikt go nie widuje. Umm Adil, jego sąsiadka, powiedziała, że prawie nie bywa w domu.

Pewnie jest zajęty.

Co robi?

Pracuje.

Gdzie?

Nie wiem. Robi, co się nadarzy.

Na przykład? W co on się pakuje? Czy on pracuje dla Abu Nahry?

Tak.

Ale jako kto?

Pracuje w ochronie.

W ochronie?! – krzyknęła Nabila. Niby jakiej ochronie? Zadzwonię do tego tłustego obiboka Abu Nahry, zadzwonię do niego. Jeśli choć włos spadnie z głowy mojego sio-

strzeńca, to przeklnę jego leżącą w grobie matkę. Porozmawiaj z George'em, Bassam. On ciebie posłucha. Jesteście jak bracia. Powinien chodzić do szkoły.

Ja stąd wyjeżdżam, powiedziałem.

Dokąd?

Rzym, Paryż, Nowy Jork, dokąd się uda.

Zabierz go ze sobą. Zabierz go. Porozmawiaj z nim. Tak, obaj wyjedźcie. Jedźcie do Francji. Podam ci nazwisko ojca George'a, tego tchórza, poproszę go, żeby przysłał swojemu synowi francuski paszport i pieniądze. Poproszę go, żeby załatwił George'owi papiery, powiem mu, że w przeciwnym razie jego syn jest stracony. Powiem mu, żeby zaprosił George'a na wycieczkę, na wakacje. Niech Najświętsza Paniotka otworzy przed tobą wszystkie drzwi, Bassam. Pomóż swojemu bratu. Pomóż mu. Kiedy wyjeżdżasz?

Czekam, aż będę miał więcej pieniędzy.

Dam ci pieniądze, tylko jedź i znajdź ojca George'a.

Nie trzeba, poradzę sobie.

Spójrz tylko na swoje mieszkanie, Bassam! Nabila zaczęła zbierać szklanki, przepełnione popielniczki i porzucane po podłodze ubrania.

Zostaw, powiedziałem.

Ale ona dalej zbierała rzeczy i układała je, tak jak kiedyś matka.

Złapałem ją za nadgarstek, wyrwałem z rąk poduszkę i rzuciłem o ścianę. Zostaw, powiedziałem.

Nabila uścisnęła moją dłoń i dotknęła mojej twarzy. Teraz, gdy zostałeś sam, musisz dbać o siebie. Nie możesz mieszkać w takim brudzie, jak szczur. Otwórz okno. Śmierdzi tu potem i papierosami. Spójrz na siebie. Spójrz, jak ty wyglądasz. Nieogolony, zaniedbany.

Uwolniła rękę z mojego uścisku, pocałowała mnie w policzek i wyszła na ciemny korytarz, a potem na ulicę.

Przy drugiej dostawie mieliśmy z Josephem w furgonetce sześćdziesiąt skrzynek z johnnym walkerem. Joseph sięgnął do jednej z nich, otworzył i wyjął butelkę.

Nie pij tego. Jeszcze się zatrujesz tym świństwem. Dziś nie jest dobry dzień, żeby umierać.

Nikt nie umiera, dopóki nie przyjdzie na niego pora, powiedział Joseph.

Bojownik fatalista, zaśmiałem się.

Słuchaj, opowiem ci jedną historię, a potem powiesz mi, czy wierzysz w przeznaczenie. Byliśmy na *dżabba*\*. Znasz Jusufa Aszo? Tego Asyryjczyka? Nazywamy go Pistolecik.

Nie kojarzę.

Nieważne. No więc chłopak spędzał tydzień na służbie, a ja akurat tego dnia odpowiadałem za linię frontu. Widzę kobietę, starszą kobietę w czerni, która idzie w naszą stronę, słuchasz mnie? Wziąłem karabin snajperski i spojrzałem przez wizjer. Zobaczyłem na jej piersi wielki krzyż, więc wiedziałem, że to jedna z naszych. Zawołałem do niej: *Ja, chalati*\*\* , dokąd idziesz?

Powiedziała, że idzie się zobaczyć z synem, Jusufem. Ta kobieta przeszła przez co najmniej dziesięć min i wszystkie ominęła. Pojawiła się nagle znikąd, jak duch.

Zawołałem Jusufa. Był w drugim budynku. Najszybciej mógł się do nas dostać, przechodząc przez małą uliczkę. ale miał ją na oku snajper. Alternatywna droga była dłuższa, bo biegła naokoło. Kiedy Jusuf usłyszał, że przyszła jego matka, przeszedł przez tę uliczkę pod ostrzałem i na ostatnich paru metrach przeleciała mu koło ucha kula snajpera, ale nie trafiła.

Gdy matka go zobaczyła, zaczęła płakać i powiedziała, że miała okropny sen i serce jej mówi, że stanie się coś strasznego.

---

\* Czoło, front, linia frontu (arab.).

\*\* ciociu (arab.)



Jusuf był na nią wściekły. Zaczął ją przeklinać, wyciągnął rękę i popchnął matkę, krzycząc jej w twarz, żeby sobie poszła, wymyślając jej od starych wariatek.

Przywaliłem mu w głowę i powiedziałem, że ma okazywać matce szacunek i nigdy więcej nie odzywać się do niej w ten sposób. Kazałem mu opuścić *dżabba*. Nie chcę takich impertynentów w swoim oddziale, powiedziałem.

Kazałem mu wziąć jeepa i odwieźć matkę do domu. Koleś więc wraca do domu, zdejmuje ubranie, a matka gotuje mu wodę, przygotowuje łaźienkę i wychodzi. A kiedy on się myje, do łaźienki wpada bomba i go zabija. Rozwaliło go na milion kawałeczków. Jego matce rozum odjęło. Cały czas przesiaduje teraz na schodach kościoła Sajda pogrążona w modlitwie. Złożyła śluby i od czasu śmierci syna nie kąpie się i w ogóle nie myje. No i co powiesz na taką historię?

Napij się, powiedziałem.

Po drodze do punktu zrzutu u Alego w Al-Aswak, napotkaliśmy dwóch chłopaczków stojących na środku ulicy. Zamachali na nas. Jeden z nich miał mocno kręcone włosy i podarte tenisówki na nogach, drugi był w džinsach i sandałach. Ten z kręconymi włosami trzymał w ręku AK-47, drugi miał pistolet zatknięty za pasek na wychudzonym brzuchu.

Zatrzymałem furgonetkę, otworzyłem drzwi i podszedłem do nich. Joseph poszedł za mną.

Zostańcie w środku, krzyknął do mnie jeden z chłopaczków.

Kto tu dowodzi? Kto? – zapytałem.

Ja, powiedział chłopaczek. Wracajcie do samochodu.

Stałem w miejscu, nie zważając na jego żądanie.

Dokąd jedziecie, *szabab*\*? – spytał chłopaczek.

A dlaczego pytasz? – zapytał Joseph.

Otwórzcie tył furgonetki i nie zadawajcie zbyt wielu pytań, powiedział chłopaczek.

---

\* chłopaki (arab.).

Albo mówicie, kim do kurwy nędzy jesteście, albo schodzicie nam z drogi! – warknął Joseph.

Dzieciaczek zrobił dwa kroki w tył, z jakimś trudem załadował karabin i wycelował w nas. Jego kumpel podbiegł do nas, szurając nogami i ledwo trzymając pistolet, po czym wycelował lufę w twarz Josepha. Otwieraj furgonetkę! – krzyknął pierwszy z dzieciaków. Otwieraj furgonetkę! Zwrócił ku mnie karabin, który był ze dwa razy od niego większy i pewnie trzy razy starszy.

Podeszliśmy z Josephem do ciężarówki. Chłopcy ruszyli za nami.

Tylne drzwi są zamknięte, powiedziałem. Muszę wziąć klucz, który jest z przodu. Chłopcy podążyli za mną. Otworzyłem drzwi furgonetki i jedną ręką wziąłem kluczyk, a drugą szybko sięgnąłem po pas wojskowy Josepha leżący na siedzeniu pasażera. Chwyciłem pierwszą rzecz, jaka z niego wystawała – granat ręczny. Potem upuściłem kluczyki na podłogę furgonetki, dałem nura pod koło, zacisnąłem pięść na łyżce granatu i oderwałem zawleczkę. Odwróciłem się w stronę dzieciaków i wyciągnąłem dłoń przed ich młode twarze.

Rzućcie broń, *ja ichwat asz-szarmuta*<sup>\*</sup>, powiedziałem. Gównu mnie obchodzi Bóg i jego królestwo wiecznej szczęśliwości. Jeśli otworzę dłoń, wszyscy zamienimy się w kawałeczki mięsa.

No już, *ja walad asz-szarmuta*<sup>\*\*</sup>, to was nauczy, żeby nie zadzierać z członkami sił zbrojnych! – ryknął Joseph, wyciągając pistolet i mierząc w ich twarze. Rzućcie natychmiast to gówno, dał się. Liczę do trzech, Bassam. Jeśli nie rzuca broni, otwórz dłoń. Nikt nie będzie z nami, kurwa, zadzierał!

Chłopaczek z pistoletem pierwszy opuścił broń. Drugi jeszcze przez chwilę trzymał swój AK-47. Potem jednak zaczął mrugać gwałtownie oczami i coraz szybciej wciągać nosem powietrze. Kiedy tylko opuścił kałasza, Joseph złapał zarówno jego karabin, jak i pistolet drugiego, po czym zaczął tłuc jednego z chłopców, podczas gdy drugi pomału się wycofał, a następnie rzucił się do ucieczki bocznymi uliczkami.

---

\* wy, skurwysyny (arab.).

\*\* ty skurwysynie (arab.)

Joseph trzymał swojego chłopaczka za koszulkę i wymiatał nim jak workiem mąki. Przydusił go do chodnika i kopał. *Ja kalb\**, kim ty, kurwa, jesteś, żeby nas zatrzymywać? – wrzeszczał.

Chłopaczek zaczął płakać, zakrywając twarz chudziutkimi rączkami.

Zabieram cię do celi, żebyś tam zgnił, *ja kalb*.

Podszedłem do pustego budynku, wrzuciłem granat przez okno i padłem na ziemię. Echo wybuchu poniosło się na cały świat. Potem oderwałem Josepha od dzieciaka. Z głowy małego leciała krew, miał złamany nos. Chłopaczek opuścił wzrok, wierzchem dłoni obtarł krew z twarzy i szlochał jak zwyczajny dzieciak.

Skąd jesteś? – spytałem.

Mieszkamy tutaj, w Al-Aswak.

Dlaczego chcieliście otworzyć furgonetkę? – pytałem dalej.

Szukaliśmy czegoś, co można by zabrać, powiedział, po czym splunął krwią.

Dokąd zabrać?

Czegoś, co można by sprzedać, powiedział. Nie wiedzieliśmy, że jesteście falangistami.

Skąd wzięliście broń?

Zabraliśmy martwemu syryjskiemu żołnierzowi.

Ile masz lat? – dopytywałem się.

Czternaście.

Jak masz na imię?

Hassan, odpowiedział.

Pieprzeni muzułmanie w naszej dzielnicy, krzyknął Joseph, wyciągając pistolet. Daj, zaraz skończę z tym śmierdzielem!

---

\* psie (arab.)

Przytrzymałem Josepha za ramię i wepchnąłem do furgonetki.

Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem plecy uciekającego dzieciaka, który kuśtykał pośród zrujnowanych murów miasta.

Kiedy usiedliśmy z powrotem w furgonetce, Joseph zaśmiał się, nazywając mnie *Al-Madżnun* \*.

Będziemy cię nazywać *Al-Madżnun*, powiedział. Mogłeś nas wszystkich pozabijać tym ruskim granatem. To najgorszy rodzaj granatu, jaki można otworzyć, bo jest najbardziej nieprzewidywalny – może wybuchnąć po sekundzie, a może po trzech minutach, tak czy inaczej byłoby po nas. *Al-Madżnun*. Śmiał się coraz głośniej. *Al-Madżnun...*

Kiedy dojechaliśmy do punktu przerzutu, Ali i jego chłopaki już tam byli. Podczas gdy chłopcy opróżniali furgonetkę, Ali podszedł do mnie i poczęstował mnie papierosem.

Jak się żyje po drugiej stronie? – zapytałem.

Kiedys to wszystko była jedna strona, a teraz mówimy „po drugiej stronie”, powiedział Ali, kręcąc głową. Byłeś kiedykolwiek po tej drugiej stronie?

Dawno temu, gdy byłem mały. Mam krewnego po drugiej stronie.

Ach tak?

Tak, wuja komunistę.

Jak się nazywa?

Na'im Al-Abjad.

Znam twojego wuja, powiedział Ali zaskoczony. Walczyliśmy razem. Jest teraz znaczącym dowódcą w partii komunistycznej. Macie w ogóle jakiś kontakt?

Nie, już od dawna.

Zobaczyłem zbliżającego się Josepha. Mrugnąłem do Alego i zmieniliśmy temat.

---

\* Szalony (arab.)

Kiedy chłopcy skończyli przeładowywać whisky, powiedziałem Josephowi, że muszę iść się odlać. Poszedłem za ścianę i zwołałem Alego.

Możesz w jakiś sposób przekazać wujowi, że moja matka nie żyje? – spytałem.

*Allah jarbamuba*\* powiedział, spuszczać głowę. Skontaktuję się z twoim wujem.

---

\* Niech odpoczywa w pokoju (arab.).

## 10

W środku nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłem, zobaczyłem *monsieur* Laurenta, który stał na klatce schodowej ze świecą w dłoniach. Zaprosiłem go do środka.

Szukam George'a, powiedział.

Był pan u niego w domu?

Tak, ale tam go nie ma.

Może jest na służbie, powiedziałem.

Gdzie? To pilne.

Niech pan sprawdzi *sakana*\*. Albo może wyjechał na misję. Mówił coś o tym w zeszłym tygodniu na imprezie.

Musimy dostać kolejną działkę dla Bébé. Cała się trzęsie.

Nie mogę panu pomóc, *monsieur Lament*.

To pilne.

Czemu pan jej nie zabierze do kliniki?

Tak, czekam, aż zwolni się miejsce w klinice we Francji... Wymiana krwi. Wymieniają tam ludziom krew.

*Monsieur* Laurent, dlaczego pan to robi?

Dlaczego daję Bébé wszystko?

Czemu pozwala pan jej robić, co chce?

Mogę zapalić?

---

\* Koszary wojskowe (arab.).

Proszę. Zrobić panu kawy?

Nie. Ale odpowiem na twoje pytanie. Widzisz, kiedyś my, Libańczycy, rządaliśmy Afryką. Byliśmy pośrednikami. Na prawo i lewo ściągaliśmy prowizje. Wszystko tam wybudowaliśmy. Kiedy wyjechałem z rodzinnej wioski i wsiadłem do łodzi, żeby spotkać się w Afryce z moim wujem Francuzem, ani ciebie, ani Bébé nie było jeszcze nawet na świecie. A ja chciałem tylko zaoszczędzić trochę pieniędzy, przez jakiś czas popracować dla wuja, a potem wrócić do wioski, na moje wzgórze, zbudować dom i ożenić się z porządną dziewczyną z okolicy.

Ale nasza społeczność się wzbogaciła. Pracowaliśmy w slumsach i w dżungli, sprzedając tkaniny. Pracowaliśmy jako pośrednicy dla Francuzów, Portugalczyków i każdego, kto się napatoczył. Sprowadziliśmy tam samochody i lodówki, przekupywaliśmy policjantów, burmistrzów i generałów, mieszkaliśmy w luksusowych apartamentach. Wiesz o tym, że wszyscy Libańczycy w Afryce mieszkali w luksusowych apartamentach?

Urządzaliśmy imprezy we własnych klubach. Jako młody człowiek ciężko pracowałem i nauczyłem się sprzedawać i kupować. Podróżowałem z walizkami pełnymi pieniędzy przesiąkniętych zapachem afrykańskiej ziemi i wilgotnych materacy. W afrykańskich łazienkach połykaliśmy kamienie, a potem szliśmy do szwajcarskich hoteli i tam sraliśmy diamentami. Przed nami tańczyły piękne Mulatki; tańczyły na stołach w rytm arabskiej muzyki, która wprowadzała nas w dekadentcki, nostalgiczny nastrój. Widzisz, Libańczycy tam rządili bez broni, bez wojska, bez niewolników.

Ale czas płynął. A wzgórze, na którym zostawiłem dziewicę klęczącą w ławce kościelnej, aż zwiotczała jej skóra na udach, a kolana utraciły sprężystość – przez wszystkie te lata pamiętałem o wzgórzu. Widzisz, ja też wygrywałem i przegrywałem, latałem prywatnymi samolotami i stawiałem zakłady na stołach do blackjacka, aż gracze paznokciami zdierali z niego zielone sukno... Rozpracowywaliśmy przekupnych generałów, mieliśmy ich wszystkich w garści. Wsyaliliśmy bogactwo miejscowych, a ich córki przekazywaliśmy sobie w prezencie. Widzisz, nikt nas tam nie lubił, ale wszyscy nas potrzebowali. I wtedy to się stało: nadszedł dzień, w którym biedacy wkroczyli boso do miast, trzymając w dłoniach karabiny i maczety, i wygonili nas z naszych apartamentów. Potykali się o nasze wysokie

krzesła, srali do naszych wykładanych mozaiką basenów, łamali na pół nasze nargile\*, obozowali w wykładanych marmurem salonach o wielkich oknach, przez które widać było ich prymitywne wioski, dzielnice nędzy, na które nigdy nie zwracaliśmy uwagi, płynące ulicą ścieki, których fetoru dotąd nie czuliśmy, czekoladowobrazowe siostry, których brzuchy służyły nam za poduszki, a jasne wnętrza dłoni za pojemniki na nasze semickie nasienie, oraz spocone czoła za murami strzeżonymi przez psy.

Uciekłem więc, zostawiając za sobą posiadłości, na których niegdyś lśniły spalone słońcem skóry Europejczyków i Afrykanów. Zostawiłem swoje samochody, fabrykę mydła oraz nieślubnych potomków rasy mieszanej. Dałem drapaka i wróciłem tutaj, szukając tamtej dziewczicy, tego wzgórza z mojego dzieciństwa.

Teraz jestem już stary, wybacz mi więc te sentymenty. Kiedy poznałem Bébé, była sama. Spotkałem ją na wzgórzu i wziąłem to za dobry omen. Kupowałem jej wszystko, czego potrzebowała, wszystko, o co poprosiła. Pytasz, dlaczego. Obawiam się, że nie mam jej nic innego do zaoferowania, a teraz ona jest dla mnie domem, córką i żoną. Wybacz mi te łzy, ale boję się, że ona może mnie poprosić, żebyśmy opuścili to miejsce. A ja próbuję tylko przeżyć resztę swoich dni w pobliżu tamtego wzgórza.

No dobrze, czy mógłbyś poszukać dla mnie George'a? *S'il vous plaît.*

Następnego dnia poszedłem do pobliskiego sklepu.

Mamy świeże zielone migdały, powiedziała do mnie właścicielka, Julia. Dobre na *kass\*\**! Chcesz kilo?

Nie, nie piję ostatnio zbyt dużo.

Masz może jakieś puste butelki do zwrotu? Przyślę córkę, Su'ad, żeby zabrała.

Nie jestem pewien. Sprawdzę u matki w kuchni.

---

\* Fajki wodne (arab.).

\*\* Napój alkoholowy na bazie zielonych migdałów (arab.).



*Allah jarbamuba*, twoja matka to była prawdziwa dama. A żeby im Bóg ręce pociął...

Kupiłem chleb i *labna*<sup>\*</sup>, podziękowałem Julii i wyszedłem.

W drodze powrotnej zobaczyłem jadącego pod prąd jeepa. Było w nim pełno młodych falangistów w zielonych mundurach i z przepaskami na czołach. Lufy ich karabinów wskazywały na balkony i francuskie okiennice. Samochód zatrzymał się koło mnie i wysiadł z niego George. Był brudny i zmęczony.

Właśnie wróciliśmy, Bassam, powiedział. Dziesięć dni bez prysznica. Jedliśmy konserwy, cholewki obcierają mi nogi. Pamiętasz Akrama Seiffa? Nazywamy go An-Nasik, brat Jeana Seiffa.

Tak, mieszka nad pralnią Antouna, powiedziałem.

Trafiło go pod pachą, wykrwawił się na śmierć. Z tymi Palestyńczykami walczą nawet, kurwa, czarni Somalijczycy. Wiedziałaś o tym? Cała *umma*<sup>\*\*</sup> walczy tutaj z nami.

Poszliśmy do mnie. Buty George'a były utyłane w brązowej ziemi, jego broda czerniała się sterczącym zarostem. Uniósł w górę kałasznikowa i z trudem manewrował między samochodami tłoczącymi się na naszych wąskich ulicach – wyglądał jak amerykański żołnierz z rękoma uniesionymi nad głową, posuwający się pomału przez wietnamskie bagna, do pasa zanurzony w błocie. Po drodze zaszliśmy do sklepu i kupiliśmy kilka zielonych butelek heinekena. Weszliśmy na górę po schodach, bo w Bejrucie, tym zatłoczonym mieście, kapryśna elektryczność pojawiała się i znikwała bez ostrzeżenia. Prawie nikt nie korzystał już z wind, a śmiałkowie ryzykowali, że utkną na długie godziny w ciasnych mechanicznych skrzyniach zawieszonych na stalowych linach, które były już tak stare i zniszczone jak ostatni francuski żołnierz, kiedy stąd wyjeżdżał.

George rzucił swoje rzeczy i karabin na krzesło w salonie, po czym zdjął buty i położył się na kanapie.

Gdzie zginął An-Nasik? – spytałem.

---

\* Twaróg z jogurtu (arab.).

\*\* Wspólnota, gmina (arab.).

W Kfar al-Wali.

Jak to się stało?

Otwórz piwo i siadaj. To długa historia. Wybierasz się gdzieś?

Nie, na razie nie, zaprzeczyłem. Otworzyłem dwie butelki piwa i podałem jedną George'owi.

Nie masz dzisiaj roboty w porcie?

Mam, ale zostało mi jeszcze sporo czasu do wyjścia. Mów, powiedziałem. Zamieniam się w słuch.

George pociągnął pierwszy długi łyk i ułożył się wygodnie na kanapie. Ciepłe piwo, powiedział. Przez chwilę milczał, po czym zaczął wyrzucać z siebie potok słów, którego nie przerywałem.

Około czwartej rano usłyszałem strzały dochodzące z sąsiedniej wioski, opowiadał George. Obudziłem się i postawiłem na nogi resztę. Panował straszny ziąb, jak to bywa w górach nad ranem. Dojechaliśmy do wioski około wpół do piątej, może była już piąta. Hanfun, nasz dowódca, był akurat na przepustce, a ja byłem jego zastępcą. Rozdzieliłem nasz pluton – Josepha (twojego partnera, mrugnął do mnie) wysłałem razem z Alahtabutem, żeby zajęli pozycje na wzgórzu. Zaparkowaliśmy jeepy w bezpiecznej odległości, wyłączyliśmy światła i dalej szliśmy piechotą. Zbliżaliśmy się do głównej ulicy wioski. Poprosiłem Abu Hadida, żeby poszedł ze mną, i wybiegliśmy przed pluton. Zaczęło świtać i widoczność trochę się poprawiła. Zauważyłem kilka kobiet z dziećmi wychodzących tylnym wyjściem z niewykończonego betonowego budynku. Cała grupa szybkim krokiem skierowała się w stronę doliny. Nieśli plastikowe torby i wełniane koce. Pobiegliśmy w ich stronę. Zapytałem, dokąd idą. Najstarsza spośród kobiet, w czarnej chustce na głowie, powiedziała, że schodzą na dół. Gdzie na dół? – dopytywałem się. Wyrwałem jedną z toreb, rzuciłem na ziemię i zacząłem trącać nogą. Wszyscy drżeli ze strachu. Jakieś dziecko zaczęło płakać.

Gdzie są mężczyźni? – spytałem kobietę.

Przez chwilę nie odpowiadała. Potem wyjaśniła, że cała jej grupa nie pochodzi z tej wioski, że są uciekinierami szukającymi schronienia i właśnie dziś rano zostali wyrzuceni z tego budynku.

A kto tam jest? Kto was wyrzucił?

Mężczyźni.

Jacy mężczyźni? – pytałem.

Kobieta znów zwlekała z odpowiedzią.

Ilu ich jest?

Dwóch, wymamrotała.

Powiedziałem: Idźcie i nie odzywajcie się słowem ani nie oglądajcie się za siebie. Jeśli ktokolwiek da jakiś znak, będę celował najpierw w dzieci.

Kobiety chwyciły swoje dzieci i popędziły w dolinę, ślizgając się i upadając na zboczu wzgórza. Wszystkie były ubrane na czarno na znak żałoby, domyśliłem się, że najprawdopodobniej są ze sobą spokrewnione. Poprosiłem Abu Hadida, żeby zawrócił i dał znać reszcie chłopaków, że mogą ruszać naprzód.

Kiedy tylko Abu Hadid zawrócił, przyciskając się do krawędzi kamiennej ściany, z dachu budynku posypał się na niego grad kul. Abu Hadid dał nura w kanał irygacyjny otaczający całą wioskę. Woda musiała być lodowata. Kiedy nasi usłyszeli strzały, ruszyli w naszą stronę i zaczęli ostrzeliwać budynek. Zostałem sam pod ścianą budynku, kapujesz? Pomyślałem, że wejdę na schody i odwrócę uwagę tych dwóch facetów na górze, a potem ich wykończę. Nie miałem jednak żadnych znaków życia od Abu Hadida. Czekałem, aż przestaną strzelać, żeby przejść na drugą stronę i zobaczyć, czy jeszcze żyje. Ale mówię ci, ten chrześcijanin jest jak żaba. Wskoczył w wodę i zniknął. Okazało się, że to wszystko pułapka. Rozumiesz, kiedy tych dwóch w budynku odwróciło naszą uwagę, z tyłu nadjechał jeep wroga. Klasyczna zasadzka, no nie? Tych dwóch w budynku zadekowało się tam po to, żeby odwrócić naszą uwagę. Uratowało nas jedynie to, że Joseph i Alahtabut, pędząc właśnie ku nam ze wzgórza, zobaczyli zbliżającego się jeepa. Zaczęli strzelać do facetów w jeepie, a

to wystarczyło, żeby ostrzec pozostałych. Wiedziałem, że coś jest nie tak, kiedy usłyszałem strzały z drugiej strony. Wyczułem, że to pułapka.

Tymczasem Abu Hadid przeczołgał się kanałem i jak mokry szczur wypełził z niego po drugiej stronie budynku. Drżał z zimna. Zdjął koszulę, a ja dałem mu swoją kurtkę. Postanowiliśmy wejść na górę i wykończyć tamtych dwóch, a następnie dołączyć do naszych chłopaków. Wszedłem pierwszy, na wypadek gdyby karabin Abu Hadida był zbyt przemoczony, żeby strzelać. Ale wiesz, kałasznikow to wytrzymały sprzęt – ani woda, ani pył mu nie przeszkadzają. Pieprzyć M-16, to zabaweczka. Mówię ci, AK-47 wciąż jest najlepszy. Sam zamieniłem na niego swój karabin. Nawet w Izraelu chcieli, żebyśmy zamienili się z nimi na nasze AK-47.

Trudno było dokładnie stwierdzić, skąd dochodzi strzelanie, bo każdy strzał niósł się echem po pustym betonie. Wiedzieliśmy jednak, że jest ich tylko dwóch, no nie? Więc czekaliśmy. Potem, kiedy strzelanina przybrała na sile, popędziliśmy w górę po schodach, żeby nas nie usłyszeli. Kiedy dotarliśmy na trzecie piętro, usłyszałem, jak jeden ze strzelających zmienia magazynek. Odbezpieczyłem *rummana*\* i wrzuciłem do pokoju, po czym obaj skoczyliśmy za ścianę. Wybuch był, kurwa, tak głośny, że przez kolejne dni szumiało nam w uszach. Wciąż mi zresztą szumi, a czasem też boli mnie głowa i zaczyna mi dzwonić w uchu. Budynek był niewykończony, więc w powietrze wzbił się pył, który długo nie opadał. Byliśmy nie tylko głusi, ale też ślepi – nic nie widzieliśmy w gęstej chmurze pyłu, który wdzierał nam się do płuc. Byliśmy ślepi, głusi i ledwo mogliśmy oddychać. Musieliśmy jednak się podnieść i przetrząsnąć pokój, aby się upewnić, że żaden nie przeżył. Abu Hadid zaczął strzelać w kierunku pokoju. Ja też zacząłem strzelać, ale nie było reakcji. Abu Hadid powiedział, że widzi jakiś cień, ale coś mu się chyba przywidziało – pewnie przez te przemoczone i zmarznięte jądra.

Mówiąc to, George zaśmiał się, a ja mu zawtórowałem. Potem opowiadał dalej.

Tamci dwaj leżeli na ziemi. Po tym jak sprawdziliśmy pokój strzałami, usłyszałem, że jeden z nich wciąż jeszcze próbuje oddychać. Spojrzałem na jego twarz i zobaczyłem, że to Somalijczyk albo jakiś inny Afrykanin, no nie? Dźgnąłem go bagnetem i od razu

---

\* Granat ręczny, także owoc granatu (arab.).

wykończyłem. Bassam, oni zjeżdżają się z całego świata, żeby z nami walczyć, tu, na naszej ziemi. Palestyńczycy, Somalijscy, Syryjczycy – wszyscy roszczą sobie prawo do tych terenów, rozumiesz?

Ruszyliśmy z Abu Hadidem z powrotem, żeby dołączyć do naszych chłopaków. Zanim tam dotarliśmy, An-Nasik, który zajmował stanowisko na tyłach, bliżej jeepów, dostał kulę pod ramię. Mówię ci, koleś był ranny, ale jeszcze przez piętnaście minut strzelał do wroga, nie dając mu się zbliżyć. Oślanialiśmy Zaghlula, który popędził, żeby przyciągnąć do nas An-Nasika. Próbowaliśmy się dostać do naszych jeepów, ale droga była zajęta przez siły wroga. A An-Nasik dalej krwawił. Myślę, że mógłby przeżyć, gdybyśmy w porę go dowieźli do szpitala, ale tamci trzymali nas w szachu jeszcze przez kilka godzin, nim ściągnęły do nas posiłki. Dopiero wtedy daliśmy im popalić, aż zaczęli się wycofywać. Ale An-Nasik wykrwawił się na śmierć. Zanim stracił przytomność, trzymał w ręce *zachira*\* i ikonę świętego Eliasza, którą miał zawsze przytroczoną gumką do ramienia. Podaliśmy mu tę ikonę, a on ją ucałował i zaczął się modlić. Kilka minut później stracił przytomność, a potem umarł, w ramionach Zaghlula. To był naprawdę pobożny człowiek.

George przerwał opowieść, po czym zapytał: Puścili wodę?

Idź sprawdź, powiedziałem. Przy okazji, Nabila o ciebie pytała.

Tak?

A także *monsieur* Laurent.

Wiem, czego ten stary chce – nie zapłacił mi za ostatnią działkę dla Nicole.

Co ty, kurwa, wyprawiasz, chcesz tę dziewczynę uzależnić?

Ten impotent ma kupę szmalu, powiedział George. Trzyma w dupie afrykańskie diamenty.

Poszedł do łazienki, nalał wody do wiadra, umył ręce, ochlapał twarz, po czym zdjął skarpetki, obejrzał dokładnie pęcherze wokół kostek i oblał pozostałą wodą stopy. Pożyczył ode mnie ubranie i znów położył się na kanapie.

---

\* Kawałek drewna uważany przez libańskich chrześcijan za pochodzący z krzyża Chrystusa (arab.).

Tego dnia zjedliśmy razem kolację. Wypaliłem papierosa, żeby łatwiej strawić spożywane w jego towarzystwie jedzenie.

Po posiłku zostawiłem bojownika śpiącego na kanapie i pojechałem jego motorem do portu. Całą noc pracowałem w dokach, gdzie morska bryza owiewała moją spoconą skórę. Jeździłem wózkiem przemysłowym pośród słonego wiatru i za pomocą podnośnika ładowałem towar do magazynów.

Rano, na koniec zmiany, poszedłem do biura Abu Tarika, naszego brygadzysty. Każdego ranka przed jego kontenerem zbierało się kilku mężczyzn. W kontenerze mieściło się biuro, a my siedzieliśmy na plastikowych krzesłach i pustych skrzyniach po amunicji, popijając kawę i rozmawiając. Abu Tarik był dawniej w siłach zbrojnych, walczył w bitwie o Tali Za'tar i szczyił się, że zna osobiście głównego dowódcę, Ar-Rajjisa. Podkreślając węs, poinformował nas, że w przyszłym tygodniu ma przyplłynąć duży statek.

Będziemy potrzebować więcej ludzi do rozładunku, powiedział. Zaproponował, żeby faceci z ochrony pojechali do Dawry i zabrali stamtąd jakichś egipskich albo cejlońskich robotników, którzy mogliby nam pomóc rozładować statek.

Szahin, młody ochroniarz o pociągłej twarzy i ciemnej karnacji, wyraźnie znudzony palił papierosa za papierosem. Teraz jednak wstał, zapalił kolejnego papierosa i powiedział niskim, cichym głosem: Ci biedni robotnicy stoją cały dzień w słońcu, czekając, aż ktoś ich zatrudni do pracy na budowie czy do innej fizycznej roboty. Kiedy jednak widzą, że jadą w ich kierunku jeepy falangi, rzucają się do ucieczki. Nie chcą pracować za darmo. Siły zbrojne zapominają nieraz nawet ich nakarmić. Ostatni raz, kiedy potrzebowaliśmy robotników, musiałem gonić jednego Egipcjanina od Dawry aż do Biurdż Hammud. Mówię wam, facet był w klapkach, ale biegł jak gazela. W końcu zabrakło mi tchu, więc stanąłem, wziąłem karabin i zacząłem strzelać w powietrze. Myślał, że strzelam do niego, więc się zatrzymał. Zaciągnąłem go do jeepa i pojechaliśmy w góry. Potrzebowaliśmy ludzi do napełnienia worków z piaskiem na nasze nowe stanowiska wojskowe. Był kwiecień i tu nad morzem było ciepło, ale kiedy wjechaliśmy wysoko w góry, zrobiło się zimno, zwłaszcza w nocy. A ci robotnicy mieli na sobie koszulki z krótkimi rękawkami, nie mieli kurtek ani butów. Tulili się

do siebie z tyłu jeepa. Kazaliśmy im napełniać worki piaskiem, a wieczorem temperatura jeszcze się obniżyła. Rano znaleźliśmy jednego z nich – przemarzył na śmierć. Jego przyjaciele płakali z rozpaczy. Jeden z nich zalewał się łzami obok ciała przyjaciela. Szakir Lataif, przezywany Beretta, podszedł do niego i poprosił o papierosa. Facet przestał płakać, spojrzał mu w oczy i zapytał: *Danta, ja bek, muszajiz iddik cravata harir kaman?*\* Mówię wam, od tamtego dnia nie zamierzam więcej zmuszać tych ludzi do pracy, ganiać za nimi ani ich łapać. Oni też mają *rub*\*\* . Nie będę tego robić, *chalias*.

Said, inny pracujący w porcie mężczyzna – zajmował się inwentaryzacją towarów i księgowością – spojrzał na Szahina i powiedział: No cóż, chciałbym zobaczyć, jak ciebie traktowaliby w Egipcie, gdybyś tam pojechał pracować. Jesteś chrześcijaninem. Popatrz na Koptów i innych chrześcijan. Jak się ich traktuje w krajach muzułmańskich?

Nie jestem pewien, po co otwierałem usta, skoro chciałem tylko dopić kawę, zdusić papierosa o ziemię i załapać się na statek donikąd. Ku własnemu zaskoczeniu powiedziałem: W Bejrucie Zachodnim wciąż żyje wielu chrześcijan i żaden muzułmanin się ich nie czepia.

To wszystko zdrajcy, komuniści i socjaliści, odpowiedział szybko Said. I może wy dwaj powinniście do nich dołączyć, dodał, kierując na mnie i na Szahina nienawistne spojrzenie.

Kogo ty nazywasz komunistą, złodzieju? Wszyscy wiemy, czym się zajmujesz, odparł Szahin, a jego karabin podsunął się nieco w górę, ku jego klatce piersiowej. Mój brat to *shahid*\*\*\* . Zginął, walcząc o sprawę. Rzucił się na granat ręczny, żeby ocalić swój pluton.

Tak, tak, nie raz słyszeliśmy tę historyjkę, odpowiedział Said. Ale wiemy też, że to była wina twojego braciszka. Odbezpieczył granat, ale nie udało mu się go rzucić, no i upadł mu pod nogi. Niezdara i tyle – w tej wojnie każdy twierdzi, że jest bohaterem.

*Ars*\*, zabiję cię, ryknął Szahin. Załadował swój AK-47, ale zanim zdążył wycelować w Saida, Abu Tarik chwycił za lufę, skierował ją w niebo i zaczął bić Szahina po twarzy, mówiąc, żeby puścił broń.

---

\* Wasza wysokość, czy mam też zaproponować jedwabny krawat? (dialekt egipski).

\*\* ducha (arab.)

\*\*\* męczennik (arab.)

Kiedy młody ochroniarz posłuchał, Abu Tarik oznajmił wszystkim: Nikt nie będzie na nikogo podnosił broni w mojej obecności ani na moim terenie. Następnym razem, kiedy tylko ktoś podniesie na kogoś broń, niezależnie od tego, w kogo będzie celował, potraktuję to jak osobisty atak i odpowiednio się do tego ustosunkuję. Nawrzeszczał na nas wszystkich, po czym kazał nam się rozejść.

Kiedy szedłem do motoru George'a, podjechał do mnie powoli Said swoim zdezelowanym mercedesem. Wbił we mnie wzrok, a ja patrzyłem na niego.

Jak masz na nazwisko? – spytał.

Nie odpowiadałem i nie odrywałem wzroku od szyby jego samochodu. Byłem spokojny, bo widziałem, że obie jego ręce spoczywają na kierownicy.

Said pokiwał powoli głową, po czym puścił kierownicę jedną ręką i przewiesił ją przez okno samochodu. No tak, Al-Abjad, właśnie sobie przypomniałem, powiedział z sarkazmem w głosie. Założę się, że jeszcze kilka osób o tym nazwisku żyje po drugiej stronie. I odjechał.

Wskoczyłem na motor i pojechałem do domu. Kiedy znalazłem się na swojej ulicy, kątem oka dostrzegłem Ranę wychodzącą z mojego budynku. Zobaczyłem też George'a, który wyszedł zaraz za nią i ruszył w przeciwną stronę. Obejrzała się za nim i poprawiła włosy. Dała mu znak dłonią, po czym schowała głowę w ramiona i pomknęła szybko przed siebie, ocierając się o rogi domów i zaufane mury.

Kiedy ich zobaczyłem, wziąłem ostry zakręt i pojechałem ulicą Sajdala. Minałem Al-Aszrafijję na pełnym gazie, wyprzedzając samochody i zajeżdżając im drogę. Czterech chłopaków w czerwonym renault postanowiło mnie dogonić. Gwizdali na mnie i trąbili, próbowali wcisnąć się przede mną. Jeden z nich wychylił się całym tułowiem z tylnego okna samochodu, kolega trzymał go w pasie. Koleś wyciągał ręce, próbował mnie dosięgnąć i rzucić z motoru, ale ja przyspieszyłem, wjechałem na chodnik, oparłem się stopą o ziemię, nachyliłem maszynę do krawężnika i dodałem gazu. Motorem zarzuciło w przeciwną stronę i pojechałem pod prąd, gubiąc tamtych.

---

\* alfonsie (arab.)



Wróciłem do domu. Naczynia były umyte.

Przespałem całe przedpołudnie. Po południu poszedłem do Rany.

Czekałem przed budynkiem, chodząc w tę i z powrotem z papierosem w palcach. Albo stałem oparty o ścianę sklepu rybnego. Czekałem, a z nieba lały się strugi deszczu, z dachu spływał rynnami wartki strumień wody, rozpryskując się o chodnik. Mijały mnie twarze schowane pod kolorowymi parasolami. Samochody przejeżdżały przez kałuże i kroili kołami wodę, rozpryskując ją na efemeryczne bryzgi.

Potem znów wyszło stare słońce, a dachy strzepały wodę z grzbietów jak mokre psy, złowiona ryba zaś ostatni raz podskoczyła, żegnając się ze świeżością i zapominając o podmorskim domu. Czekałem na Ranę, ale ona nie chciała zejść i dotknąć stopami mokrej ulicy.

Następnego dnia umówiłem się z Raną u siebie. Zapytałem, czemu już nie przychodzi.

Byłam ostatnio zajęta, powiedziała.

Ani razu nie przechodziłaś tędy?

Byłam zajęta, naprawdę, powiedziała zmieszana, odwracając wzrok.

Mam ci podziękować za pozmywanie naczyń? – spytałem, chwytając ją za włosy. Odchyliłem jej głowę w tył i całowałem gwałtownie w szyję, dobierając się do piersi.

Bassam! – syknęła ze strachem, oszołomiona. Pociągnąłem ją za sukienkę do pokoju rodziców, rozdzierałem jej ubranie, wrywałem guziki. Zaatakowała mnie paznokciami, a ja uderzyłem ją w twarz. Krzyknęła, wyrwała mi się i wypadła z pokoju z odkrytą piersią, potykając się o krzesła i obijając o ściany. Rzuciła się na klamkę, szarpnęła za nią, jakby uciekała z płonącego domu, i chwiejnym krokiem wybiegła z mieszkania.

Poszedłem do pokoju rodziców i spojrzałem w lustro. Z moich oczu wymykały się łzy. Otworzyłem szufladę, wyjąłem chusteczkę ojca i wytarłem nią twarz.

Potem załadowałem pistolet i poszedłem do mieszkania George'a. Waliłem do drzwi, ale nikt nie otwierał.

Wziąłem jego motor i pojechałem na pełnym gazie w góry, między puste wzgórza. Zaparkowałem na szczycie urwiska. Spojrzałem na zielen w dole, patrzyłem i przeklinałem brązowe doliny pokryte apatycznymi połaciami ziemi. Wyciągnąłem pistolet i strzelałem do wzgórz i ptaków, a echo moich strzałów odbijało się lamentem od kamieni i układając się w zdradzieckie sylaby, wracało do mnie.

Minęło kilka dni, a dziesięć tysięcy Jasiów Wędrowniczków pomaszerowało na zachód, przepalając gardła i niszcząc ogniska domowe. Mężczyźni pili alkohol, po czym trzaskały drzwi sypialni, uda zwierzały się i przysięgały już nigdy się nie otworzyć, z palców ściągano obrączki i rzucono nimi w stare toaletki, płaczące lustra i niewzruszone mury.

Któregoś popołudnia zostałem wezwany przez producenta whisky. Poprosił, żebym załatwił pilną dostawę na następny dzień.

Nazajutrz rano zabrałem whisky z magazynu. Potem podjechałem po Josepha. Już w furgonetce podałem mu pieniądze. Przeliczył i uśmiechnął się.

Ali się spóźniał, więc czekaliśmy. Wkrótce pojawił się jeden z jego dzieciaków i powiedział, że Ali już idzie. Poprosiłem Josepha, żeby ochraniał furgonetkę, a sam poszedłem za ścianę, gdzie był już Ali. Uścisnął mi dłoń, rozchylił marynarkę, wyciągnął kopertę, złożył ją na pół i szybko wsunął mi do kieszeni, mrugając porozumiewawczo. Obserwując rozładowujące furgonetkę dzieciaki, zaczekałem, aż Joseph odejdzie kawałek dalej, po czym szybko schowałem kopertę pod siedzenie auta.

W drodze powrotnej Joseph wspomniał, że widział ostatnio na ulicach kilku Izraelczyków. Pomału się tu zjeżdżają, powiedział. Wystarczy poczekać jeszcze z miesiąc, a zobaczysz, jak będą gonić stąd Syryjczyków i Palestyńczyków.

Skąd wiesz?

Parę dni temu wpadł do mnie De Niro, zaczął Joseph. Powiedział, że będę mu potrzebny do operacji wojskowej. Zebrał jeszcze kilku zaufanych ludzi i pojechaliśmy w góry. Kiedy dotarliśmy na miejsce, poinformował nas, że jest tam Ar-Rajjis, który ma się spotkać z ważnym izraelskim generałem. Zabezpieczyliśmy więc i otoczyliśmy całą okolicę. Pół godziny później wylądował helikopter, z którego wysiadło pięciu izraelskich wojskowych. Wszyscy mieli bordowe buty, co oznacza, że byli z sił specjalnych. Odbyli trzy-

godzinne spotkanie z Ar-Rajjisem. Twój kumpel, De Niro, jest teraz wielką szychą, prawą ręką Abu Nahry.

Jak się nazywał ten izraelski generał?

Drorir, czy jakoś tak... Nie pamiętam.

Kiedy wróciłem do domu, popędziłem do swojego pokoju i otworzyłem kopertę, którą dostałem od Alego. Był to list od wuja Na'ima:

*Najdroższy Bassamie!*

*Z wielkim żalem dowiedziałem się o śmierci Twojej matki. W oczach stanęły mi łzy, a mój smutek pogłębił jeszcze fakt, że nie mogłem być na pogrzebie. Bardzo chciałbym być przy Tobie, zwłaszcza w tych ciężkich chwilach. Często się zastanawiam, jak wygląda Twoje samotne życie po wschodniej stronie – w tak młodym wieku zostałeś osierocony. Przez te wszystkie lata nie próbowałem się kontaktować z Tobą ani Twoją matką, obawiałem się bowiem, że moje stanowisko w siłach lewicowych mogłoby Was narazić na niebezpieczeństwo. W każdej chwili jednak jestem gotów z radością Cię powitać po zachodniej stronie Bejrutu. Mogę Ci załatwić przejazd tutaj. Mógłbyś zamieszkać ze mną, moją żoną Nahlą i swoim kuzynem Nidalem, którego kiedyś poznałeś. Posyłam Ci tę niewielką sumę pieniędzy na wypadek, gdybyś ich potrzebował. Załączam również drugą kopertę – chciałbym, żebyś ją przekazał mojemu dawnemu znajomemu, Dżalilowi at-Tahunie. Podaję Ci jego numer. Będzie czekał na Twój telefon.*

*Całuję Cię bardzo serdecznie,*

*Twój stęskniony wuj Na 'im*

Przepisałem sobie nazwisko i numer telefonu znajomego wuja, podarłem list na kawałki, spaliłem w popielniczce i przeliczyłem pieniądze. Było to dziesięć nowiuteńkich, szeleszczących banknotów stu dolarowych. Druga koperta od wuja była zaklejona, widniały na niej inicjały D. T., oznaczające Dżalila at-Tahunę. Otworzyłem ją. W środku był plik

banknotów i coś, co wyglądało na mapę lub plan architektoniczny fundamentów domu. Słowo *asas*\* było napisane na czerwono przy kilku zakreślonych kołem fragmentach rysunku.

Tej nocy chciałem wyrównać rachunki za krzywdę, która mnie spotkała. Czekałem przed salonem pokera. Zobaczyłem, jak wychodzi z niego kumpel Nadżiba. Obserwowałem go, stojąc po drugiej stronie ulicy. Wsiadł do starego, zdezelowanego niebieskiego samochodu.

Włożyłem kask, wskoczyłem na motor i pojechałem za nim do Dawry.

Gdy dotarliśmy na miejsce, zczekałem, aż zaparkuje samochód. Wszedł do piekarni, a potem wyszedł z *lahm ba'adzin* w ręce. Odwinął papier, przez chwilę jadł, po czym skierował się do mieszkania. Zniknął w budynku, a ja wspiałem się za nim po schodach. Gdy doszedł na półpiętro, dopadłem go od tyłu, wykręciłem mu ramię, a kiedy zwrócił się do mnie twarzą, przywaliłem w nią głową (na której wciąż miałem kask, dzięki czemu wyglądałem w jego oczach pewnie na kosmitę z kiepskiego filmu, taką przynajmniej miałem nadzieję). Upadł na schody z jękiem, rękami zakrywając krwawiący nos. Oczy miał przekrwione. Przeszukałem mu kieszenie, wyciągnąłem pieniądze i schowałem do swojej kurtki, po czym wyszedłem z kamienicy. Znalazłem motor i pojechałem z powrotem do domu.

Kiedy nadeszła noc, jak to zwykle bywa, ubrałem się na czarno, po czym posmarowałem twarz i dłonie czarną pastą do obuwia. Zapaliłem świecę w oknie wychodzącym na ulicę i zamknąłem drzwi na klucz. Na kręcone włosy nasunąłem czapkę, na tyle głęboko, żeby ukryć pod nią też duże oczy – w tej czapce byłem niewidoczny dla księżycy, ptaków i sklepikarza. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, do budynku naprzeciw. „Wszystko jest przeciw czemuś”, pomyślałem, „miasta, karabiny, przyjaciele i wrogowie”. Ruszyłem prosto na dach. Powoli i spokojnie otworzyłem ciężki metalowy wąż, delikatnie zamknąłem go za sobą, zbliżyłem się do brzegu dachu i usiadłem, obserwując ulicę w dole. Patrzyłem na światło tańczące w moim oknie.

---

\* fundamenty, podstawa (arab.)

Przejechał wolno samochód, potem zawrócił, wyłączył światła i zatrzymał się przed moim domem. Popędziłem po schodach z pistoletem w dłoni. Schowałem się w bramie i obserwowałem Nadżiba i jego towarzysza z bandażem owiniętym wokół złamanego nosa na spuchniętej i posiniaczonej twarzy. Patrzyli w moje okno. Wyglądali jak dzieci: przestraszeni, niezdarni, niepewni. Stałem w bramie niczym żądny zemsty duch na skrzypiącym strychu, powstrzymujący swój oskarżycielski palec przed pociągnięciem spustu, powstrzymujący się przed zanurzeniem niewidzialnej ręki w gardłach wrogów i wydobyciem z nich ostatniego tchnienia. Nadżib i jego kumpel szeptali coś do siebie, po czym nagle odjechali i już nie wrócili.

Wróciłem na dach i myślałem o George'u. Niewiele brakowało, a byłbym go zabił – zabiłbym George'a, mojego przyjaciela z dzieciństwa, brata, który wbijał mi nóż w plecy i całował mnie w policzek, i który tak długo całował moją kochankę, aż mnie opuściła... „Muszę wyjechać”, myślałem. „Muszę stąd wyjechać”. Wyciągnąłem pieniądze z kieszeni i jeszcze raz przeliczyłem, po czym przewiązałem je gumką, tworząc gruby zwitek.

Przeszedłem na drugą stronę dachu i patrzyłem na dom Rany. W jej oknie było ciemno. Huśtałem pistoletem na wszystkie strony, wymachiwałem nim w kierunku pustych beczek na wodę, tańczącej kuropatwy, świszczących bomb; wymachiwałem nim w stronę Rany i w stronę siebie samego. Spojrzałem prosto w lufę i pomyślałem, jak wiele jest sposobów, na jakie można zniknąć: jakiś duch mógłby mi wygiąć ramię i pociągnąć za spust, mierząc w moją twarz, a gdybym miał trochę szczęścia, zepchnąłby mnie też z dachu i zczekał, aż kuropatwa zanieś mnie z powrotem w górę – a spadające z nieba rakiety zagoni na pustynię Nevada lub do tykającego Big Bena albo krzywej wieży w Pizie. Mógłbym też mocno się uchwycić gruchającej kuropatwy i dać nura w morze, żeby polować tam na trujące ryby i złapać kilka zatrzasujących się małży. Albo mógłbym z pełną gracją chwycić statek wycieczkowy za żagiel i zabujać nim w rytm płynącej z pokładu melodii mambo, uważając, żeby nie rozlać szampana na wieczorowych strojach turystów, a przy tym strzelać z wodnych pistoletów do wędrujących, bezpłciowych bizantyjskich aniołów. Mógłbym też uwięzić w pęcherzykach powietrza duchy marynarzy i patrzeć, jak pękają, wypływając na powierzchnię, a potem znów je zatapiać. Lub też kłaść trupem podwodne nimfy, zdzierać z nich maleńkie

zielone wdzianka i zwijać jak liście winogron, jak banknoty w kieszeni, jak perskie dywany wietrzone na białych balkonach.

Mógłbym też po prostu zejść po pustych schodach, wrócić do migoczącego płomienia świecy i trochę się przespać.

Rano usłyszałem pukanie do drzwi. Na progu stał *monsieur* Laurent. Był zdenerwowany, oczy miał zaczerwienione.

Twój przyjaciel George odwiedził mnie ostatniej nocy i zachowywał się jak zwierzę, powiedział *monsieur* Laurent. Żądał więcej pieniędzy. Dałem mu tyle, co zwykle, ale on żądał więcej. Potem wziął Bébé za rękę i wyszedł, i od tamtej pory nie wrócili. Zachowywał się wrogo, bardzo wrogo. Czy mógłbyś go poszukać? Bardzo cię proszę. Całą noc nie zmrużyłem oka.

*Monsieur* Laurent, powiedziałem, nie jestem agentem George'a. Tamtego wieczoru George poprosił mnie o przysługę i przyniosłem wam to, czego potrzebowaliście. Gdybym wtedy wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, w ogóle bym nie przynosił tej torebki.

George zachowywał się bardzo wrogo, Bassam, błagał mnie Laurent. Myślę zresztą, że musiał być trochę na haju. Żąda teraz ode mnie góry pieniędzy. Groził mi. *Il faut qu'on quitte cet endroit. C'est devenu vraiment dangereux ici\**. Moim przeznaczeniem jest chyba być wiecznym tułaczem, zawsze na wygnaniu. Czy mógłbyś poszukać George'a i Bébé? Chcę tylko zobaczyć *mon Bébé*.

Sprawdzał pan u George'a w domu, *monsieur* Laurent?

Nie. Bałem się, że mogłoby to go rozzłościć. *C'est un fou. S'il te plaît\*\**, idź ich poszukaj.

Poprosiłem *monsieur* Laurenta, żeby usiadł i zaczekał, aż się przebiorę. Umyłem zęby i ochlapałem twarz odrobiną wody. Poszedłem do sypialni, włożyłem spodnie i koszulę.

---

\* Musimy stąd wyjechać. Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie (franc).

\*\* To wariat. Proszę (franc).

Wchodząc do salonu, złapałem kurtkę i wsunąłem ramię w rękaw. *Monsieur* Laurent przytrzymał kurtkę z drugiej strony, pomagając mi wsunąć w nią drugie ramię.

Wyszedłem na ulicę, *monsieur* Laurent podążał za mną. Potem przyspieszył kroku, żeby iść razem ze mną. Minął nas Abu Dolly, sklepikarz. Nie zwrócił na mnie uwagi, ale skierował twarz w stronę *monsieur* Laurenta – wymienili uprzejme ukłony.

Gdy dotarliśmy do domu George'a, zapukałem do drzwi. Laurent został na dole, przy bramie, dreptał w miejscu i palił papierosa, kaszląc jak starzec.

Waliłem pięścią w drzwi. W końcu otworzyła Bébé, zasnana i w negliżu.

Jest tu George?

*Non, il n'est pas là* \*.

A gdzie jest?

Wszedł.

Na dole czeka twój mąż, szukał cię.

*Ah, oui! Loulou est là?* \*\* Zbiegła boso po schodach.

Kiedy Laurent zobaczył żonę, zaniósł się kaszlem, po czym rzucił papierosa na chodnik i ruszył ku niej.

*Bébé, Bébé.*

*Mais, ça va, mon amour, ça va* \*\*\*, mówiła Nicole, głaszcząc jasne włosy Laurenta.

*J'ai pas dormi.* \*\*\*\*

*Oui, mais ça va* \*\*\*\*\*. Nicole wzięła go za rękę i ucałowała w policzki.

Podczas gdy oni rozmawiali na dole, wszedłem do mieszkania George'a i skierowałem się do jego pokoju. Obok łóżka leżała cienka igła i przypalona łyżka, a w rogu – jego karabin.

---

\* Nie, nie ma go tu (franc).

\*\* Och tak! Koteczek tu jest? (franc).

\*\*\* Tak, wszystko dobrze, kochanie, wszystko dobrze (franc).

\*\*\*\* Nie spałem (franc).

\*\*\*\*\* Tak, ale już dobrze (franc).



W powietrzu unosił się zapach spalenizny i apteki. Na podłodze poniewierał się koronkowy stanik. Poszedłem do kuchni – w zlewie pełno było brudnych naczyń. Przykleiłem usta do kranu – woda leciała wątlym, gasnącym strumyczkiem, który lada chwila mógł zaniknąć. Ostatnie krople spływające po moim gardle miały smak powietrza w rurach.

Zszedłem po schodach. Bébé biegła na górę, z powrotem do mieszkania George'a.

*Je viens, papa, je serai là dans cinq minutes, j'apporte mes affaires\**.

Kiedy zszedłem na dół, *monsieur* Laurent wziął mnie za rękę i próbował ją pocałować. Wyrwałem mu ją pospiesznie.

*Merci, merci*, powtarzał jak sługus, kiedy go mijałem. Kiedy wszedłem na chodnik, przydeptałem papieros *monsieur* Laurenta, gasząc żarzący się ogień.

Wracając do domu, zaszedłem do Romanoce, właściciela kiosku z prasą, i wziąłem do rąk gazetę. Nagłówki krzyczały: Izrael posuwa się na południu; walki w górach pomiędzy siłami chrześcijańskimi, muzułmanami i socjalistami; długie, niewiele mówiące przemowy ministrów i duchownych; jakaś modelka czy hollywoodzka aktorka poślubia saudyjskiego milionera; Woody Allen gra na klarncie; Sahib Hamema wyznaje miłość egipskiej aktorce. Tymczasem Romanoce zastanawiał się, czy mam w ogóle zamiar kupić gazetę, czy tylko poczytam i odłożę ją z powrotem na półkę, jak zwykle.

Gdy wyszedłem znów na ulicę, zatrzymał mnie Abu Jusuf, żeby złożyć mi wyrazy współczucia z powodu śmierci matki. Zobaczył nas hydraulik Salah, zatrzymał się z przepaszającą miną i powiedział: Niech Bóg ma w opiece jej duszę, dwa dni przed jej śmiercią naprawiałem rury u was w kuchni. Pod zlewem wciąż leży mój klucz francuski i jeszcze parę narzędzi, został też niewielki rachunek, który może zechciałby pan uregulować. Wiem, że to nieodpowiednia pora, żeby pana prosić, ale dzieci nie mają w co się ubrać, żona przeklina dzień, w którym za mnie wyszła, ojca tyrana, który ją do tego zmusił, moje zgrubiałe ręce i zmasakrowany palec wskazujący, który już nigdy nie dotknie jej zwiędłego biustu. Przeklina swój los. Proszę więc pana o resztę zapłaty... Niech Bóg ma w opiece duszę pańskiej matki. To była prawdziwa dama.

---

\* Zaraz przyjdę, tatku, będę z powrotem za pięć minut, tylko przyniosę swoje rzeczy (franc).

Wróciłem do domu razem z Salahem, otworzyłem mu drzwi, a on ruszył prosto do swoich narzędzi. Schowałem się za stołem w jadalni i wyciągnąłem z kieszeni zwitek pieniędzy. Wyjąłem z niego kilka banknotów, wyprostowałem się i oddałem Salahowi pieniądze, które winna mu była matka.

Kiedy wyszedłem znów na ulicę, panował spokój. Przez ostatnie kilka dni w naszą stronę nie leciały bomby. Taksówkarze kłócili się o benzynę, kobiety przeklinały świętych mających w opiece potoki i wodę, a nieogoleni mężczyźni mieli na twarzach wypisaną klęskę. Kilku z nich paradowało ze starymi pistoletami zwisającymi u boku. Ludzie z szumem krążyli pomiędzy sklepami, a w kawiarniach, w gęstej mgle dymu z nargili znikali nagle pokerzyści, niczym sam Houdini. Aromat jabłkowego tytoniu tłumił nieco odór śmieci i osłaniał hazardzistów przed gniewem histerycznych żon.

Przechodziłem obok swojej starej szkoły. Grupki dzieci w szarych fartuszkach, z książkami w ręku lub w brązowych torbach, szły, powłócząc nogami, w stronę długiego refektarza, na spotkanie księży odzianych w sięgające do ziemi sutanny, napoleońskich bitew, trójkątów prostokątnych oraz wierszy z okresu al-dżahilijja\*, w których pijani Beduini wystawiają swych licznych bogów i oplakują zamieszkałych pod miłą piaskiem zmarłych, kołysząc się wraz z tańczącymi na wietrze palmami na przemieszczających się wydmach pod niewielką misą do połowy oświetlonych księżyców.

---

\* Okres przedmuzułmański (arab.).

Na naszą ziemię weszli izraelscy żołnierze, przecinając rzeki i gaje oliwne.

Staliśmy z Vartanem na skraju chodnika i czytaliśmy gazetę. Nagłówki ryczały: *Żydzi są już na południu! Syryjczycy się wycofują! Mukawama\* szykuje się do boju! Siły chrześcijańskie jednoczą się przeciw najeźdźcom!*

Przechodzący akurat koło nas Abu Fuad wetknął głowę w otwartą gazetę i szepnął: Już tu są. Słyszałem w radiu. Pozbędziemy się Palestyńczyków, ale za to będziemy mieć na głowie tych z Izraela.

Asz-Szami, uliczny muzykant, w jednej ręce przesuwiał sznur koralików, a drugą przyglądał wąsy. Niech sobie nadchodzi, kto chce, jesteście już zmęczeni tą wojną, śpiewał. Trzeba pracować, a szara kuropatwa na dachu zagrucha mi do ucha: „kiedy wyjeżdżamy, kiedy wyjeżdżamy”. Łapmy w żagle południowy wiatr. Ślizgajmy się na falach! Uniesie nas pobliskie morze.

W drodze do domu spotkałem *monsieur* Laurenta. Chwycił mnie za ramię, pokiwał głową i powiedział: *Les Juifs sont là, ils sont là\*\**.

Któregoś dnia zobaczyłem Ranę na targu – zignorowała mnie i zniknęła pośród krzyku sprzedawców. Poszedłem za nią. Gdy się do niej zbliżyłem, udawała, że mnie nie widzi i dalej wybierała warzywa ze straganu.

Wziąłem ją za rękę i powiedziałem: Chodź, porozmawiamy.

Odpowiedziała cicho: Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Proszę, puść moją rękę. Jedź. Wyjedź stąd. Zawsze chciałeś być sam, chciałeś tylko wyjechać. Nie potrzebujesz mnie,

---

\* Ruch oporu (arab.).

\*\* Przyjechali Żydzi, są tutaj (franc.).

nikogo nie potrzebujesz. Poza tym właśnie mam zamiar się zaręczyć. Nie pytaj, nie powiem ci z kim.

Dowiem się i zabiję twojego narzeczonego, powiedziałem.

Możesz spróbować. Mój narzeczony zabił już wielu przed tobą i jeszcze wielu zabije.

Puściłem ją.

Radio ryczące u sąsiadów poinformowało mnie, że Izraelczycy przesunęli się na północ i oblegają Bejrut Zachodni.

Obserwowałem z balkonu owładnięte euforią siły chrześcijańskie. Pędzili jeepami przez ulice; do dachów, szyb i masek poprzyczepiane mieli krzykliwe pomarańczowe flagi. Kiedy zapytałem Josepha, o co chodzi z tymi flagami, powiedział: To znak dla Izraelczyków, żeby wiedzieli, że jadą sprzymierzeńcy. Przez jakiś czas nie będzie dostaw whisky, co, *Al-Madżnun?*

Nad Bejrut zlatywały się izraelskie samoloty, bombardując domy, szpitale i szkoły. Z każdego okna na naszej ulicy dobiegały odgłosy radia. Z Bejrutu Zachodniego ludzie uciekali w popłochu, a po naszej stronie nocą widać było przecinające niebo błyski stawianego najeźdźcy oporu. Wszedłem na dach i spojrzałem na zachodnią stronę. Miasto było oświetlone piorunami miotanymi przez izraelskie samoloty. W niebo leciał nieprzerwany strumień ognia. Zastanawiałem się, czy to mój wuj strzela do bogów. Zastanawiałem się też, czy butelki po taniej whisky zmieniają się w rękach Alego w koktajle Mołotowa.

Zadzwoiłem do Dżalila at-Tahuny w sprawie listu wuja. Rozmawiał ze mną krótko i opryskliwie. Umówiliśmy się przed kawiarnią Sassine. Powiedział, że przejedzie tamtędy samochodem, żebym zaczekał na ulicy. Zapytał też, czy będę sam. Powiedziałem, że tak.

Nie zapomnij o kopercie, rzucił.

Trzasnąłem słuchawką.

Czekałem przed kawiarnią. Dzień był słoneczny; obserwowałem grupkę dziewcząt wychodzących ze szkoły u zakonnic – miały na sobie krótkie spódniczki, a do młodych piersi przyciskały książki przewiązane grubymi gumowymi paskami. Chichotały *unisono* i w jednym rytmie kołysały stworzonymi do macierzyństwa biodrami, pokazując świeżo ogolone nogi. Strzelały na prawo i lewo dużymi brązowymi oczami, rzucając krótkie spojrzenia na ludzi wokół.

Zatrzymał się przede mną samochód. Mężczyzna w okularach i wełnianej marynarce nachylił się w stronę siedzenia pasażera, otworzył drzwi i zawołał mnie po nazwisku. Wsiadłem. Nie przywitał się ze mną. Facet wydawał się spięty lub czymś zdenerwowany. Pomyślałem, że musi mu być piekielnie gorąco w tej marynarce z grubej wełny. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zauważał mojej obecności, gapił się jednak na kopertę.

To jest to? – zapytał.

Co? – odpowiedziałem pytaniem, doskonale wiedząc, o co mu chodzi.

Koperta.

Tak.

Wykonał nagły skręt i zjechał w dół drogą prowadzącą z powrotem do dzielnicy Asyryjczyków.

Zatrzymał samochód, poprawił okulary i chwycił kopertę. Pokaż no.

Był wyjątkowo gburowaty; irytowały mnie jego dziwaczne chamskie maniery.

Spojrzał na mnie przez wąskie szparki oczu. Była otwarta? – warknął.

Nie.

Sam otworzyłeś?

Tak.

Dlaczego? – wrzasnął.

Bo miałem ochotę.

Nie powinieneś był tego otwierać.

Pieniądzy jest, ile było. Może pan sobie przeliczyć.

Zaczął liczyć pieniądze. Potem wsunął kopertę do kieszeni i powiedział: No dobra, możesz już spadać.

Wyciągnąłem pistolet i odpowiedziałem: Nie, to ty możesz spadać.

Facet zamarł.

Słuchaj, powiedziałem, ja ci tutaj wyświadczam jedynie przysługę. A ty nawet nie powiedziałeś dziękuję. Nie mam zamiaru wracać taki kawał na piechotę, rozumiesz? Jedno, co się dla mnie liczy, to szacunek. Szacunek jest dla mnie bardzo ważny. Za szacunek masz u mnie poważanie, a za brak szacunku kulka w łeb. Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, to cię, kurwa, zabiję i zatrzymam pieniądze. Zrozumiano?

Na twarz gościa natychmiast wypląnął wielki uśmiech. W jednej krótkiej chwili nastąpiła w nim czarodziejska metamorfoza: przemienił się z karalucha w płaszczącego się garbusa, który pochyła przede mną głowę i nazywa mnie *ustaz*\*.

Pana wuj to mój serdeczny przyjaciel, mówił, naprawdę serdeczny przyjaciel. Proszę. Z uśmiechem wyciągnął dwieście lir. To za pańską fatygę.

Wracaj, skąd mnie przywiozłeś, powiedziałem. I to miгіem.

Minęło kilka dni, a w Bejrucie Zachodnim zginęło jeszcze więcej cywilów. Któregoś ranka do moich drzwi zapukało trzech falangistów.

*Al-Amn ad-Dachili*\*\* . Otwierać! – krzyczeli. Kiedy im otworzyłem, wpadli do domu i przycisnęli mnie do ściany. Jeden z nich przystawił mi lufę do głowy. Pozostałych dwóch przeczesywało dom.

O co chodzi? – spytałem.

---

\* nauczycielem (arab.).

\*\* służby bezpieczeństwa (arab.)

Zamknij się, *haszszasz!*\* Facet stojący tuż obok uderzył mnie w twarz. Pojedziesz z nami. Abu Nahra chce się z tobą zobaczyć.

Muszę się ubrać, powiedziałem.

Facet z pistoletem mnie pchnął.

Pojadę z wami! – powiedziałem. Mam się spotkać z dowódcą w bieliźnie?

Facet chwycił mnie za koszulę i powiedział: Tylko się pospiesz.

Poprowadziłem go do swojego pokoju, znalazłem spodnie, a podczas gdy on mnie szturchał, wsunąłem palec w środek zwitka pieniędzy w kieszeni. Zaczekałem, aż znów mnie szturchnie, a wówczas udałem, że się przewracam i wcisnąłem forszę pod starą, ciężką kanapę. Później wszyscy trzej zaprowadzili mnie do jeepa. Po drodze zobaczyłem stojącego w drzwiach sklepu Abu Dolly'ego, który kręcił głową. *Zu'ran*\*\*, powiedział i spojrzał mi w oczy.

Dlaczego mnie zabieracie? – spytałem falangistów.

Facet z pistoletem poderwał się z siedzenia, obrócił się do tyłu i złapał mnie za włosy. Jeszcze jedno słowo i będziesz pluł krwią, rozumiano?

W końcu dojechaliśmy do *Madżalis*. Wsiadłem z jeepa, a dwóch falangistów poprowadziło mnie schodami w dół, a potem przez podziemia. Wepchnęli mnie do pokoju, w którym był stół i dwa krzesła. Usiadłem na jednym z nich i czekałem.

Minęły dwie godziny, a ja dalej czekałem. Słyszałem tylko brzęk metalowych drzwi, kroki strażników, jakieś jęki. Czułem wilgoć podziemia, zimno ścian, słabą woń uryny i niepomalowaną betonową podłogę. Zacząłem chodzić w miejscu, wierciłem się, zmieniałem krzesła. Może się dowiedzieli o układzie z pokerem. Trzeba było zabić Nadżiba, tego idiotę – czy to może George raz jeszcze wbił mi nóż w plecy?

Wkrótce opanowała mnie żądza zemsty. Czy chodziło o układ z pokerem, czy o kopertę od wuja dla Dżalila at-Tahuny? Przygotowywałem się na bicie po twarzy, po-

---

\* narkomanie (arab.)

\*\* bandyci (arab.)

wtarzające się pytania. *Opowiadaj tę samą historię, Bassam, zawsze tę samą historię.* Strasznie chciało mi się palić. W końcu usłyszałem zgrzyt przekręcającego się w drzwiach klucza i do środka wszedł Abu Nahra, z uśmiechem na twarzy. Towarzyszył mu strażnik.

Ach, to ty jesteś Bassam! Tak myślałem, powiedział, patrząc przez okulary. Zastanawiałem się, czy w przyćmionym świetle wiszącej nisko nad jego głową żarówki w ogóle mnie widzi.

Wstawaj! – krzyknął strażnik, wałąc mnie dłonią w tył głowy. Wstawaj, gdy dowódca do ciebie mówi, *haszszasz!*

Powoli się podniosłem, patrząc Abu Nahrze prosto w oczy.

Wstawaj szybciej, *kalb!* Strażnik jeszcze raz trzepnął mnie w głowę, a potem mnie popchnął i kopnął w piszczel. Straciłem równowagę i poleciałem na podłogę. Kiedy dotknąłem ziarnistej powierzchni betonu, poczułem zimno i wilgoć, a moje ubranie, ocierając się o podłogę, przyjęło jej szarą barwę, barwę kruchych ziarenek pokrywających chropawą, nierówną powierzchnię. Pomyślałem, że ktoś, kto wylewał ten beton, naprawdę spartaczył robotę. „Może to dlatego oba krzesła kiwały się, gdy się na nich usiadło”, myślałem, podczas gdy na moją twarz i niewyspane oczy spadały kopniaki tamtego.

Wstałem zakrwawiony. Abu Nahra machnął ręką, a potwór przestał wykonywać nade mną *dabka*\*.

Wiesz, co zrobiłeś?

Nie.

Słuchaj, ja jestem bardzo zajęтым człowiekiem, a twój wuj, ten *jasari*\*\* , był moim przyjacielem. Będziesz mówił albo zostawię cię tutaj z Rambo.

Nie mam pojęcia, co zrobiłem.

Czemu zabiłeś tego starego?

Jakiego starego?

---

\* taniec (arab.)

\*\* lewicowiec, lewak (arab.)



Jego żona mówi, że skradziono im jakieś rzeczy.

Kto? Nie mam pojęcia, o co chodzi.

Rambo znów dopadł do mnie, chwycił mnie za włosy, przycisnął usta do mojego ucha i szepnął: Mów albo pożałujesz, że się urodziłeś.

No dobrze, oto cała historia, chłopczyku. Abu Nahra zwrócił do mnie twarz i spokojnym, niskim głosem opowiadał. Zeszłej nocy *monsieur* Laurent został zamordowany we własnym mieszkaniu. Mieszkanie zostało przy okazji okradzione. Przesłuchaliśmy jego żonę. Była u przyjaciółki w górach. Z domu zniknęły afrykańskie diamenty.

Może to ona go zabiła. Może je ukradła, powiedziałem.

Nie przerywaj, kiedy dowódca mówi! – warknął Rambo i przywalił mi w głowę.

Kiedy ją przycisnęliśmy, mówił dalej Abu Nahra, powiedziała, że podejrzewa ciebie. Sprzedawałeś jej narkotyki. A ostatnio widywano cię też z jej mężem. Lubisz starszych, bogatych facetów?

Nie.

Owszem, lubisz. Może nawet robisz im *massat*\*. Twój sąsiedzi ostatnio widzieli cię w jego towarzystwie.

Jacy sąsiedzi? – spytałem wyzywająco.

Sklepikarz, Abu Dolly, powiedział, że codziennie sobie z nim spacerowałeś. Dużo o tobie słyszeliśmy. Wszyscy wiedzą, że jesteś *haszszasz*. Gdzie byłeś ostatniej nocy?

W domu. Nie zrobiłem tego.

Znaleźliśmy u ciebie pistolet. Słuchaj, mały komunisto... Jesteś przecież komunistą, prawda? Tak samo jak twój wujek. Albo mi powiesz, gdzie ukryłeś diamenty, albo zobaczysz gwiazdy za dnia, gdy Rambo cię pośle z powrotem w łono matki.

Moja matka nie żyje.

---

\* laskę (arab.)

Rambo wpadł w szal: Pyskujesz dowódcy, *ja kalb?! Zaczął* mnie okładać kolbą karabinu.

Znów upadłem na zimną podłogę, a jego buciory uderzały i się wycofywały, jak fale rozpryskujące się o zamglony brzeg, jak czarny szal przesłaniający oczom dostęp do słońca, jak rozbrzmiewający w uszach łomot bębnów, jak lizak, z którego cieknie na brodę, jak zapach gąbki w szkolnej sali. Z podłogi znów wzbił się pył, niczym kreda ścierana z tablicy przez Habiba o brązowym nosie, ale też jak uderzenia linijką francuskiego księdza jezuitę, spadające na dłoń niczym błogosławieństwo, jak kolana ugięte na wąskich kłodach pod ławkami w kaplicy, jak powracający zapach kadzidła, który pozwalał wznieść się do nieba i jeszcze Pana Boga obraziłem następującymi grzechami: szarpałem za drzewko, aż trysnęły owoce, stłukłem szybę kamieniem świętego Piotra, kradłem cukierki i dotykałem jednej dziewczynki w schronie, gdy spadały bomby, a jej matka chrapała w rytm wiadomości radiowych. Wyznaję, ojczyźnie duchowny, że to ja sam czekałem, aż zgaśnie świeca, a potem wsunąłem rękę pod jej koszulę nocną, tam gdzie dopiero co wyrosły jej włoski łonowe, a ona nawet nie pisnęła, a potem chodziła za mną, gdy się bawiłem, kiedy szedłem na dach, chodziła za mną jak piesek, jak ptasia samiczka. Od tamtej pory, proszę księdza, ubierała się bardziej krzykliwie, bawiła się włosami, żuła gumę z otwartymi ustami, gdy tylko usłyszała muzykę, zaczynała ekspresyjnie tańczyć. Zaczęła być zazdrosna o moją matkę, o moich przyjaciół, a potem nagle któregoś dnia zareagowała ze wstrętem na mój chropawy głos, wągrowaty nos, czerwone pryszczki i nabrzmiałe sutki. Niech ksiądz zrozumie, że gdy dorosła, zadawała się już tylko z falangistami, którzy przyjeżdżali kradzionymi włoskimi samochodami i trąbili pod oknem jej ojca. A ja, nie mogąc znieść swojego wieku i ubóstwa, nie mogąc znieść tego, że zostawiła mnie dla starszych chłopaków, patrzyłem, jak spieszo jej do ich złotych sygnetów, krzyży z cedrowego drzewa na odkrytych torsach, wody kolońskiej Drakkar Noir i puszczonej na cały regulator muzyki z taśm, która burzyła spokój naszej dzielnicy. Jej włosy, proszę księdza, powiewały na wietrze z ich odkrytych samochodów, którymi wozili ją do swoich domków letniskowych na zanieczyszczonych plażach lub do garsonier w górach. Kiedy zaś mnie widziała, uśmiechała się do mnie jak do pajacyka w jej domku dla lalek. Niech więc ksiądz zrozumie, że od tamtej pory odmawiam schodzenia do schronu, nawet gdyby ten tutaj Rambo miał ze mnie zrobić kotlet mielony.

Nie, już nigdy nie zejść w tamte ciemności, bo od dawna nienawidzę podziemi i żyjących w nich diabłów, które kazały mi pożądać jej szczuplutkich ud i tego miejsca, gdzie dopiero co wyrosły jej włoski łonowe.

Zanim Abu Nahra opuścił pokój, podszedł do mnie i się nade mną nachylił. Ledwo widziałem jego twarz; wszystko było zamglone. Jego okulary tańczyły, jakby grał diabelską postać w filmie o Jamesie Bondzie z lat siedemdziesiątych; usłyszałem jego głos gangstera: Będziemy cię wstrząsać i mieszać... chcę od ciebie tylko diamentów. Potem cię wypuścimy. Bądź więc dobrym towarzyszem i zdradź Rambo swoją kryjówkę, podziel się nią. Słyszałem, że komuniści lubią się wszystkim dzielić, masz więc szansę stać się częścią egalitarnego społeczeństwa. Zrób, co do ciebie należy, a twój wujek komunista będzie z ciebie dumny.

Abu Nahra uśmiechnął się, drzwi trzasnęły, a ja zemdlałem.

Kiedy odzyskałem przytomność, mój bestialski strażnik zaprowadził mnie do niewielkiej celi, w której nie było nic oprócz koca i wstrętnego klozetu.

Widziałem tylko na jedno oko. Usiadłem na podłodze, lewą ręką odgarnąłem pył, a prawą oparłem o zimny beton, pragnąc, aby chłód mojej dłoni przeniknął aż do oka. Wszystko mnie bolało, z ust ciekła krew.

Próbowałem zasnąć, ale Rambo za wszelką cenę starał się do tego nie dopuścić. Co kilka minut otwierał drzwi i kazał mi wstawać.

Jeśli zobaczę, że siedzisz albo śpisz, wsadzę ci łeb do kibla, powiedział. Zrozumiano, *haszszasz?*

Masz chodzić! – wrzasnął i zacząłem się przechadzać w tę i z powrotem.

Przez większą część nocy potwór pozbawiał mnie snu. Trzymałem się ściany i próbowałem utrzymać ciało w pionie. Kiedy opadałem na kolana, nasłuchiwałem trzasku zasuw. Zanim Rambo zdążył wejść, podnosiłem się. Kiedy zasnąłem, Rambo się wściekł i zaciągnął mnie do celi, w której była łazienka. Napełnił zlew wodą i wielokrotnie zanurzał w nim moją głowę. Za którymś razem, gdy miałem głowę pod wodą, pomyślałem: „Pierdolić

go. Kiedy wyciągnie moją głowę, nie będę oddychać. Pierdolić go”, myślałem, „wstrzymam oddech i zanurkuję w morze pełne trujących ryb. Zostanę tam i będę się znów przyglądał turystom przepływającym statkiem rejsowym. Tym razem włożę swój najlepszy smoking i pokażę tym cudzoziemcom, jak umiem tańczyć swinga, wymachując laską do tańca w powietrzu do melodii mambo, przy każdym biodrze mając tancerkę brzucha, pośród patrzących na mnie z zazdrością bezpłciowych aniołów oraz drwiących nimf, pośród koneserów whisky obsługujących Saudyjczyków o równo przystrzyżonych kozich bródkach, pośród kilku podziemnych króliczków «Playboya» o miękkich, białych ogonkach z waty. Pierdolić go. Będę spać w dwuosobowej kajucie z pełną obsługą. Pierdolić tego bydlaka. Muszę tylko zachować kilka pęcherzyków powietrza z pieniającej się wody w zlewie i przeczekać pod wodą, aż powróci melodia mambo. Tak właśnie zrobię”.

Lecz potwór mnie pilnował i bił po twarzy, gdy zsiniałem, przybierając granatowy kolor głębokiego morza, kolor swojego lewego oka i munduru kapitana statku.

Diamenty, powtarzał z uporem. *Ja habub\**, czemu skazujesz się na takie traktowanie? Nie mogę pojąć, dlaczego ludzie mają ochotę znosić tyle bólu. Czy to warto? To tylko kamienie... Słuchaj, bardzo bym nie chciał zabić innego chrześcijanina. Wszyscy jesteśmy tutaj z jednej gliny ulepieni. Po prostu powiedz, gdzie są te diamenty, a ja cię wypuszczę; poślę cię nawet do domu taksówką. Zobacz, przyniosłem ci trochę zupy. Pozwolę ci się trochę przespać tej nocy i wiem, że rano obudzisz się rześki i opiszesz mi dokładnie, gdzie je schowałeś.

Ja ich nie ukradłem, powiedziałem, sepleniąc przez połamane zęby.

Co mówisz? Nie słyszę, mówisz jak baba. Może ty jesteś babą, która lubi obciążać druta starym facetom? A potem potwór złapał mnie za kark i przykleił ucho do moich ust. Mów do mnie, *cheri*, i wszyscy będziemy mogli spokojnie rozejść się jeszcze dziś do domów.

Ja tego nie zrobiłem, powiedziałem.

Jutro sobie przypomnisz, odpowiedział. Rozumiem, że teraz dokładnie nie pamiętasz, bo namieszało ci się w głowie i trochę za dużo wypiliśmy. Teraz idź spać.

---

\* kochany, kochasiu (arab.)

Mimo że zostawił mnie wówczas w spokoju, nie spałem dobrze. Wciąż się budziłem. Bałem się, że potwór wpadnie do celi i znów każe mi chodzić. Pojawił się rano. Popchnął mnie buciorem i zapytał: No to gdzie one są?

Zacząłem płakać. Ja tego nie zrobiłem, powtarzałem. Nic nie wiem.

No dobra, *haszszasz*. Widzę, że nie jesteś facetem, który potrafi docenić dobre traktowanie. Potraktowałem cię fair. Smakowała ci zupa? Bo nie wiem, czy wiesz, ale to był twój ostatni posiłek. Chodź ze mną. *Jalla!*\* Zawołał kolegę i razem zaciągnęli mnie do czarnego bmw.

Lubisz beemki, co? – usłyszałem. Chciałbyś sobie kupić taki wózek, kiedy sprzedasz te kamyki starego? No to teraz zabierzemy cię na przejażdżkę.

Wpakowali mnie do bagażnika i przejechali kilka metrów. Potem się zatrzymali i jakiś głos krzyknął: Rambo, dokąd jedziecie?

Jedziemy rozwalić tego komunistę, Bassama Jak-mu-tam.

Jak go chcecie rozwalić? – zapytał głos ze śmiechem.

W stylu Rambo, odpowiedział Rambo, i wszyscy się roześmieli.

Potem dali gazu i zataczali pętle, jeżdżąc w kółko. Moja głowa obijała się o koło zapasowe, zbierało mi się na wymioty, co się jeszcze bardziej nasiliło pod wpływem zapachu skórzanej tapicerki. Było ciemno, ciemno jak w grobowcu moich rodziców. „Pierdolić go”, pomyślałem, „przynajmniej nie zostanę pochowany w tym samym miejscu co oni!”.

Samochód się zatrzymał. Potwór wyłączył silnik, a bagażnik sam się otworzył. Zakrywałem dłonią oczy. Oślepiła mnie smuga światła, która przecięła wnętrze bagażnika, dostałem zawrotów głowy i zwymiotowałem.

Kumpel potwora się wściekł: *Achu asz-szarmuta*\*\* , zapaskudził ci samochód! Zobacz, wszystko obrzygał!

---

\* dalej! (arab.)

\*\* skurwysyn (arab.)

Usłyszałem odgłos ładowania karabinu, a głos kumpla potwora powiedział: Skończę teraz z tym śmieciem.

Ale Rambo kazał mu zaczekać. Mówię ci, zaczekaj! – wrzasnął do niego i obaj chwilę się przepychali.

Idź się przejść, *jalla*. To mój samochód i sam się tym zajmę.

Rambo pochylił głowę nad bagażnikiem i powiedział jak zwykle sarkastycznym tonem: No dobra, *ja habub*, przypomniałeś sobie, gdzie są te kamyczki?

Zamiast odpowiedzieć, jeszcze trochę zwymiotowałem. Miałem wrażenie, że wymioty wpadają mi znów przez nozdrza do środka, a po mojej klatce piersiowej spływa miska zmutowanej zupy.

W porządku, jak sobie chcesz, powiedział. Mógłbym ci wyświadczyć przysługę i teraz cię zastrzelić. Wiem, że o to ci właśnie chodzi, ale nie zrobię tego. Jeszcze z tobą nie skończyłem. Muszę cię jeszcze przedstawić elektrycznej ładowarce. Przysięgam ci, że będziesz świecił jak *Mariam Al-Azra*\*.

Po czym Rambo i jego kumpel zawieźli mnie z powrotem i zanieśli do celi.

Dziesięć tysięcy ciosów spadło na moją obolałą skórę, a z mojego żołądka wypływała zupa, jak niemowlęca kaszka z karmiących ramion matki, z jej świdrujących oczu, wymagającego oddechu, pogardy dla ojca fatalisty, obojętnego, chodzącego powoli małomównego mężczyzny, który wpadał do mieszkania późno, po ciemku, miotając ciosy na karmiące ramiona matki, jej świdrujące oczy, wymagający oddech, pogardę dla ojca fatalisty, obojętnego, chodzącego powoli małomównego mężczyzny, który wpadał do mieszkania po ciemku, jak mój oprawca, zadający mi ciosy i oferujący zupę, która wypływała z mojego żołądka jak niemowlęca kaszka z karmiących ramion matki, z jej świdrujących oczu, wymagającego oddechu, pogardy dla ojca fatalisty, obojętnego mężczyzny, chodzącego powoli jak jego syn w tej celi, gdzie przez całą noc zmuszano go, by chodził, pragnąc tylko

---

\* Maryja Panna (arab.)

karmiących ramion matki, jej świdrujących oczu, wymagającego oddechu, żeby go uratowała z wody, w której nie da się oddychać, wyciągnęła z wanny, gdzie w pianie pływa kaczuśka, i wstrząsających statkiem rejsowym uderzeń wody, która rozchlapuje mydło po drewnianym pokładzie, po którym niegdyś w bezksiężycową noc dwóch Brytyjczyków z deszczowej północy szło spokojnym krokiem w stronę jadalni, zanim jeszcze podawana tego dnia zupa zdążyła wystygnąć i zanim strażnik w białym fartuchu wpadł do kuchni i kazał mi wstać, nie siedzieć, kiedy jestem w pracy, i nie pyskować oraz nie okradać torebek pasażerów, jak również nie dobierać się do nastoletnich dziewcząt i napalonych diamentowych żon, za to nadal gonić za pyłem, zamiatając pokład, czyścić wannę bąbelkami ulatującymi z mojej zatopionej twarzy, wędrujących podwodnych ust trzepoczących jak latające ryby nad bezksiężycowym morzem.

Rambo otworzył drzwi i powiedział: *Możesz iść, haszszasz*. Przytrzymał je otwarte. Masz dwie minuty, żeby stąd zniknąć.

Wstałem i powoli przeszedłem przez celę. Teraz, pomyślałem, strzeli mi w plecy, a potem pokaże moje ciało i powie, że próbowałem uciec.

Szedłem korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się inne cele. Dzieliłem tę samą nierówną podłogę, te same zimne, wilgotne ściany z innymi, którzy wydawali pod wodą delfinie jęki, pływali z otwartymi oczami w tym samym morzu, patrząc, jak ich mijają ławice purpurowych bąbelków.

Na końcu korytarza stał strażnik, który otworzył przede mną bramę. Z trudem wdrapałem się po schodach na górę, gdzie w oślepiającym świetle dostrzegłem kobiecą sylwetkę. „Aha, jest tu moja matka”, pomyślałem. „Ten skurwysyn Rambo widocznie umyślił sobie zorganizować rodzinne spotkanie”. Potem usłyszałem głos Nabili przeklinającej wszystkich świętych oraz barbarzyńców. Zeszła po schodach w moją stronę i przyciągnęła mnie do siebie.

Kiedy przyjrzała mi się bliżej, wpadła w histerię, co mnie przestraszyło. Potem głaskała mnie po włosach i w pełnym świetle przeklinała falangistów, Abu Nahrę, Jezusa

Chrystusa i apostołów. Zdołała doprowadzić mnie do samochodu i zawiozła do swojego mieszkania. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, położyła mnie w bramie. Weszła na górę, zwołała Szafika al-Azraka i razem wnieśli mnie po schodach do jej domu.



## 13

Przez kilka kolejnych dni Nabila mnie myła, karmiła i pielęgnowała, żebym wrócił do zdrowia.

Musisz stąd wyjechać, powiedziała. Załatw sobie paszport. Masz dokąd jechać?

Idź do mojego mieszkania i zobacz, czy pod kanapą wciąż leżą pieniądze, powiedziałem.

Nabila wróciła z okręconym gumką zwitkiem. Skąd masz te pieniądze? – spytała.

Zaoszczędziłem.

Wiesz co, patrząc na tę forszę, mogłabym pomyśleć, że faktycznie zabiłeś tego człowieka, ale słyszałam, że pod twoją nieobecność ktoś zastrzelił jego żonę. Jakiś pasterz znalazł ją w górach z kulą w głowie. Jak się o tym dowiedziałam, poszłam do Abu Nahry i urządziłam scenę. Za jego wszystkimi pięknymi słowami kryje się zwykły bandyta.

Gdzie jest George? – spytałem.

Wyjechał. Przyszedł mi powiedzieć, że jedzie na północ, na biwak. Od tamtej pory się nie odzywał.

Co się dzieje po drugiej stronie?

Al-Gharbijja\* jest wciąż obleżona. Prawdopodobnie Palestyńczycy już niedługo się poddadzą. Aha, byłabym zapomniata: Nahla mówiła, że dwóch młodych chłopaków szukało cię u Julii w sklepie.

Mówiła, jak wyglądali?

Nie bardzo. Mówiła tylko, że byli dość młodzi. I że jeden z nich miał złamany nos.

\*

---

\* Bejrut Zachodni (arab.).

Obudziłem się w środku nocy z jękiem, zlany potem.

Otworzyły się drzwi i weszła Nabila z latarką w dłoni.

Bassam, to ja, Nabila. Miałeś koszmary. Zobacz, jak się spocifeś.

Delikatnie pogłaskała mnie po twarzy. Co oni ci zrobili, ci bandyci. *Ja Umm an-Nur\**, tylko popatrz. Dotykała mojej twarzy, pocałowała mnie w policzek i objęła ramieniem.

Położyłem dłoń na jej udzie, a ona się nie wzbraniała. Szukałem jej ust. Pocałowała mnie, a jej oddech przyspieszył. Położyłem dłoń na jej piersi, a ona się nie wzbraniała. W pośpiechu przesuwalem dłoń po jej piersiach, otwierałem usta łapczywie, jak głodny pies, a ona oddychała coraz szybciej. Pomału, pomału, szeptała. Pomału, kochanie, uważaj na siniaki, nie zrób sobie krzywdy, pomału, powtarzała matczynym głosem. Pociągnąłem w dół jej koszulę nocną i zbliżyłem usta do jej dużych, okrągłych sutków. Trzymała mnie za głowę i gładziła po włosach. Pociągnąłem ją do siebie i położyła się obok mnie, a ja rzuciłem się na jej ciało jak głodny psiak na jedzenie. Lizała moje rany niczym pradawna uzdrowicielka. Jej ponętne uda się rozwarły, a ja zanurkowałem w wilgoć między nimi; trzymała mnie za głowę i gładziła po włosach, doprowadzając mnie do dziecięcego orgazmu.

Rano usłyszałem, jak Nabila stuka garnkami i talerzami w kuchni. Jej radio dołączyło do dźwięków pozostałych odbiorników w sąsiedztwie; razem tworzyły jednolity chór złych wiadomości.

Nie ruszałem się z łóżka, w którym leżałem nagi i zakłopotany, nie wiedząc, co zrobić. W końcu jednak musiałem wstać do łazienki.

Nabila usłyszała dźwięk spłuczki i spytała, czy chcę kawy.

Wymamrotałem coś niezrozumiałego i poszedłem z powrotem do pokoju.

Nabila otworzyła drzwi. Była w szlafroku. Podeszła bliżej, usiadła na skraju łóżka i powiedziała: Bassam, musisz wrócić do siebie. Pokaż no to oko. Trzeba ci zmienić bandaż. Proszę, ubierz się i zacznij się starać o paszport... Jedź. Tu nie ma czego szukać. Jedź... Zrób

---

\* Matko Światłości (arab.)

sobie zdjęcie paszportowe... Twoje pieniądze są w szufladzie... Chodź, zjedz coś, zanim pójdziesz. Uprałam ci ubranie.

Potem zniknęła. Wróciła z kawałkiem papieru. Wzięła moją dłoń i otworzyła ją. Wsunęła zwitek papieru do mojej dłoni i zamknęła ją, mówiąc: Zatrzymaj to. Jeśli uda ci się dojechać do Francji albo innego europejskiego kraju, spotkaj się z tym człowiekiem. To ojciec George'a. Moja siostra nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Wstydziła się. Była dumna i uparta. W młodości popełniła błąd. Nigdy nikogo nie potrzebowała...

Nabila uroniła jedną łzę, tylko jedną słoną kroplę, którą ze stoickim spokojem zgarnęła językiem, zanim ta zdążyła spłynąć na jej wargę. Spojrzała mi w oczy i powiedziała: Chcę, żebyś się z nim spotkał, dla własnego dobra i dla dobra George'a. Masz tu jego nazwisko i numer telefonu. Jeśli nie znajdziesz go pod tym numerem, szukaj go wszędzie, gdzie może być. Obiecuj mi to. Obiecuj, że to zrobisz.

Pokiwałem głową. Nie mówiąc ani słowa, obiecałem.

Po południu zszedłem po schodach na ulicę i udałem się do domu. Wysypano mi wszystko z szuflad, stłuczono kilka wazonów i wyrzucono ubrania na podłogę.

Zadzwoiłem do Josepha Szajbana. Zaproponował, żebyśmy się spotkali wieczorem na rogu ulicy poza jego okolicą.

Będę tamtędy przejeżdżał i cię zabiorę.

Czekałem w umówionym miejscu, a Joseph zgodnie z umową przyjechał i mnie zabrał.

Wyczułem, że nie chce być ze mną widziany, zapytałem więc, czy tak jest faktycznie.

Nie mam nic przeciwko tobie, Bassam. Ale wiesz, jak to jest z *Madżalis*. Kiedy już mają na ciebie oko, obserwują przy okazji twoich przyjaciół.

Wyjechaliśmy z miasta. Zaparkowaliśmy dopiero wysoko w górach i wysiedliśmy, żeby się przejść.

Potrzebny mi pistolet, powiedziałem.

Słuchaj, Bassam, to nie jest dobry pomysł, żebyś akurat teraz miał pistolet.

Ktoś mnie tropi, powiedziałem. Potrzebuję go jak najszybciej. Mam czym zapłacić.

Zobaczę, co się da zrobić.

Wróciliśmy do miasta. Kiedy wysiadałem z samochodu, Joseph zawołał mnie i powiedział: Bassam, nie będę ci zadawał zbyt wielu pytań, ale wiem, że nie zabiłeś tamtego starego.

A kto to zrobił?

Joseph nie odpowiedział, tylko wcisnął pedał gazu i odjechał.

Przez kilka kolejnych nocy chodziłem na noc do budynku naprzeciwko i spałem na świeżym powietrzu.

Z dachu widziałem, jak płonie Bejrut Zachodni. Izraelczycy całymi dniami bombardowali jego mieszkańców, w nocy nad miastem unosiła się pomarańczowa łuna, z ziemi odrywały się kule karabinów maszynowych, czerwonymi łukami szybując w przestrzeń. Miasto płonęło i tonęło w dźwiękach syren, huczącej krwi i śmierci.

Któregoś ranka Joseph posłał mi znak – chciał się spotkać. Spotkaliśmy się, a on podał mi pistolet. Dałem mu pieniądze, po czym zapytałem, czy mógłby mi pomóc w pewnej operacji. Zdradziłem mu, że jestem zdecydowany wyjechać z Bejrutu, ale mam pomysł na ostatni skok, żeby zebrać jeszcze trochę forsy.

Co to za operacja? – spytał Joseph.

Obrabowanie kasyna.

*Al-Madžnun*, powiedział. *Al-Madžnun* z ciebie. Nie jestem pewien, Bassam. To duże ryzyko, tak zadzierać z *Madżalis*.

Tak. Ale co *Madżalis* zrobili dla ciebie, Joseph? Widziałem, jak przez całe tygodnie tkwiłeś na barykadach, ryzykując życie. A ci wszyscy dowódcy fundują sobie sportowe

samochody i domki w górach, konta w bankach im tylko pęcznieją. A ty, zobacz, ledwo ci starcza na jedzenie dla matki i młodszego rodzeństwa. Pomyśl, Joseph. Wojna się kiedyś skończy, oni będą się przechadzać w garniturach od Armaniego, a my z czym zostaniemy? Myślisz, że powiedzą: Ach, przecież to był wspaniały bojownik o chrześcijańską sprawę? Pomyśl o tym. Możemy obaj zdobyć solidną gotówkę.

Joseph nic nie mówił.

Znasz może prawdziwe nazwisko faceta, na którego mówią Rambo? – spytałem. Jeździ czarnym bmw i ma długą bliznę przez całą twarz, od oka aż do brody.

Tak, znam Rambo, to *ars*.

Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Walid Sakaf go dobrze zna – mówił mi, że został kiedyś zaproszony na imprezę do Fachry, w górach, gdzie Rambo ma domek. Skonfiskował go jakiejś muzułmańskiej rodzinie, która stamtąd uciekła.

Mijały dni, moje rany się goiły, a mięśnie wzmacniały. Przestało mnie już boleć, a przez nos pozbywałem się resztek wody. Tych kilka bąbelków, które miałem w ustach od czasu, gdy Rambo zanurzał moją głowę niczym łódź podwodną w poplamionych na żółto wannach z białej porcelany, te bąbelki wypływały na powierzchnię, pękały i wyparowywały, zamieniając się w słowa. Wróciłem do dawnej pracy. Kiedy pojawiłem się w porcie, podszedł do mnie strażnik i powiedział: Abu Tarik chce się z tobą widzieć.

Poszedłem do biura Abu Tarika i zapukałem do drzwi. Szef stał przy mosiężnym piecyku i parzył kawę. Powoli odwrócił się w moją stronę, skinął, żebym wszedł dalej i nalał mi filiżankę kawy. Usiadłem naprzeciw niego przy biurku.

Gdzie byłeś? – spytał.

Aresztowano mnie.

Pokiwał głową: Tak, słyszałem. Co się stało?

Ktoś kogoś zastrzelił u nas w okolicy, a mnie w związku z tym zaciągnięto do *Madżalis*.

Wiesz, że byli tu ludzie Abu Nahry i wypytywali o ciebie? Chcieli przeszukać twoje rzeczy, ale powiedziałem, że nikt mi tu nie będzie niczego szukał. Kiedy tu weszli, zachowywali się, jakby wszystko do nich należało. Nikt nie będzie mi tutaj rozkazywał, powiedziałem. Ja dla nich nie pracuję. Obowiązują mnie wyłącznie rozkazy najwyższego dowódcy, Ar-Rajjisa. Powiedziałem im, że tylko jego rozkazy będę szanował.

Abu Tarik bawił się swoimi bujnymi wąsami, po czym dalej opowiadał z charakterystycznym północnym akcentem. Powiedziałem im, że kiedy tu przychodzą, mają zostawiać karabiny przy bramie albo ich więcej nie wpuszczę. Nie podobało im się to. Słuchaj, przecież ciężko pracujesz, a gdybyś naprawdę zrobił to, o co cię oskarżają, to nie wracałbyś tu, żeby zarobić na życie, co?

Pokiwałem głową.

Mocno cię te dranie poturbowały, prawda?

Tak.

Jutro wieczorem przyplynie statek z Włoch. Przez kilka dni będziesz potrzebny. Przyjdź jutro. Dziś za dużo się tu nie dzieje. Idź do domu i odpocznij.

Następnego wieczoru znów udałem się do portu, do pracy. W czasie przerwy wszedłem na pokład, żeby poszukać kapitana. Kapitan Aszraf, Egipcjanin, jadł właśnie kolację w kuchni.

Usiadłem i powiedziałem do niego: Pracuję tu, w dokach.

Tak? – spojrzał na mnie pytająco.

Muszę stąd jak najszybciej wyjechać.

Masz wizę? – spytał kapitan.

Dokąd płynie pana statek? – odpowiedziałem pytaniem.

Do Marsylii. Masz wizę do Francji?

Nie, przyznałem.

No to nie mogę cię wpuścić na pokład.

Jak się możemy dogadać? – spytałem.

Przez chwilę milczał, jeszcze trochę zjadł. W końcu zapytał: Dobrze ci tu płacą?

Mam pieniądze, powiedziałem.

Osiemset, rzucił on.

Mam sześćset.

Kapitan nic nie odpowiedział. Powolnym ruchem wstał, chcąc odejść.

Mogę panu dać siedemset, powiedziałem, zostanie mi wówczas jeszcze dwieście na start w nowym miejscu, spotkanie z przeznaczeniem.

Wypływamy w niedzielę. *Tawakkal ala Allah*<sup>\*</sup>, i weź ze sobą ciepłą kurtkę. W nocy na pokładzie robi się zimno.

---

<sup>\*</sup> Niech Bóg będzie z tobą (arab.).

W środku nocy leżałem w łóżku, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Była to moja sąsiadka, cała zapłakana. Zabili go, wyszłochała. Zabili Ar-Rajjisa.

Zamachu dokonano w jednym z budynków partii politycznej Ar-Rajjisa, który najwyższy dowódca chrześcijańskich sił libańskich właśnie odwiedzał. Podczas spotkania ze zwolennikami wybuchła bomba, a budynek legł w gruzach. W tym samym czasie po zachodniej stronie Bejrutu Palestyńczycy i lewicowcy poddali się siłom izraelskim.

Słuchałem w radiu transmisji z pogrzebu Ar-Rajjisa oraz wiadomości o wycofywaniu się sił palestyńskich z Libanu do Tunezji. Wszystkie kobiety w Bejrucie Wschodnim były w żałobie i zanosiły się płaczem.

Zadzwoiła do mnie Nabila, żeby mnie zapewnić, że wszystko to przyśniło jej się poprzedniej nocy. Brała teraz valium, ponieważ od wiadomości o zamachu źle się czuła i była załamana. Powiedziała, że rozmawiała z George'em, który jej przekazał, że schwytano podejrzanego. Nazywa się At-Tahuna, poinformowała mnie Nabila. Czy jakoś tak. Należy do komunistycznej partii Syryjczyków. W jego domu znaleziono plany architektoniczne fundamentów wysadzonego budynku.

Joseph w końcu się zgodził na skok na kasę, który mu zaproponowałem. Przez kilka dni obserwowałem więc kasyno. Co wieczór przychodzili falangiści po pieniądze – było ich dwóch, podjeżdżali samochodem osobowym, w cywilu. Za którymś razem, kiedy weszli do kasyna, przeszedłem na drugą stronę ulicy i rzuciłem okiem na wnętrze samochodu, żeby zobaczyć, czy mają jakąś broń poza pistoletami u paska. Kiedy wyszli i odjechali, w bezpiecznej odległości podążałem za nimi i zapamiętałem trasę. Zatrzymali się w jeszcze jednym kasynie, po czym pojechali prosto do *Madżalis* długą niebrukowaną boczną drogą, prowadzącą do kwatery głównej.



Następnego dnia czekaliśmy z Josephem, aż kumpel Nadżiba wróci z kasyna do domu.

Joseph wszedł na dach budynku, a ja czekałem po drugiej stronie ulicy.

Wkrótce zobaczyliśmy, jak koleś parkuje samochód i wchodzi po schodach. Zagwizdałem na dwóch palcach, a Joseph ruszył w dół po schodach z dachu, kaszląc w chusteczkę, którą zasłaniał sobie twarz. Kiedy mijał kumpla Nadżiba, udawał, że kaszle, po czym przywalił mu w twarz.

Wbiegłem po schodach z grubą taśmą w rękę.

Zanim wspólnik Nadżiba zdążył choć pisnąć, Joseph wsadził mu chusteczkę w usta. Ja związałem mu ręce i kostki, po czym wrzuciliśmy go na dach budynku. Zabrałem mu kluczyki od samochodu. Wsiadliśmy i ruszyliśmy na pełnym gazie do mieszkania Josepha. Joseph wszedł na górę i wrócił z kałaszem i pistoletami.

Prowadziłem, a Joseph napełniał magazynki. Sprawdził oba pistolety. Zatrzymaliśmy się przed kasynem, czekając, aż dwaj falangiści wejdą do środka. Wtedy pojechaliśmy prosto na niebrukowaną drogę prowadzącą do *Madżalis*.

Otworzyłem maskę samochodu i zablokowałem ulicę. Stałem za podniesioną maską, a kiedy zobaczyłem, że zbliża się samochód falangistów, naciągnąłem na twarz pończochę. Joseph schował się w rowie.

Falangiści zatrzymali samochód i ruszyli w naszą stronę, przeklinając. Joseph dobiegł do nich od tyłu z kałaszem.

*Ala al-ard ja ichwat asz!*<sup>\*</sup> – wrzasnąłem, wychodząc zza podniesionej maski z dwoma wycelowanymi w ich twarze pistoletami w dłoniach. *Ala al-ard*, powtórzyłem raz jeszcze.

*Ala al-ard*, zanim opróżnię magazynki, zawtórował mi Joseph zza ich pleców.

Mężczyźni podnieśli ręce do góry i położyli się na ziemi. Postawiłem nogę na karku jednego z nich i zabrałem mu pistolet, podczas gdy Joseph obszukał drugiego.

---

\* Na ziemię, skurwysyny! (arab.).

Związaliśmy im ręce taśmą i zostawiliśmy ich obok samochodu z otwartą maską. Wsiadliśmy do auta pełnego pieniędzy, wrzuciłem wsteczny bieg, po czym zawróciłem i ruszyłem z powrotem drogą, którą przyjechali. Zatrzymaliśmy się w opuszczonej fabryce. Zostawiliśmy tam ich samochód, zabraliśmy tylko torby z forszą, które wrzuciliśmy do uprzednio zaparkowanej tam furgonetki, a potem pojechaliśmy nią w góry.

W końcu się zatrzymaliśmy. Przeliczyłem pieniądze i od razu podzieliłem na dwie części.

Jutro odpływa stąd statek do Francji, powiedziałem. Zabieram się. Słuchaj, wpadnij do Nabili. Znasz Nabile, prawda? Ciotkę De Niro?

Tak.

Daj jej klucze od mojego domu. Powiedz, żeby się nim opiekowała. Powiedz też, że poszukam tej osoby, której nazwisko mi podała. Dotrzymam słowa, powiedz jej to. A teraz wyrzuć mnie przy skrzyżowaniu na zboczu. Wezmę stamtąd taksówkę – lepiej żebyśmy się rozdzielili.

Ucałowaliśmy się i rozstaliśmy.

*Al-Madżnun*, nigdy cię nie zapomnę. *Al-Madżnun!* – krzyczał Joseph, odjeżdżając.

Podjechałem taksówką w górę, do Fachry. Zatrzymałem się w centrum wioski, nabrałem do puszki wody ze strumyka, który szemrał nocą pod oknami wieśniaków, po czym zniknąłem w krzakach i przeszedłem jeszcze kawałek w górę zbocza. W końcu się zatrzymałem, polałem ziemię wodą, tworząc kałużę błota, którym wysmarowałem sobie twarz i ręce. Całą noc chodziłem między domami wioski, szukając czarnego bmw o przyciemnionych szybach. Kiedy czekały psy, chowałem się za domami. Potem przeszedłem przez wąskie uliczki pomiędzy domkami letniskowymi. Przemierzyłem całą wioskę, ale nie mogłem znaleźć tego samochodu. Nad ranem usiadłem na szczycie wzgórza i patrzyłem na przejeżdżające auta.

Dostrzegłem pędzące w górę bmw. Jechało zygakiem, jakby prowadzone ręką pijanego, niczym wspinający się na zbocze osioł.

Pobiegłem za nim przez sosnowy las, wilgotne wzgórza, poranną mgłę, rozgarniając zwisające gałęzie. Przeciąłem kamienne schody i czekałem, aż samochód się zatrzyma. Drzwi się otworzyły i z auta pomału wysiadł mężczyzna. Był to Rambo.

Podszedłem w jego stronę, on, słysząc moje kroki, odwrócił się i jakby w zwolnionym tempie sięgnął po pistolet. Zatrzymałem się. Zobaczyłem jego twarz, a w sercu poczułem walenie bębnow, odgłosy śmierci. Miałem wrażenie, że znów muszę całą noc chodzić, że muszę zdeptać każdy materac, który by mnie zaprosił do snu, z czoła spływał mi pot, jakby ktoś wylał na mnie kubel zimnej, lepkiej cieczy, poranny wiaterek zaś owiewał mnie zapachem jaśminu. Frunące gdzieś w pośpiechu motyle trzepały ogromnymi skrzydłami, wzbijając w dolinach kłęby mgły, moje powieki szybko mrugały, ręce wyciągnęły się do przodu, oba palce wskazujące pociągnęły za spust, zacząłem strzelać. Rambo uśmiechnął się, gdy opróżniałem magazynek, a kule leciały i zanurzały się w jego skropionym wodą kolońską ciele, w ostatnich przesączonych whisky westchnieniach, w trzymających jeszcze klamkę samochodu dłoniach. Echo moich strzałów niosło się przez dolinę razem z dźwiękiem żałobnych dzwonów oraz trzaskiem myśliwskich strzelb w porannym słońcu. Strzelałem, aż upadł, a gęstniejąca mgła wessała jego ostatnie tchnienie.

Przetrzęsnałem mu kieszenie w poszukiwaniu kluczyków od samochodu, które w końcu znalazłem pod jego ciałem. Dotknąłem jego skórzanej kurtki i jedwabnej białej koszuli, teraz już brunatnej od krwi zmieszanej z rdzawą ziemią. Po raz ostatni spoczęło na mnie spojrzenie Rambo. Zobaczyłem, jak mój obraz tonie w jego czarnych źrenicach, aż mnie to przestraszyło.

Zabrałem kluczyki i pojechałem jego samochodem w dół zbocza. Potem zaparkowałem na skraju drogi, wysiadłem i zwymiotowałem nad krawędzią urwiska. Upadłem na kolana, głowa ciążyła mi ku ziemi.

Tej nocy miał odpłynąć statek. Wróciłem do domu, spakowałem trochę ubrań, zabrałem paszport i pieniądze i ostatni raz zszedłem po schodach kamienicy. Moje sąsiadki rozchlapwały wodę, chodząc w górę i w dół po marmurowych stopniach. Tego dnia włączono wodę, która wypełniła zbiorniki na dachach i płynęła z kranów, a moje sąsiadki

wchodziły z wiadrami na dach, napełniały je i znosiły w dół. Niektóre patrzyły na mnie, a niektóre nie. Wiedziałem, co myślą – wiedziałem, czyich dwóch rąk i czyjego wiadra tutaj brakuje. Przeszedłem na palcach nad strumykiem wody z mydłem. Spieszyło mi się, nie powiedziałem więc ani słowa do tych kobiet – nie pozdrowiłem ich, nie dziękowałem, nie szorowałem, nie niosłem. Przeszedłem nad strumieniem wody, odchodząc w stronę morza.

Ruszyłem ulicą. „Nic się tu nie zmienia”, myślałem. „Te okna będą tutaj zawsze. Samochody będą się mnożyć, zajmować kolejne miejsca parkingowe i rozrastać się jak rośliny, jak kolorowe drzewa na chodniku”. Nie patrzyłem wokół siebie, nikogo nie pozdrawiałem, nie roniłem łez. Po prostu wyjeżdżałem.

Minął mnie samochód, po czym się zatrzymał i zaczął cofać. Za kierownicą siedział De Niro. Powiedział, żebym wskakiwał.

Powiedziałem, że dziękuję, nie trzeba, że muszę iść do pracy.

Zawiozę cię, nalegał. Musimy porozmawiać. Miał przekrwione oczy. Był albo pijany, albo na haju, a może nie mógł spać z powodu strzałów i dudnienia wojskowych butów w marszu.

Kiedy go poprosiłem, żeby mnie zostawił w spokoju, wysiadł z samochodu, objął mnie i pocałował w czoło. Powiedział: Jesteś moim bratem. Zaprowadził mnie na drugą stronę auta, posadził na siedzeniu pasażera, po czym wrócił na swoją stronę, po drodze gładząc karoserię dłonią – tą samą dłonią, która dotykała mojego karku, moich policzków, tą samą, która prowadziła mnie do samochodu .

Jechał szybko. Nie zatrzymywał się, nie używał hamulców. Patrzył na mnie, czasem się uśmiechał, a czasem niemal płakał. Przez cały czas milczał, aż minęliśmy Karantinę, a potem skręcił gwałtownie w stronę kończącej się pod mostem autostrady i znów przyspieszył, zmieniając biegi i szarpiąc samochodem. W końcu zwolnił, wjechaliśmy pod most, a on zaparkował zaraz za potężną betonową podporą. Obok nas płynął ściek, unosząc z nurtem nasze zbiorowe grzechy.

Obaj milczeliśmy, patrząc na usypisko piasku i kamieni z nieskończonej budowy przed nami. Obok nas na siedzeniu leżał pistolet George'a.

Nagle George zaczął się śmiać. Wciąż nie mógł spojrzeć mi w oczy. Wyciągnął dwa papierosy, zapalił oba i podał mi jednego.

Jego wojskowe spodnie poplamione były świeżą krwią, której rozległa, ciemna plama lśniła w słońcu.

Spostrzegł, że się jej przyglądam. Sięgnął po butelkę whisky i pociągnął łyk. Odmówiłem, kiedy mi zaproponował.

Zabijałem dzisiaj, w końcu powiedział.

Pokiwałem głową, niespecjalnie zaskoczony.

Zabiłem wiele osób. Dużo, mówił, bawiąc się pistoletem.

Znów pokiwałem głową i jeszcze przez chwilę nic nie mówiłem. Potem powiedziałem: Muszę iść. Nie interesowały mnie już odgłosy krwawych jatek, dudnienie grubych obcasów, wszystkie te fajerwerki. Słyszałem tylko fale rozpryskujące się o most, obijające się o przednią szybę samochodu, podpływające do moich stóp.

George wyciągnął metalowy pojemniczek, z którego łyżeczką nabrał proszku i wciągnął do nozdrzy. Potem przejechał wierzchem dłoni po nosie i obejrzał go w lusterku. Zwrócił się w moją stronę, uśmiechnął i powiedział: Dziesięć tysięcy. Dziesięć tysięcy, a może więcej, bełkotał. Zabiliśmy jakieś dziesięć tysięcy ludzi.

Jakich ludzi? – spytałem.

Dzieci, kobiety, zabiliśmy nawet osła, powiedział George ze śmiechem.

Co się stało, George? – spytałem, wreszcie ustępując.

Chwycił pistolet i wycelował w przednią szybę, spojrzał na niego i parsknął tłumionym śmiechem.

Mów, powiedziałem. Jeśli po to mnie tutaj przywiozłeś.

Wszystko opowiem, odparł. Wszystko opowiem... Napadliśmy na palestyński obóz i zabiliśmy ludzi całymi setkami, może tysiącami.

Kiedy?

Przez ostatnich kilka dni.

Jak? Dlaczego? – pytałem.

Obozowaliśmy na międzynarodowym lotnisku w Libanie. Międzynarodowym, powtórzył i znów się zaśmiał. Po zamachu na Ar-Rajjisa przez cały tydzień nie spaliśmy. Faceci krzyczeli o zemście. Przyszedł Abu Nahra z Eitanem, oficerem z Izraela, który oznajmił, że choć Palestyńczycy niby się poddali, to w ich obozach wciąż jest jeszcze kilka uzbrojonych ognisk oporu. Abu Nahra powiedział, że musimy zrobić z tym porządek.

George się zaśmiał, uniósł w górę pistolet i zakręcił bębniem. De Niro to zajebisty aktor. Pamiętasz tę scenę w filmie, Bassam, kiedy De Niro gra ze swoim najlepszym przyjacielem? Jesteś moim najlepszym przyjacielem i moim bratem, naprawdę.

Próbował mnie objąć, ale go odepchnąłem.

Opowiadał dalej. Tysiąc pięćset lwów czekających na lotnisku, oto nasza drużyna. Nic, absolutnie nic nie mogło nas powstrzymać. Szliśmy jak burza w stronę obozów dla uchodźców w Sabrze i Szatili, wzdłuż szerokiej drogi prowadzącej przez Uzaj. Minęliśmy grupę budynków wojskowych Henri Chebab, a tam dołączył do nas oddział armii południowej. To byli faceci z Damuru, Sa'dijji i Namy, którzy wciąż mieli w pamięci te swoje spalone wioski – oni też zamienili się w lwy. Jeden z nich, taki starszy gość, spojrzał mi w oczy i powiedział: Długo czekaliśmy na tę chwilę. No i zaczęła się jatka! Jatka! Strzelaliśmy na oślep, zabijając całe rodziny siedzące akurat przy kolacji. Wszędzie zwłoki w koszulach nocnych, poderżnięte gardła, porąbane siekierą ciała, tu tułów, tam ręce, kobiety przecięte na pół. Obóz otoczyli Izraelczycy. A potem jeden izraelski porucznik o imieniu Roly, stacjonujący w pobliżu Bir Hasan, zaraz za stadionem, przysłał do obozu wiadomość, żeby wszyscy nasi mężczyźni stawili się z bronią na stadionie. Odpowiedzieliśmy mu, że nie podlegamy jego rozkazom, że przyjmujemy rozkazy tylko od Abu Nahry, a naczelne dowództwo sił izraelskich wie o tym. Weszliśmy w głąb obozu, a izraelskie samoloty zaczęły spuszczać 81-milimetrowe rakiety oświetlające. Dookoła zrobiło się jasno; jakbyśmy byli w jakimś hollywoodzkim filmie. A ja, rzecz jasna, jestem w tym filmie De Niro, mówił George. Pij, nagle wrzasnął na mnie. Pij!

Machnąłem dłonią na znak, żeby zabrał butelkę.

Napił się i mówił dalej. Dookoła fluorescencyjna biel, widoczność jak w pełnym słońcu. Niebo jaśniało, jak gdyby pojawił się na nim sam Mesjasz. Oddziały z Południa były już w środku. Część naszych poleciała za rannymi do szpitala Akka, żeby ich tam wykończyć. Kiedy weszliśmy do środka, usłyszeliśmy krzyki kobiety. Trzech kolesi gwałciło pielęgniarkę na biurku lekarza. W gabinecie azjatyckiego doktora wisiało zdjęcie Arafata, a ten zaczyna mówić do mnie po angielsku. Ty terrorysto! – wrzasnąłem. Jesteś terrorystą, na ścianie masz portret terrorysty. Dalej do mnie nawijał po angielsku, więc spuściłem mu łomot kolbą karabinu.

De Niro znów pociągnął z butelki. Na zewnątrz, opowiadał, wzdęte trupy toczyły się po piasku, krew zamieniała się w ciemne plamy, na których posilały się zielone muchy. Buldożery kopały dziury w ziemi i spychały do nich ciała. Wszystko było jak w filmie. Dookoła trupy. Chcesz słuchać dalej? Chcesz jeszcze? Jeszcze? – wrzeszczał. Masz, napij się! Załadował pistolet i przystawił mi do twarzy. Mówię ci, pij.

Wziąłem butelkę i pociągnąłem łyżka.

Jak się nazywa mój ojciec? – zapytał.

Nie wiem.

Owszem, wiesz. Kłamca z ciebie. Rozmawiasz z Nabilą, odwiedzasz ją, kiedy mnie nie ma. Widziałem cię.

Chcesz posłuchać dalej? Masz, napij się jeszcze. Tak, tak, chcesz jeszcze posłuchać, a ja chcę dokończyć moją historię. Związaliśmy wszystkich mężczyzn razem i strzelaliśmy każdemu po kolei w łeb. Psy łapały kawałki ciał i uciekały z nimi w głąb uliczek. A tu nagle przechodzi jakiś pieprzony syryjski handlarz, pchając wózek z warzywami. Zapytałem, jakiej jest narodowości. Powiedział, że syryjskiej! Pierdoleni Syryjczycy! Złazą się tu wszyscy, żeby zabierać nam ziemię! Kopnąłem jego wózek, ale Abu Hadid nie tracił czasu i wpakował mu kulę w brzuch. Wszyscy pod ścianę, krzyknąłem. Kobiety zaczęły lamentować, błagać nas, powtarzać, że przecież już się poddali. Kamil złapał jedną z nich za włosy, pchnął na

ziemię i stanął jej na karku. Nie chcę więcej słyszeć żadnych wrzasków! – krzyknąłem do nich.

Wszyscy na stadion. Po drodze niektórzy bojownicy ze śmiechem rzucali granatami w tłum.

To powiedziawszy, George jakby się nad czymś przez chwilę zamyślił. Był coraz bardziej odurzony. Mówił, a potem gapił się w pustkę. Pił, a potem coś bełkotał. Bełkotał coś o swojej matce, że ją zabił. Zaczął majaczyć i nagle jego twarz ogromnie posmutniała. Pomyślałem, że może się już zmęczył, spróbowałem więc wyjąć mu pistolet z dłoni, ale kiedy tylko go dotknąłem, podskoczył i zaczął grozić, że mnie zabije. Wierzyłem mu.

Zabiłem swoją matkę, zabiłem ją, jęczał i nagle wybuchnął płaczem.

Twoja matka umarła w szpitalu na raka, powiedziałem.

Za Ar-Rajjisa! – wrzasnął, unosząc w górę butelkę i znów z niej pociągając.

Muszę już iść, powiedziałem.

Nikt nigdzie nie idzie, dopóki nie skończę, powiedział on. Słuchaj, co się stało tam w obozie. Słuchaj. Kamil miał kokainę. Wciągnęliśmy po kresce i krzyczeliśmy: Za Ar-Rajjisa! Spędziliśmy kolejną grupę mężczyzn pod ścianę, a pod drugą ścianę kobiety i dzieci. Najpierw zastrzeliliśmy wszystkich mężczyzn. Kobiety i dzieci zawodziły, a my zmieniliśmy tylko magazynki i je wszystkie też zastrzeliliśmy. To przez te ich płacze do nich strzelałem. Nie cierpię, gdy dzieciaki się mażą. Ja nigdy nie płaczę – widziałeś kiedyś, żebym płakał? Następni, którzy przyszli potem, kiedy zobaczyli leżące na ziemi trupy, wpadli w panikę. Niektórzy zsikali się w spodnie. Zobaczyłem trójkę ludzi gdzieś z tyłu, którzy rzucili się do ucieczki. Zaczęliśmy ich gonić wąskimi uliczkami. Oddzieliłem się od reszty i ich zgubiłem. Zostałem sam. Wyłamałem drzwi do jakiegoś domu, wszedłem do środka i zobaczyłem siedzącą na podłodze kobietę otoczoną ciałami martwych córek. Spojrzała mi prosto w twarz. Powiedziałem: Masz pewnie ochotę dołączyć do swojej rodziny, co? A ona na to: Możesz już spokojnie dokończyć, co zacząłeś, synku.

Synku! Synku, powiedział George ze śmiechem. Waliłem ją kolbą karabinu, wiele, wiele razy, o tak (uderzał karabinem w powietrze). Z jej głowy tryskała krew jak ze szlauch,



rozpryskiwała mi się na udach. Szedłem sam uliczkami. Widziałem kobietę, która zakrywała dłonią usta swoich dzieci... Dzieci płakały. W domach pełno było trupów kobiet w fartuchach, ciał mężczyzn rozciągniętych obok swoich żon i zgwałconych córek. Nagle się zatrzymałem. To nie do wiary, ale usłyszałem gruchanie kuropatwy, takiej samej, na jakie polowaliśmy w górach, ty i ja, Bassam, ty i ja. Przeskakiwała nad ciałami leżącymi pośród strumieni wody z garnków. Zobaczyłem, jak leci nad drzewkami oliwnymi, ponad wzgórzami. A potem się zatrzymała, wróciła i przysiadła na trupie jakiegoś mężczyzny. Widziałem, jak jego ręka się unosi, żeby pogłaskać pióra.

Widziałem to! – wrzasnął George i pociągnął z butelki. Zacząłem znów ją gonić, a ona wbiegła do jakiejś nędznej budy. Wpadłem do środka i zobaczyłem, że chowa się pod łóżko. Podniosłem materac – ścisnęło się tam w przerażeniu dwoje małych dzieci. Ciało ich matki leżało w pokoju i patrzyło na nie otwartymi oczami. Ale ja chciałem tylko upolować kuropatwę, mówił George. Chciałem tylko polować.

Potem zamilkł i nad czymś rozmyślał. Wyciągnął magnum, otworzył magazynek, wyjął dwie kule, zakręcił bębenkiem i powiedział: trzy z pięciu. Gramy, tu i teraz.

Odmówiłem. Próbowałem wyjąć mu pistolet z ręki, a on nazwał mnie tchórzem.

Nie jesteś mężczyzną, powiedział. To dlatego twoja kobieta szukała kogoś, kto by nim był. Przyłożył mi lufę do głowy. Tchórz! – szydził.

Jedynym tchórzem jesteś tutaj ty, powiedziałem.

Spojrzał mi w oczy, a potem rzucił: Wyjeżdżasz. Widzę, że spakowałeś torbę. Sądysz, że musisz wyjechać. Twarz masz całą w szramach, bliznę na oku.

To prezent od twojego szefa, powiedziałem. Na pożegnanie. Ty zabijałeś. Wiem, że zabijałeś. Tego starszego faceta też zabiłeś. Jak również jego żonę. Zawsze zabijałeś.

Nie, odpowiedział George, my zawsze zabijaliśmy, ty i ja. Jeszcze raz spojrzał mi w oczy i powtórzył: to my zawsze zabijaliśmy. Ten gość, co zabił Ar-Rajjisa, złożył zeznania. Wspomniał twoje nazwisko. To ty przekazałeś mu plan fundamentów budynku. To ty zabiłeś Ar-Rajjisa.

I dlatego tu jesteś? – spytałem.

Tak, przyjechałem, żeby cię zabrać do *Madżalis*. Chcą cię tam znów zobaczyć. Wiesz, jeszcze parę bąbelków. Jeszcze kilka ciosów.

Dlaczego więc pojechałeś w tę stronę? – spytałem. Sale tortur są tam.

Nie, Bassam, sale tortur nosimy w sobie. Ale ja chcę być wobec ciebie w porządku, przecież jesteś moim bratem. Dam ci szansę, mówił De Niro. Zabrałem ci Ranę, powiedział, mierząc pistoletem, a w rozświetlonej przedniej szybie odbiły się jego oczy, zasnutę czerwoną jak krew i twardą jak kamień, oddzielającą życie od śmierci zasłoną.

**Część druga**

**PARYŻ**

Dotarłem do portu i odnalazłem statek. Rozglądałem się za egipskim kapitanem.

No, jesteście wreszcie, powiedział Masz pieniądze?

Zapłaciłem mu, a on mnie zaprowadził do maszynowni. To Mustafa, nasz mechanik, powiedział. Zostań tu z nim, dopóki statek nie odbije z portu, a potem możesz wyjść na pokład. Niedługo wypływamy, oznajmił kapitan, po czym ruszył po schodach na górę.

Po chwili silnik zaczął ryczeć i dławić się demonicznym chichotem, rury nadeły się i zastukały, a Mustafa uśmiechnął się do mnie i spytał: Pierwszy raz na statku?

Tak.

Roześmiał się. Jeśli zakręci ci się w głowie, idź na górę i zaczerpnij świeżego powietrza, powiedział z uśmiechem.

Statek pomału wypływał na morze.

Minęło kilka godzin, a ja przez cały ten czas siedziałem zupełnie bez ruchu i nie myślałem o niczym. Starłem się wyrzucić z głowy wszystkie myśli.

W końcu wyszedłem na pokład i obserwowałem znikające w ciemnościach nocy światła na brzegu. Marynarze biegali w górę i w dół po schodach i na pokładzie, a ja przyglądałem im się, trzymając na kolanach torbę, pieniądze, pistolet i kurtkę.

Nie było wiatru, a statek cicho przepływał z ciemności w ciemność, z wody na wodę, z lądu na ląd. Obserwowałem powolną śmierć światła migoczących na odległym brzegu.

Dziesięć tysięcy fal płynęło pod unoszącym się na wodzie tankowcem, który oddalał się od mojego domu.

Dziesięć tysięcy ryb śpiewało podwodne pieśni, skubiąc odpadki wyrzucane za burłę ręką kucharza.

Patrzyłem na niebo. Pokrywały je sygnały świetlne z dalekich planet, z których buchał gaz i płomień wesołych ognisk palonych przez zmarłych; śpiewali pieśni wojenne pośród krajobrazu płonących skał i wysyłali sygnały alfabetem Morse'a ku statkom sterowanym przez kapitanów alkoholików na wyspy zamieszkiwane przez śpiewające w kabaretach syreny oferujące chętnym swe słonawe narządy płciowe o smaku marynowanej ryby na niedzielnych spotkaniach rodzin, które zdołały przetrwać morały prawione przez tłustych księży nurzających swych wiernych w woni kadzidła rozpylanego gwałtownym, wahadłowym ruchem rąk, ruchem przywodzącym na myśl huśtawki w parkach pełnych wózków spacerowych pchanych przez filipińskie niańki na wizach tymczasowych, które na Boże Narodzenie posyłają swoje niewielkie pensyjki odległym rodzinom mieszkającym w chatkach nad morzem i odbierającym kodowane alfabetem Morse'a sygnały od tych prastarych istot, które zamieszkują przestrzeń astralną. Istoty czytają wyrocznie i długie listy do domu od niań, które patrzą, jak dzieci dyrektorów wsypują piasek do plastikowych wiader i w marynarskich spodenkach w czerwone paski wspinają się na geometryczne konstrukcje; potrafią też wyjaśniać listy do domu od ubranych w białe fartuchy sanitariuszy jeżdżących windami w domach starców, zmieniających prześcieradła zniedołężniałym emerytowanym kapitanom statków i damom z dobrego towarzystwa, które nie zauważają nawet obecności swych synów w trzyczęściowych garniturach i nie zwracają uwagi na powtarzające się piskliwe skargi synowych, skargi podobne do krzyków mew, które karmią się śladami zostawianymi na morzu przez jedzenie marynarzy i siadają na pokładzie, pożerając mnie ksenofobicznym wzrokiem, ostrzą sobie dzioby i na mitologicznych skrzydłach ruszają w podróż ku innym planetom.

Odnalazł mnie Mustafa, usiadł obok i poczęstował papierosem.

Widywałem pasażerów, którzy całymi dniami tylko wymiotowali; ale ty nie masz choroby morskiej, uśmiechnął się do mnie. Wyjeżdżasz.

Tak, nie mam tu na co czekać.

Tak, w takich miejscach nie ma czego szukać, zgodził się ze mną.

Paliliśmy, a Mustafa poszedł na rufę i stanął wprost nad falami, które nieprzerwanie wzbijały się pod naszymi zmierzającymi w dal stopami.

Pogasły lampy na statku, pośrodku morza jaśniała już tylko kajuta kapitana. Zaczął wiać zimny wiatr, zszedłem więc na dół, w płataninę wąskich korytarzy, i usiadłem w kuchni. Po chwili niespiesznym krokiem zszedł również kapitan i też usiadł, spokojny i zamyślony. Potem wstał, napełnił czajnik wodą i zaproponował mi herbatę.

Mam dla ciebie kajutę, powiedział. Możesz tam pójść po jedenastej. Mamadu, marynarz z Afryki, zaczyna wtedy zmianę, możesz się przespać w jego łóżku.

Piliśmy herbatę w milczeniu. O jedenastej poszedłem za kapitanem. Zapukał do drzwi jednej z kajut, które powolnym ruchem otworzył czarnoskóry mężczyzna. Kapitan wyjaśnił mu sytuację. Mamadu pokiwał głową i gestem zaprosił mnie do środka. Położyłem się na łóżku i próbowałem zasnąć pośród wszechobecnego huku silnika – głośnego, ale przytłumionego niczym podwodne sygnały z brzęczącej metalem fabryki zagrzebanej pod siedmioma warstwami mórz. Wyobraziłem sobie fabrykę, w której pracuje cała armia zniewolonych małp napełniających metalowe puszki tuńczykiem, nalepiających etykiety w ezoterycznych językach, a potem układających te puszki w wodoodpornych pozytywkach, z których pośród trzasków wydobywają się dźwięki symfonii, a małpy wysyłają je na grzbietach koników morskich do podwodnych wiosek pełnych żołnierzy topielców, porwanych dziewic, barbarzyńskich najeźdźców i poszukiwaczy skarbów, gdzie w szczelnie zamkniętej butelce mieszka księżniczka uwięziona przez dżinnę z kolczykiem w jednym uchu, która teraz czeka, aż rybak rozwiąże zagadkę i zabierze ją z powrotem do utraconego pałacu, aby mogła ponownie dołączyć do swego kalifatu w ogrodzie pełnym jaśminów i bursztynu i przechadzać się pośród łuków Bagdadu, zanim armie najeźdźców spalą jej ulubione książki i zniszczą tysiące opowieści.

\*

Rano do drzwi kajuty zapukał Mamadu i zamieniliśmy się miejscami. Kiedy wychodziłem, uśmiechnął się i powiedział, że poprzedni pasażer odmówił dzielenia łóżka z czarnym. Pokręcił głową i znów się uśmiechnął.

Wszedłem na pokład. Dookoła statku widać było tylko błękitną wodę i błękitne niebo, nic więcej. Po pokładzie i metalowych schodach biegali marynarze. Statek pruł naprzód, przecinając zlewającą się z niebem wodę.

Mustafa odnalazł mnie na pokładzie i spytał, czy coś jadłem. Powiedziałem, że nie.

Zeszliśmy do kuchni, a kucharz zaoferował nam jedzenie w plastikowych miskach. Statkiem kołysało, miski chwiały się nam w dłoniach, a jedzenie przelatywało w ustach z boku na bok. Wszyscy milczeli. Buczenie silnika unosiło się nad nieśmiałymi spojrzeniami marynarzy, ich opanowanymi manierami i pewnie stąpającymi stopami. Po jakimś czasie do Mustafy podszedł niebieskooki marynarz i łamaną angielszczyzną powiedział mu coś o jakimś kotle z tyłu. Mustafa wstał i się oddalił, niespiesznie szurając nogami. Niebieskooki usiadł na jego miejscu i zaczął jeść, nie zwracając na mnie uwagi. Skończyłem posiłek i wyszedłem na pokład. Wiatr się wzmógł. Wokół statku unosił się zapach morza. Usiadłem i myślałem o domu. Próbowałem ustalić, z której strony może się znajdować, zaraz jednak doszedłem do wniosku, że całkiem zgubiłem tor wędrówki uciekającego z prądem lądu, jak gdyby moją okolicę zabrał odpływ, a mój kawałek ziemi, wraz z wojną i nieżyjącymi rodzicami, unosił się na morzu. Wyciągałem szyję, stojąc na palcach, ale nie mogłem go dostrzec – gdziekolwiek spojrzałem, odpływał daleko, zmiatał go nurt zmian. Przechyliłem się przez barierkę i patrzyłem na zmieniającą kształty białą pianę, która ocierała się o dół statku i pieściła jego brzegi. Wtedy pojawiła się kuropatwa i powiedziała: „Żaden stan nie trwa wiecznie. Przyniosę ci gałązkę, kiedy unoszące się na wodzie góry znajdą się bliżej twoich stóp”.

Chodziłem po pokładzie, a roztrzaskujące się o statek fale barwiły moją twarz błękitem oceanu. Kiedy unosiła nas wysoka fala, wyciągałem rękę, dotykałem nieba, ściągałem je w

dół, zaglądałem ponad nie, a potem puszczałem. Niebo niczym sprężysta guma wracało na swoje miejsce, jeszcze przez chwilę falowało, po czym znów zastygało w bezruchu.

Kiedy znowu nadeszła noc, Mustafa usiadł koło mnie i zapytał: Chcesz trochę *kajf*\*?

Pokiwałem głową z uśmiechem.

Wyciągnął małą torebkę i zaczęliśmy robić skręty z tłustego haszyszu zawijanego w cienkie bibułki, które wielkimi nożycami wycinaliśmy z rozciągającej się nad nami bezkresnej zasłony nieba. Mustafa przejechał językiem wzdłuż krawędzi bibułki, a wilgoć zlepiała brzegi mocno, jak klej stolarski. Wyciągnąłem dłoń i odpaliłem skręta od płonącej gwiazdy, Mustafa zaś schwytał wiatr i ścisnął go w piersi. Potem przekazał mi wiatr, niebo i ogień, a ja przyciągnąłem je do ust, pochłonałem niczym czarna dziura, zatrzymałem, po czym wypuściłem na wolność. Wiatr, niebo i ogień unosiły się przez chwilę w powietrzu, a potem opadły na powierzchnię wody, odbijając się od fal i przyciągając ławicę latających ryb, które krążyły pośród dymu i śpiewały ultrafioletowe, wodniste pieśni zniewolonym podwodnym małpom, które w huku maszyn do tuńczyka powtarzały melodię, słodkie nuty przywołujące dźwięki dżungli w ich od dawna już zniszczonych siedliskach, rozhuśtanych domostwach wśród gałęzi.

Nigdy już nie wrócisz, powiedział Mustafa. Wyglądasz mi, bracie, na wiecznego wędrowca.

A po co miałbym wracać? – szepnąłem.

Od wielu lat pływam po morzach, opowiadał Mustafa. Wyjechałem z Egiptu jeszcze w młodości. Dużo podróżowałem, przyjacielu. Widziałem migoczące światła Japonii, gdzie małeńkie kobietki masowały mi plecy stopami; byłem w Afryce i upijałem się w burdelach; sypiałem z kurwami wszelkich możliwych ras, na wszystkich kontynentach. Trwonilem pieniądze w barach i restauracjach, paliłem opium i wciągałem najlepszą kokainę. Pracowałem na wielu statkach. Widywałem prostytutki z podbitymi oczami jak głębokie studnie; błagały mnie, żebym je uwolnił od pięści alfonsów o złotych zębach. Chodziłem po miastach, gdzie ramiona mężczyzn opieczętowane są tatuażami z kotwicą, a kobiety wyczekują rozparte na

---

\* *kajf*, *kif* (arab.) – haszysz



parapetach, wołając na przechodniów, żeby się pospieszyli, zanim mężowie wrócą do domów.

Przez kolejne dni paliliśmy i opowiadaliśmy sobie historie, a statek ślizgał się po falach, które mijały nas i bezpowrotnie ginęły w oddali, żeglarze wciągali żagle, wiatr, dysząc i sapiąc, pchał nas na północ, podkradając dym haszyszu z naszych oddechów, a kiedy unosił się wysoko w górę, morze płynęło wolniej, wolniej płynęła woda i ryby w wodzie, a nad naszymi głowami pod zasłoną helleńskiego nieba szybowała kuropatwa, jednookie nimfy zaś przyglądały się nam i zbierały się, żeby posłuchać naszych fantastycznych opowieści, oczarowane zapachem palonych przez nas roślin, które mylnie brały za kadzidło swych skrzydlatych bogów.

Na dwa dni przed naszym przybiciem do Marsylii kuropatwa odleciała w dal i zniknęła.

Gdy statek przybił do portu, grupka marynarzy zaprowadziła mnie do maszynowni. Ukryłem się za wielkim kotłem i czekałem, ociekając potem, aż strażnik sprawdzi kajuty. Kiedy sobie poszedł, Mustafa i Mamadu przybiegli do mnie z wodą, śmiejąc się z moich przemoczonych włosów i ubrania.

Tej nocy małą łódką popłynąłem z Mustafą na brzeg. Przeszliśmy przez ogrodzenie i tory kolejowe. Potem Mustafa się uśmiechnął i powiedział: No to jesteś w Marsylii. Teraz jesteś już zdany tylko na samego siebie.

Szedłem.

Przemierzałem puste ulice, mijając drzwi wychodzące prosto na krawężniki. Po drodze obszczekało mnie kilka psów. Mój cień nie odrywał się od ziemi – przesuwał się i zmieniał kształt w zależności od układu latarni zawieszonych na zagiętych słupach. Minał mnie samochód; do moich uszu wdarła się puszczone na cały regulator muzyka, która zaraz ucichła, gdy auto gwałtownie skręciło za rogiem. Szedłem dalej, w poszukiwaniu centrum miasta, miejsca, gdzie mógłbym odpocząć. Spojrzałem na niebo: zaczynało świtać, nad morzem unosiła się fioletowa luna. Po chwili znów usłyszałem ryczącą muzykę. Bez oglądania się w tył rozpoznałem, że zbliża się do mnie ten sam samochód co wcześniej. Przerzuciłem torbę z pleców na brzuch, otworzyłem popsutą klamrę, zanurzyłem obie dłonie w środku torby i załadowałem ukryty tam pistolet.

Ślizgające się po bruku światło reflektorów i wolno przesuujące się po drzwiach domów cienie zdradzały, że jadący za mną samochód zwalnia. Szedłem dalej. Samochód podjechał bliżej. W środku siedziało trzech młodych chłopaków, wszyscy się na mnie gapili. Dłoń kierowcy zwisała swobodnie z okna, tak jak dłonie taksówkarzy w Bejrucie. Dwóch pasażerów odwróciło głowy, żeby mi się lepiej przyjrzeć.

Usłyszałem, jak jeden z nich mówi: *Une merde de beur ici chez nous*\*.

Ej, zawołał kierowca po francusku. Nie chcemy tutaj takiego robactwa jak ty!

Spojrzałem mu w oczy, ale nic nie powiedziałem, tylko szedłem dalej.

Chłopaki obrzuciły mnie jeszcze kilkoma wyzwiskami i szybko odjechały. Na końcu ulicy samochód gwałtownie zawrócił, oślepiając mnie światłem reflektorów. Tamci trzej otworzyli drzwi, wysiedli i zaczęli niespiesznie iść w moją stronę. Ich długie, złowrogie cienie dotykały czubków moich butów, w rękach trzymali kije i rurki.

Odwróciłem się i pobiegłem w przeciwną stronę, uciekając od oślepiających mnie świateł samochodu. Usłyszałem za sobą tupot nóg i groźby, że rozwalą mi łeb i skopią mnie na amen.

Skreśliłem na rogu ulic i zatrzymałem się pośrodku wąskiego przejścia między dwoma kamienicami. Gdzieś w dali czekały psy. Czekałem na swoich prześladowców. Wybiegli zza rogu ulicy i stanęli na mój widok. Pistolet miałem schowany za plecami, a kiedy zaczęli się do mnie zbliżać, uderzając kijami o dłonie, szczerząc się w sarkastycznych uśmiechach i rzucając dowcipy na temat moich skłonności masochistycznych, powolnym ruchem wyciągnąłem go przed siebie. Obrzuciłem ich gradem arabskich wyzwisk i zachęciłem gestem dłoni, żeby podeszli bliżej i pogodzili się z faktem, że za chwilę kule z mojego pistoletu złożą uroczyste pocałunki na ich głanach, porozrywają skórzane kurtki, naleją oleju do ogolonych głów, skorygują tatuaże, skolonizują ich dusze, wkręcą im się w skórę niczym korkociąg, zatkają dziury niczym palce niewiernego Tomasza i każą im śpiewać chórem kościelne psalmy.

Ten, który był najdalej ode mnie, rzucił się do ucieczki, zostało mi jeszcze dwóch. Wycofywali się w przerażeniu, a ich kije i rurki opadły ku ziemi niczym więdnące z pragnienia kwiaty.

Uśmiechnąłem się i pomachałem im przed pobladłymi twarzami pistoletem. Przekląłem ich matki i pradziadków i kazałem rzucić na ziemię kije i rurki. Kazałem im uklęknąć, a kiedy to zrobili, powiedziałem, żeby zdjęli buty i spodnie.

---

\* Cholemy Arab, czego tutaj szuka! (franc).

*Les pantalons aussi, asz-szarmuta\**, krzyczałem, a za zamkniętymi drzwiami czekały psy. W kuchniach i nad wejściami pozapałały się gdzieś światła, a w niewielkich kwadratowych okienkach pojawiły się zaciekawione twarze. Kobiety w półprzeźroczystych koszulach nocnych rozchyłały teatralne zasłony i z charakterystyczną dla dramaturgów nerwowością podglądały, co się dzieje na scenie.

Sprzedłem chłopakom po kopniaku, po czym szybko się oddaliłem z ich butami w rękę. Kiedy dotarłem do ulicy, którą wcześniej szedłem, wrzuciłem glany do śmietnika i pobiegłem przez nieznanne uliczki i aleje. Biegłem aż do świtu, wreszcie opadłem na ławkę na promenadzie, gdzie słuchałem morza i obserwowałem zmieniające powoli kolor niebo.

Późnym rankiem słońce świeciło już mocno, a cienie miasta stały się przez to jeszcze ciemniejsze. Patrzyłem na manichejskie szczeliny w ścianach, mieniające się na drzewach liście i zacienione ławki. Otwarto kawiarnie, a po promenadzie spacerowali ludzie. Szedłem z nimi, mijałem ich, a potem zwalniałem, żeby znów iść równo z nimi. Szukałem jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym wymienić pieniądze, aż w końcu znalazłem. Z plikiem nowych banknotów wszedłem do kawiarni. Usiadłem, zamówiłem coś do jedzenia i picia, przeglądałem gazetę. Stary właściciel za barem nie wydawał się zdziwiony moim widokiem. Znów ruszyłem w miasto, zdecydowany poszukać jakiegoś miejsca, w którym mógłbym się zatrzymać.

Wstąpiłem do pierwszego hotelu, jaki zobaczyłem, a siedząca w recepcji potężna kobieta z obojętnym, czy też znudzonym wyrazem twarzy poprosiła mnie o dokument tożsamości. Powiedziałem, że zaraz przyniosę z samochodu. Wyszedłem na ulicę i już nie wróciłem.

Przez cały dzień włóczyłem się po mieście bez celu. Przyglądałem się ludziom i chodziłem od kawiarni do kawiarni. W końcu, szukając w kieszeni zapalniczki, natrafiłem na kartkę, którą dała mi Nabila. Widniało na niej imię i nazwisko: Claude Mani. Był też numer telefonu, a na samym dole dodatkowa informacja: Paryż.

---

\* Spodnie też, skurwysyny (franc, arab.).

Nagle dotarło do mnie, jak daleko jestem od Nabili i że naprawdę opuściłem Bejrut. Ta świadomość dała mi zarazem poczucie celu. Postanowiłem zadzwonić pod ten numer, tak jak obiecałem. Znalazłem budkę telefoniczną i wybrałem szereg cyfr. Telefon dzwonił, ale nikt nie odbierał. Ja jednak zostałem jeszcze przez chwilę w budce, patrząc pustym wzrokiem na świat za szybą. Czułem, że mógłbym zamieszkać w takiej budce, w ciasnej przestrzeni, nad którą przejąłbym panowanie. Udawałem, że rozmawiam przez telefon, chciałem jednak po prostu móc jeszcze tam pobyc. Stać w środku i obserwować kolejnych przechodniów, mieć wyraźne usprawiedliwienie swojej egzystencji, usankcjonować obecność swoich obcych stóp na tej ziemi, patrzeć na idących ulicą ludzi, którym nawet nie przyjdzie do głowy spojrzeć na mnie czy mi pomachać. Wszystkie twarze dookoła były całkiem obce. Czekałem więc ze słuchawką przyklejoną do ucha, słuchając jednostajnego sygnału, aż kobiecy głos zaoferował mi dwie możliwości: ponownie wybrać numer lub odłożyć słuchawkę.

Wybrałem to pierwsze i tym razem po drugiej stronie rozległ się łagodny kobiecy głos.

Szukam pana Mani, powiedziałem po francusku.

Kobieta przez chwilę milczała, po czym powiedziała: Pan Mani nie żyje.

Znów zapadła cisza.

Przepraszam, kto mówi? – spytała po jakimś czasie kobieta.

Jestem przyjacielem jego syna, George'a, powiedziałem ostrożnie.

Znów zapadło milczenie, aż w końcu kobieta zapytała: Skąd pan dzwoni?

Z Marsylii.

Ja jestem żoną pana Mani, wyjaśniła.

Mam dla niego wiadomość, powiedziałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Przyjechał pan z Libanu?

Tak.

Po kolejnej chwili milczenia kobieta zapytała: Czy może pan przyjechać do Paryża? Chciałybyśmy się z panem spotkać, ja i moja córka.

Pojechałem do Paryża autobusem. Przemierzaliśmy pola posadzonych równymi rzędami i pnących się po tyczkach winorośli; pośród zielonych liści zwisały białe, czasem czerwone grona. Mijaliśmy sielskie wioski, kryte ceglastą dachówką domy, kościółki na piaszczystych wzgórzach i otwarte, niczym niezakłócone przestrzenie, które zdawały się istnieć tylko po to, aby stanowić malownicze tło dla przejeżdżających niekiedy na chybotliwych rowerach wieśniaków wiozących kosze z warzywami. Autobus zatrzymywał się w niewielkich wioskach, pasażerowie wsiadali i wysiadali w milczeniu, dyskretnie, jak zwiedzający kościół turyści. Siedziałem sam, oparłem głowę o okno i zasnąłem. Kiedy dojechaliśmy do Paryża, wysiadłem z autobusu i rozejrzałem się za kobietą, z którą rozmawiałem przez telefon.

Zgodnie z obietnicą miała na sobie długą granatową sukienkę. Podeszedłem do niej, a ona się uśmiechnęła.

Ma pan jakiś bagaż? – zapytała.

Nie.

Samochód stoi po drugiej stronie dworca, powiedziała, po czym ruszyliśmy.

Mam na imię Geneviève, przedstawiła się z uśmiechem. Claude był moim mężem.

Pokiwałem głową.

Kiedy przyjechał pan do Francji?

Parę dni temu.

Prosto z Bejrutu?

Tak.

Przed laty znałam to miasto, jeszcze przed wojną. Dobrze znałam Bejrut, to było wspaniałe miejsce.

W samochodzie przyjrzałem się jej lepiej. Miała około pięćdziesiątki, może trochę więcej. Była elegancko ubrana i umalowana, przez co trudno było stwierdzić, ile właściwie ma lat.

Stale spoglądała w lusterko. Wzięła zakręt, znów spojrzała w lusterko wsteczne, a potem szybko się obejrzała i obrzuciła mnie wzrokiem.

Więc pan zna George'a?

Tak, byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Prosił, żeby się pan skontaktował z Claude'em?

Nie, jego ciotka Nabila dała mi numer.

A matka George'a?

Nie żyje.

Geneviève nieznacznie pokiwała głową.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zaparkowała samochód i powiedziała, żebym poszedł za nią. Otworzyła bramę dużej, starej, białą otynkowanej kamienicy i przeszliśmy przez hall do małej windy z drewna w kolorze czerwonym i ciężkiej stali. Przez metalowe pręty widać było przestronną spiralną klatkę schodową wokół wiozącej nas w górę kabiny, kiedy zaś dojechaliśmy na piętro Geneviève („na które wciągnęły nas”, pomyślałem, „mieszkające na dachu demony”), po budynku poniósł się echem gwałtowny pisk, taki, jaki zwykle można usłyszeć tylko w odpowiednich dla muzyki kameralnej salach koncertowych lub salach balowych w pałacach. Geneviève wsunęła klucz w zamek, zanim jednak zdążyła go przekręcić, ktoś otworzył drzwi od środka. Panią domu powitała pokojówka.

Geneviève poprosiła mnie do środka i powiedziała, żebym usiadł.

Usiadłem, a ona zniknęła. Pokojówka przyniosła mi sok i ciasteczka.

Piłem sok i pogryzałem ciastka, przyglądając się wysokiemu sufitowi, orientalnym dywanom, okazałym japońskim obrazom, meblom z mahoniem i drewna wiśniowego. Wstałem i pomału podszedłem do okna, skąd miałem widok na ulicę. Ciągnęła się daleko w

obie strony, przecięta liniami balkonów, niedużych samochodów i białych linii na jezdni, dzięki którym Paryż robi wrażenie miasta symetrycznego i podzielonego.

Podoba się panu widok? – spytała Geneviève, wchodząc ponownie do pokoju.

Tak.

Gdzie się pan zamierza zatrzymać? Zna pan kogoś w mieście?

Nie.

Przyleciał pan samolotem?

Nie, przyplłynąłem statkiem.

*Oh, mon Dieu, s'est long ça, non?\** – zapytała przyjemnym, łagodnym głosem. Zwróciłem uwagę na jej eleganckie maniery, długą suknię i świeżo wyszczotkowane kasztanowe włosy.

Obiecałem Nabili, że przyjadę tu odwiedzić jej szwagra, ojca George'a.

Nabila to ciotka George'a? – przerwała mi Geneviève.

Tak.

Proszę posłuchać, powiedziała. Tak jak mówiłam, ojciec George'a nie żyje, ale niedługo przyjdzie tu moja córka, która jest siostrą przyrodnią George'a. Nie może się doczekać spotkania z panem. Już tu jedzie. Może opowie nam pan wszystko, kiedy do nas dołączy? Zjemy razem obiad. Ma pan ochotę wziąć prysznic? Dam panu jakieś ubranie.

W łazience błyszczały złote krany, woda leciała z nich obficie. Rozprowadziłem po skórze pianę z perfumowanego mydła, a na kręconych włosach jedwabisty, delikatny szampon. Zapukała pokojówka i z chichotem podała mi maszynkę do golenia. Goląc się, w ramach mściwego aktu marnotrawstwa zostawiłem wodę odkręconą. Pokojówka zapukała po raz kolejny i podała mi spodnie, koszulę i skarpetki. Rękawy koszuli były trochę za długie i zakrywały mi dłonie. Podwinąłem mankiety, włożyłem skarpetki i wyszedłem z łazienki.

---

\* Och, Boże, to musiało długo trwać, prawda? (franc).



Z salonu dochodziły głosy dwóch pograżonych w rozmowie kobiet. Wszedłem do pokoju, a one przerwały i uśmiechnęły się do mnie. Młoda dziewczyna wstała, podeszła i ucałowała mnie w policzki. Miała jasne, długie włosy i oczy George'a.

Jestem Rhea, uśmiechnęła się. Siostra George'a.

Poznałem.

Naprawdę? Jestem podobna do George'a?

Masz jego oczy, powiedziałem.

Uśmiechnęła się, ujęła mnie za ramię i oznajmiła: Obiad czeka.

Usiedliśmy, Geneviève nalała wina do kieliszków. Przez jakiś czas jedliśmy w milczeniu, potem zaczęła mówić Rhea. Jej słowa rozbrzmiewały na tle szczęku ciężkich srebrnych łyżek zanurzanych w talerzach o złotych brzegach oraz dźwięku wina nalewanego do wysokich kryształowych kieliszków.

Mama mówi, że przypląnąłeś statkiem, powiedziała.

Pokiwałem głową.

Czemu wyjechałeś? – spytała.

Wojna, powiedziałem.

A George jest tam szczęśliwy?

Nigdy nie chciał wyjeżdżać.

Wiesz, ojciec próbował go tu ściągnąć, ale jego matka się sprzeciwiała, kiedy zaś wybuchła wojna, w ogóle nie wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje. Ojciec próbował posyłać wiadomości przez ambasadę, ale zdawało się, że matka George'a nie chciała mieć z nami nic wspólnego.

Milczałem.

Pan Bassam jest człowiekiem oszczędnym w słowach, zażartowała Geneviève.

Proszę pytać, a odpowiem, powiedziałem.

*Ab, bon!*\* – zawołała ze śmiechem.

Czym zatem zajmuje się George? – zapytała Rhea.

Pracuje w ochronie.

*Quoi?*\*\* Matka i córka spojrzały na siebie ze zdziwieniem.

To znaczy jest ochroniarzem?

W pewnym sensie.

*C'est dangereux, ça, non?*\*\*\* – zapytała Geneviève z za przechylnego w stronę jej warg, zatrzymanego w pół drogi kieliszka. Fala w kolorze burgunda czekała u brzegu jej ust, aż wylecą z nich słowa.

Masz może jego zdjęcie?

Nie.

Jest wysoki?

Trochę wyższy ode mnie.

Razem pracowaliście w ochronie?

Nie, przyjaźniliśmy się już w dzieciństwie.

W szkole?

Tak, nasze matki były przyjaciółkami.

Bardzo dobrze mówisz po francusku. Pewnie obaj uczyliście się go w szkole.

Tak.

Przyjechałeś tu więc, żeby się z nami spotkać?

No cóż, obiecałem Nabili, ciotce George'a, że przyjadę.

A George nic nam nie przysłał? Nigdy o nas nie pytał?

---

\* Ach, więc to tak! (franc).

\*\* Co takiego? (franc).

\*\*\* To niebezpieczne, prawda? (franc).

Nie. Raczej nie. George był zawsze zaabsorbowany pracą.

Czy on cokolwiek o nas wie? Wie, że jego ojciec nie żyje?

Nigdy nie rozmawiałem z nim o sprawach rodzinnych, powiedziałem. O niektórych rzeczach lepiej jest nie wspominać. W naszej kulturze to są bardzo delikatne tematy.

Chodzi o bycie nieślubnym dzieckiem?

Tak.

Ale wiedziałeś o tym?

To Nabila prosiła, żebym tu przyjechał, powtórzyłem, po czym zamilkłem. Pomału, dokładnie żułem jedzenie.

Przyjechałeś więc się z nami zobaczyć i nie masz żadnej wiadomości? – upewniała się Rhea.

Nabiła pragnęła, żeby pan Mani przysłał George'owi francuski paszport, powiedziałem.

Aha, teraz to zaczyna nabierać sensu, odparła Geneviève. Czyli George chce tu przyjechać?

Nie, to Nabila chce, żeby on wyjechał do Francji, sprecyzowałem.

Ale George nie chce? – spytała Rhea.

Pokręciłem głową i podniosłem widelec do ust. Byłem strasznie wygłodniały. Starłem się jeść powoli, elegancko, dbając o odpowiednie gesty, które pasowałyby do luksusowego otoczenia. Ale nie czułem się komfortowo w obliczu tylu pytań, zdawało mi się, że moje lakoniczne odpowiedzi nie są dla tych kobiet satysfakcjonujące. Matka i córka prawie nic nie jadły, tylko popijały wino lub wodziły palcami po kieliszkach, unosiły je w górę i odstawiały na stół.

Nagle obie zaczęły mówić szybko i głośno, niemal jednym głosem.

Jadłem i patrzyłem, jak pokojówka zabiera nam talerze przed nosa. Rhea wyglądała na zadziorną, co mi się podobało. Wiedziała, czego chce, a kiedy mówiła, gestykulowała lub

uderzała dłońmi o stół. Unosiła też delikatnie palcami włosy, odsłaniając jasną skórę, nieduże oczy i spiczasty nosek. Biegłe posługiwała się nożem i widelcem, oddzielała warzywa od mięsa i cięła je na małe kawałeczki, nie dziurawiąc przy tym. Mówiąc, nie patrzyła na matkę. Kiedy zaś raz na jakiś czas obie pograżały się w szybkiej wymianie zdań przypominających starcie dwóch monologów, pokojówka i ja zdawaliśmy się dla nich nie istnieć.

Znowu przebiegłem wzrokiem po pokoju. Wciąż odkrywałem coś nowego: oprawione w ramy stare mapy ze wskazującymi północ rysunkami kompasów, trasę podróży do jakiejś egzotycznej krainy, afrykańskie maski, niewielką figurkę egipskiego boga, półki, stoliki do kawy, książki.

W końcu kobiety ponownie obdarzyły mnie uwagą, a Geneviève zapytała, czy zamierzam się zatrzymać w Paryżu.

Nie jestem pewien, powiedziałem.

Zgubił pan drogę? – zaśmiała się.

Dopiero co przyjechałem.

Rhea warknęła na matkę, żeby mnie zostawiła w spokoju: *Laisse-le, putin, laisse-le!*\*

Zaczęły się kłócić, pokojówka dalej sprzątała ze stołu, ja zaś wstałem i podszedłem do okna.

Jeszcze raz wyjrzałem na długą ulicę, nie potrafiłem jednak stwierdzić, czy coś się na niej od poprzedniego razu zmieniło. Przez okno wszystko wyglądało jak fotografia na pocztówce.

Gdy piliśmy kawę, Geneviève powiedziała, że zapyta rodzinnego prawnika, niejakiego Maurice'a, czy da się coś zrobić w sprawie George'a. Znowu zakłuło mnie sumienie, że nie wyjawilem im wszystkiego, co wiem, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów.

Geneviève zwróciła się do Rhei i poprosiła ją, żeby porozmawiała z Maurice'em – ona sama nazajutrz wyjeżdżała na jakiś czas do domu na południu Francji.

---

\* Zostaw go, do cholery, zostaw go (franc).

Rhea kłóciła się z matką, mówiąc jej, że postępuje nieodpowiedzialnie.

*Franchement*, powiedziała Geneviève, *mais franchement*.\*

Poczęstowały mnie ciastem, ale odmówiłem, podziękowałem i ruszyłem do drzwi. Rhea zeszła ze mną kawałek po schodach.

Wrócisz jeszcze? – spytała, a jej głos poniósł się lekkim echem w rozległej przestrzeni wysokich ścian i marmurowych schodów.

Nie wiem. Muszę poszukać jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać, powiedziałem.

Potrzebujesz pieniędzy?

Nie, ale nie mam dokumentów, żeby wynająć pokój.

Aha, no to się tym zajmiemy, oświadczyła. Zaczekaj chwilę. Pobieгла z powrotem do mieszkania, wzięła torbę i zeszła ze mną na dół. Prowadziła mnie ulicą, trzymając za łokieć. Minęliśmy kilka przecznic, aż w końcu weszliśmy do niewielkiego hoteliku. Rhea wynajęła pokój na swoje nazwisko i zapłaciła. Dwa tygodnie, powiedziała recepcjoniście, a potem odwróciła się w moją stronę i posłała mi szelmowski uśmiech zwycięzcy.

Weszła ze mną po schodach do pokoju i stanęła w drzwiach. *Voilà*, powiedziała i ucałowała mnie w oba policzki, po czym ruszyła z powrotem. Zanim zeszła, obejrzała się, znów uśmiechnęła, zarzuciła włosami i powiedziała: Dobrze wyglądasz w ciuchach ojca.

Zdjąłem ubranie i powiesiłem na oparciu wsuniętego pod nieduże biurko krzesła. Wyglądało jak biurko podróżnika i niemal widziałem nad nim gęsie pióro w dłoni jakiegoś Francuza, który macza je w słoiczku z atramentem, aby przenieść kilka kropel na wyszukany żółty papier, gdzie przemienia się w potok eleganckich słów, rozpoczynających się od zwrotu: *Ma Chère*.

---

\* Tego już za wiele (franc).

Rzuciłem okiem na ubrania wiszące na krześle i przez chwilę zastanawiałem się, czy wypełnienie strojów zmarłego mężczyzny ciałem innego mężczyzny niesie ze sobą jakiegokolwiek znaczenie.

Przyglądałem się obco wyglądającym przedmiotom w pokoju – rączce, którą unosiło się okiennice, niewielkiej, oszczędnej przestrzeni, dzięki której okno zdawało się większe. Położyłem się na pojedynczym łóżku obok masywnego telefonu w kolorze złamanej bieli, na którym nie było cyfr ani tarczy z dziurkami, gdzie można by włożyć palce, żeby wykręcić numer. Potem ciekawość zaprowadziła mnie do łazienki; znalazłem tam bidet, maleńkie mydło i stos wytartych nieco ręczników, na którym leżała elegancka kartka z informacjami od kierownictwa hotelu. Stałem nad klozetem, odpiąłem klamrę paska i spełniając palącą potrzebę, niespiesznie wypuściłem z siebie czerwone wino przemienione w jeden żółty łuk tęczy. Moje oczy i dłonie ogarnęła fala otępienia, która zaczęła się rozlewać w kierunku stóp.

Wyjrzałem przez okno i nie mogłem zdecydować, czy wyjść znów na ulicę, czy się położyć. Otworzyłem torbę i wyciągnąłem z niej pistolet, trochę brudnej bielizny i wełniany sweter, który udzięgała dla mnie matka. Przypomniałem sobie, jak całymi tygodniami, codziennie kazała mi się odwracać do siebie plecami, po czym przykładała do nich robótkę i przesuwała ręką wzdłuż mojego kręgosłupa, rozciągając dzianinę i patrząc na nią łąpczywie zza okularów do dali. Dziergała i dziergała, aż plotkowały o niej z zawiścią pająki na strychach i splatający sieci rybacy; dziergała, a wełna sama odlatywała sprzed nosów pasterzy i lądowała na jej kolanach. Kiedy skończyła mój sweter, robiła pokrowce, obrusy, serwety na telewizor. Dziergała, aż cały dom pokryła dzianiną i otoczyła mnie duszącą siecią wełny.

Złapałem klucze i torbę i postanowiłem przejść się po mieście. Idąc, starałem się zapamiętać drogę powrotną do hotelu. Zauważyłem, że ulice są szersze niż w Bejrucie, fasady budynków mniej zabrudzone, a samochody niemal wcale nie trąbią. Dotarłem nad brzeg kanału i przyglądałem się przepływającym łodziom. Usiadłem i porównywałem widoki, które miałem przed oczami, z Paryżem, jaki wyobrażałem sobie na podstawie opowieści nauczyciela historii, pana Davidiana – opowieści o podbojach i rozkazach, o

padłych głowach toczących się spod gilotyn i o niskim dowódcy z Korsyki, który dosiadał wspaniałych koni i przemierzał kolejne kraje, a potem uciekał małą łódką przed zdradzieckimi Anglikami i ich królowymi o surowych obliczach.

Poszedłem dalej i wmieszałem się w tłum, który przesiadywał w kawiarenkach przycupniętych na brzegu chodnika. Spacerowałem przez kolejne godziny, a nikt nie patrzył mi w oczy, choć ja patrzyłem prosto w twarz każdej mijanej osobie. Wyzywałem nawet niektórych płonącym spojrzeniem, prowokowałem do spoliczkowania mnie białą rękawiczką, w nadziei na pojedynek, w którym miałbym prawo swobodnego wyboru broni. Ciężar pistoletu w torbie dawał mi poczucie bezpieczeństwa. W razie konieczności mogłem zawsze wyrzucić go daleko w jakąś przecznicę, zniknąłby zaraz pośród migoczących świateł, przepadł między maleńkimi samochodami.

Teraz, gdy miałem na sobie zrobiony przez matkę sweter, a brudną bieliznę zostawiłem namoczoną w zlewie, wiedziałem, że wystarczy mi chwila, żeby sięgnąć po broń. Mogłem bronić tego miasta, które tak się różniło od starych fotografii w książkach do historii. Mógłbym zabić brytyjskiego admirała Nelsona i zostać żołnierzem w cesarskiej armii. Byłbym najszybszym strzelcem konnym. Kładłbym trupem księży, a arystokratów wieszał na drzewach pełnych dyndających ciastek. Wyobrażałem sobie teatralne krzyki, które niosłyby się z najeżdżanych przeze mnie pałaców, wyobrażałem sobie uróżowane policzki i tłuste tyłki schowane pod sukniemi w kształcie dyni, wyobrażałem sobie, jak przerażeni arystokraci ślizgają się w popłochu po niekończących się marmurowych podłogach. Nasłuchiwałem w wyobraźni klawesynowego dźwięku nacierających szabli, który oczy każdego rewolucjonisty napełniłby łzami triumfu.

Całymi godzinami włóczyłem się bez celu, bezskutecznie próbując pogodzić Paryż z fantazmatami mojej młodości, przeczytanymi książkami, opowieściami nauczyciela. W jakiś dziwny sposób, jak gdybym wcześniej już tutaj mieszkał, odnajdywałem własne ślady prowadzące ze splądrowanych zamków przez osnute chwałą place toczących się głów i spadających peruk – ja, zwycięski żołnierz, powracałem do swojego pokoiku, skromnego biurka i malowniczego widoku z okna. Wyjąłem namoczoną bieliznę ze zlewu i zdusiłem ją uściskiem, po czym rozpostarłem wilgotne rzeczy na krześle, biurku i krawędzi łóżka.

Nie wywiesiłem z okna białej flagi.

Zasnąłem.



Kiedy się obudziłem, poczułem grunt pod nogami, jak gdyby morze znikło, a kołysanie ustało.

Z okna widziałem balkony po drugiej stronie ulicy, zamazane przez mgłę i zmoczone paryskim deszczem.

Szukałem papierosów, lecz stwierdziłem, że poprzedniego wieczoru paczkę opróżnili straceni przeze mnie arystokraci, z których wielu prosiło o ostatniego papierosa.

Spryskałem oczy wodą, uwolniłem ostatnie krople wina z głębi trzewi, wziąłem prysznic, umyłem zęby i pospieszyłem ciemnymi schodami w dół. Wszedłem do sklepu i kupiłem paczkę gitane'ów bez filtra. Paliłem, podczas gdy moi żołnierze ściągali z trupów klejnoty, wkładali peruki arystokratów, przedrzeźniali ich zniewieściałe maniery, przeszukiwali kieszenie w poszukiwaniu monet, kłaniali się przed ciałami omdlałych w ich rękach kobiet i ściągali im z palców drogocenne pierścionki. Zanim w powietrze mógł wzbić się odór gnijących upudrowanych policzków, kazałem żołnierzom spalić ciała, a gdy huczał już ogień, podszedłem do płomieni i odpaliłem od nich kolejnego papierosa.

Późnym rankiem zadzwonił telefon. Była to Rhea. Poprosiła, żebym zszedł do recepcji.

Włożyłem ubranie jej ojca i poszedłem się z nią spotkać.

Kiedy mnie zobaczyła, podbiegła i ucałowała mnie – po raz trzeci od pierwszego spotkania. Chodźmy, powiedziała.

Szedłem za nią bez sprzeciwu. „Kobiety też są częścią rewolucji”, myślałem, „trzeba więc brać, co oferują”.

Szliśmy w mżącym deszczu; schroniliśmy się w małej kawiarence. Nie byłem tu jedynym, który palił rewolucyjne papierosy. Przecisnęliśmy się pośród gęstej mgły klientów,

których szeleszczące gazety trzepotały jak skrzydła, ku okrągłemu stolikowi w głębi sali. Zamówiłem kawę i croissanta, który smakował gęstym mlekiem i masłem. Rhea przez cały czas się do mnie uśmiechała. Patrzyła mi w oczy tak, jak dotąd nikt jeszcze się nie ośmielił.

No dobrze, to mogę zacząć pytać? Pochyliła się w moją stronę figlarnie.

Pewnie.

Opowiedz mi o George'u.

Zanim jednak zdołałem otworzyć usta, mówiła dalej: Wiesz, jestem strasznie podekscytowana perspektywą odnalezienia brata. Zawsze czułam się samotna. Mój ojciec wiecznie podróżował, a matkę przeważnie pochłaniały przyjęcia i obowiązki towarzyskie. On jest kimś więcej niż tylko ochroniarzem, prawda? Tak naprawdę jest bojownikiem?

Tak.

Należy do jakiegoś oddziału?

Wstąpił do chrześcijańskiej falangi w Bejrucie Wschodnim.

Opowiedz mi o tym.

Wahałem się przez chwilę, nie wiedząc, od czego zacząć ani na czym skończyć. Postanowiłem opowiedzieć jej kilka historii z czasów szkolnych: o tym, że zawsze się razem bawiliśmy, a jego dom był niedaleko mojego, o tym, jak pewnego dnia zakradliśmy się do szkolnego śmietnika, szukając kopii egzaminu z francuskiego, o dniu, w którym włamaliśmy się do kościoła, żeby ukraść skrzynkę z datkami, jak również o tym, jak podebraliśmy mojemu ojcu kluczyki od samochodu i odjechaliśmy w siną dal. Opowiadałem jej o tych dniach, kiedy chowaliśmy się w wąskich uliczkach, paląc pierwsze papierosy, i o tym, jak po wybuchu wojny, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, zbieraliśmy zużyte naboje i łuski działowe, które polerowaliśmy wapnem i wymienialiśmy na papierosy.

Rhea się uśmiechała, a kiedy przerywałem, zachowywała się jak idące spać dziecko, które chce słuchać w kółko tych samych opowieści, bez przerwy. Powiedziałem jej, że pracowaliśmy razem i że George postanowił wstąpić do falangi, ponieważ potrzebne mu były pieniądze. Pomiąłem wiele szczegółów, a widząc, jak te opowieści ją uszczęśliwiają,

zmieniałem nazwy, sadziłem drzewa, przemalowywałem betonowe domy w naszej okolicy na tropikalne kolory, kazałem ludziom śmiać się i tańczyć, nawet pośród spadających bomb.

Czy on wie o moim istnieniu? – spytała Rhea.

Nigdy o tym nie wspominał, odparłem.

Czy kiedykolwiek pytał o ojca?

Nie, ale kiedy w szkole dzieciaki mu dokuczały, nazywając go bękartem, zawsze stawał do walki, nawet ze starszymi od siebie – każdemu potrafił przywalić, aż w końcu nikt już nie śmiał pisnąć ani słowa.

Wstydził się, że nie ma ojca?

Nawet jeśli tak było, nigdy tego nie okazywał. Nie rozmawialiśmy o tym. Ale wszyscy nazywali go George *al-Faransawi*\*.

Ty też?

Nie. Używał nazwiska matki.

Jakie to nazwisko? Rhea strzepnęła popiół z papierosa.

Maszruki.

Maszruki, powtórzyła. George Maszruki. To musiało być dla niego bolesne, że tak go przezywano. Dzieci potrafią być okrutne, w ogóle ludzie są okrutni, i życie też.

Pospiesznie wypila herbatę, a potem wzięła mnie za rękę, wstała i pociągnęła za sobą.

Chodźmy. Pokażę ci Paryż.

Przez jakiś czas spacerowaliśmy, aż doszliśmy do Ogrodu Luksemburskiego. Widok rozległych połaci zieleni, nagich posągów na cokołach, gołębi i figur szachowych przeniósł mnie z powrotem do mojego pokoju w Bejrucie. „Dom pewnie stoi teraz pusty”, pomyślałem, zastanawiając się, czy Joseph przekazał Nabili klucze, czy poszła tam i przykryła wszystko narzutami, czy w pokojach pojawił się już zapach zamkniętego, opuszczonego domu, czy duchy i pająki znalazły tam wspólne wytchnienie. Zastanawiałem się też, czy moi rodzice,

---

\* Francuz (arab.)

teraz już jako duchy, zachowali prawo własności do swojego mieszkania i co by zrobili, gdyby chcąc postraszyć w tym domu, przekonali się, że zdołałem wyjechać i przeniknąć do świata plakatów ukazujących radosne fontanny i gołębie, dokładnie takie jak tu, pozostawiwszy niedomkniętą lodówkę, niewyniesione śmiecie; bez listu pożegnalnego.

Dostrzegłem na trawniku kuropatwę, która skakała jak szalona wokół gołębia, walcząc z nim o okruchy chleba leżące u stóp starszej kobiety. „Jestem głodna”, wołała kuropatwa, „a tu nie ma dla mnie nic oprócz okruchów z tej ubogiej ręki”.

Szliśmy dalej. Obserwowałem idącą obok mnie Rheę, która opowiadała mi o architekturze i niemieckiej okupacji, pokazywała mosiężne tabliczki z nazwiskami bohaterów francuskiego ruchu oporu, którzy zginęli, walcząc o wolność ojczyzny. Przystaliśmy przy antykwariacie na brzegu rzeki, w miejscu, które mijąłem poprzedniego wieczoru. Ze względu na Rheę kazałem swoim żołnierzom zlikwidować ślady wojny, zawiesić broń oraz zaprzestać grabieży i zakłócania porządku. Kazałem im przejść do podziemia i walczyć z faszystami. Żołnierze przystali na to ochoczo.

Przeglądaliśmy książki u bukinisty, a potem usiedliśmy na ławce, patrząc na rzekę, niespiesznie wzbierającą pod łukowatymi mostami. Kamienne monstra na dachach kościołów miały oko na wroga, podczas gdy moi żołnierze jedli i odpoczywali.

Czym się zajmujesz, Bassam? – spytała Rhea.

„Nie powiem jej o swoich rewolucyjnych skłonnościach ani o znaczącej roli, jaką odgrywam w tej rewolucji, nie mogę też mówić o wspieraniu francuskiego ruchu oporu”, myślałem, głaszcząc grzywę swego białego konia. Pracowałem w porcie, powiedziałem.

I co tam robiłeś? – pytała dalej, otwierając szeroko oczy.

Jeździłem wózkiem przemysłowym.

Twoi rodzice zostali w Bejrucie?

Oboje nie żyją, leżą pod ziemią w pobliżu domu pogrzebowego.

Kiedy umarł ojciec, przez wiele dni płakałam, powiedziała Rhea. Nie mieliśmy bliskiego kontaktu. Zawsze był bardzo oficjalny, nawet wobec mnie – elegancko ubrany i

elocwentny, prawdziwy arystokrata. (Pomyślałem, że jego życie oszczędzę, ponieważ jest ojcem Rhei i George'a). Miał znakomite maniere, jak wszyscy dyplomaci. Ale zostawiał nas same na całe tygodnie, miesiące. Na początku podróżowałyśmy razem z nim, ale potem matka postanowiła zostać w Paryżu. Znalazła sobie kochanka. A ojciec zaczął jeszcze więcej podróżować.

Szkoda, że George go nie poznał, powiedziałem.

Tak. Tak, powinien był nas wszystkich poznać, wtrąciła szybko Rhea. Czy on ma dziewczynę?

Nie, powiedziałem.

Jak myślisz, co teraz robi?

Teraz?

Tak, w tej chwili.

Jest daleko, powiedziałem.

Daleko. No tak, tyle to wiemy, zaśmiała się. Chodźmy coś zjeść. Na pewno zgłodniałeś. Weźmiemy taksówkę.

Podeszła do krawędzi jezdni, uniosła rękę w powietrze, stanęła na palcach i zakreśliła się jak baletnica, machając dłonią niczym kochankowie na peronie kolejowym. W taksówce siedzieliśmy jak najdalej od siebie, każde z twarzą przy oknie. Patrzyłem na Paryż przez szybę obficie zlaną jednostajnym deszczem, dzięki któremu wszystko zdawało się zamazane i tajemnicze. Rhea natomiast, która dobrze знаła to miasto i jego mieszkańców, przyglądała się po prostu mokrej szybie i kroplom deszczu lecącym w dół jak łzy.

Po południu Rhea zapytała, czy chcę przyjść do niej na herbatę. Przeszliśmy ulicą Arras pod parasolem, który zasłaniał wieże wysokich kościołów, figurki aniołków w okapach dachów, liście drzew uginających się pod ciężarem lejącego deszczu, wyniosłe, triumfalne pomniki oraz dym wiecznie płonącej Bastylii.

Zostawiliśmy ociekający wodą parasol w przedpokoju i weszliśmy w głąb mieszkania. Było większe niż mieszkanie jej matki i nie było w nim tylu bibelotów. Usiadłem i czekałem, podczas gdy ona zniknęła w kuchni, a potem w swoim pokoju. Pojawiła się w nowym, suchym ubraniu, włączyła hinduską muzykę, zapaliła kadzidełko i wróciła do swojego pokoju. Po chwili znów przyszła i powiedziała, żebym poszedł do kuchni i nalał sobie kawy. Z pokoju dochodził dźwięk suszarki do włosów, na zewnątrz zaś wzmagała się burza, a drzewa uginały się pod huczącym deszczem i wiatrem.

Piłem kawę i podszedłem do półek z książkami w salonie. Na jednej z nich stało zdjęcie Rhei z mężczyzną, który, jak sądziłem, był pewnie panem Mani. Zdjęcie zostało zrobione gdzieś na Dalekim Wschodzie. W tle widniała wielka buddyjska świątynia. Fotograf musiał stać dość daleko, bo obie postaci widać było w całości.

Pan Mani nie przypominał George'a, z wyjątkiem może szerokiego uśmiechu. George rzadko się uśmiechał, ale raz na jakiś czas potrafił zaskoczyć, rozpromieniając się zupełnie bez powodu, po prostu by zaznaczyć uśmiechem swoją obecność. Pan Mani miał bladą cerę i wygląd Słowianina. George przypominał bardziej swą matkę o oliwkowej skórze, Dżamal.

To tata – zdjęcie z wycieczki do Tajlandii, powiedziała Rhea, podchodząc do mnie. Dotknęła ramki. Odwróciłem głowę w jej stronę i pocałowałem ją w policzek, a gdy przyciskałem twarz do jej ciepłej skóry, ona pomału odwróciła głowę w moją stronę i pocałowała mnie w usta.

Musisz zdjąć ubranie, jest przemoczone, szepnęła. Chodź do mojego pokoju. Dam ci ręcznik.

Kilka kolejnych dni spędziłem u Rhei. Codziennie chodziliśmy na długie spacerunki. Przenosiliśmy się z kawiarni do kawiarni. Zwiedzaliśmy muzea i galerie, a Rhea pokazywała mi swoje ulubione obrazy. Szybkim krokiem przemierzaliśmy skrzydła budynków pełne białych rzymskich figur oraz ogromnych złożonych portretów gubernatorów i arystokratycznych dam. Szliśmy prosto do jej ulubionych dzieł, a gdy mieliśmy je przed sobą, Rhea cieszyła się, jakby zobaczyła dawno niewidzianego przyjaciela z dzieciństwa.

Uśmiechała się do mnie promiennie i opowiadała o życiu malarza, jego epoce, stosowanych technikach i symbolice dzieła. Któregoś dnia wybraliśmy się na wystawę fotografii, a ona niespiesznie przechodziła przed kolejnymi zdjęciami, przed każdym się zatrzymując. Fotografia mówi o śmierci, powiedziała. Zachowuje iluzję minionego momentu, którego już nigdy nie da się odtworzyć.

Nocą spałem w jej łóżku; kochaliśmy się. Przedtem zapalała świeczkę. Lubię, gdy jest na tyle ciemno, że widać tylko kształty i niezbyt wiele szczegółów, powiedziała.

Możesz mi opisać George'a? – zapytała któregoś wieczoru.

Ze szczegółami? – spytałem.

Uśmiechnęła się.

Ma zielone oczy i uśmiech twojego ojca, powiedziałem. Ciemną skórę, podobnego koloru jak moja. Jesteśmy prawie tego samego wzrostu. Ma proste, ciemne włosy, które mu zawsze opadały na twarz. Nigdy nie nosił okularów. Ma haczykowaty nos, jak *tante* Dżamal, jego matka. Jest dość chudy, ale ma mocne ramiona. Można to ocenić po żyłach, które zawsze u niego wyraźnie widać.

Pali?

Tak.

Jakie papierosy?

Marlboro.

Co jeszcze lubi robić?

Jeździł na motorze. Wybieraliśmy się razem na polowania.

Na co polowaliście?

Na ptaki, przeważnie na ptaki.

Tej nocy Rhea zasnęła, ale ja nie spałem. Przez jakiś czas leżałem na plecach, potem poszedłem do okna, a następnie na balkon z drugiej strony mieszkania. Paliłem i przygląda-

łem się nielicznym gwiazdom, wypatrując gwiazdnych ognisk, nadawanych alfabetem Morse'a sygnałów z kosmosu.

Gdy kończyliśmy się kochać, Rhea zadawała coraz więcej pytań. Chciała, żebym jej wszystko opisywał, upierała się niczym zbywane przez rodziców dziecko. Czy Bejrut jest duży? Jak się tam ludzie ubierają? Jaka była twoja matka? Czy lubiłeś ojca?

Któregoś wieczoru przy kolacji otworzyła wino i puściła francuskie piosenki o miłości. Poprosiła mnie, żebym usiadł koło niej na podłodze, po czym wyciągnęła album ze zdjęciami. Pooglądajmy, powiedziała. Pomału przewracała kartki. Patrzyłem na zdjęcia pełzającego po podłodze niemowlęcia, Geneviève w sukienkach z lat siedemdziesiątych, butach o spiczastych noskach i ciemnych okularach, Rhei w ramionach ojca z Afryką w tle. To moja niania, powiedziała Rhea, a to ja w Singapurze. A to w kibucu, w Izraelu.

Kiedy tam byłeś? – przerwałem jej.

Całkiem niedawno, stwierdziła.

Kiedy jej powiedziałem, że George był w Izraelu na szkoleniu wojskowym, oczywiście chciała się zaraz wszystkiego dowiedzieć.

Kiedy tam był? Dlaczego pojechał do Izraela? Jak mu się udało przedostać tam z Libanu?

Powiedziałem, że George był tam na tajnej misji, że go szkolono.

*Oh, mon Dieu*, może nawet byliśmy tam w tym samym czasie! Był tam może w sierpniu? Wrześniu? Listopadzie? W którym roku?

Rok temu.

Wiesz, gdzie przebywał, w którym rejonie?

Nie, to była tajna operacja wojskowa, powiedziałem.

Czy on wiedział, że nasz ojciec był Żydem? – zapytała.

Nie wiem.



Myślisz, że matka z nim o tym rozmawiała? George na pewno pytał ją o ojca, dodała, odgarniając włosy z twarzy.

Nie jestem pewien, odparłem.

Świeca stopniała pod językiem swojego płomienia, teraz już ogień migotał nad rozlaną kałużą wosku. Patrzyłem na niego, a moje myśli powędrowały ku drewnianym ławkom, w których klęczeliśmy z George'em odziani w białe szaty, mamrocząc słowa pod nosem, trzymając w ustach ciało Syna Człowieczego, radośnie popijając Jego krew, pewni Jego wiecznej miłości do nas – kanibali, drobnych bandytów, hormonalnych odmieńców, złodziei świec i niepoprawnych onanistów.

Następnego ranka wróciłem do hotelu. Wziąłem prysznic i położyłem się na łóżku, patrząc w sufit i wypełniając pokój dymem palących się papierosów. Poskładałem ubrania, które wcześniej zostawiłem porozrzucane, i schowałem je do niewielkich szuflad. Nie miałem żadnych planów i zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie ich nawet stworzyć. Poza Rheą nikt w Paryżu mnie nie znał, nikt się nie spodziewał, że wpadnę na obiad ani że wezmę udział w kondukcie pogrzebowym, że będę jadł, pracował, nosił rannych, jeździł na motorze. „Mogę dalej włóczyć się po Paryżu”, pomyślałem. A potem przypomniałem sobie historię mojej babki, którą w młodości zniewolili Turcy, a która już jako starsza kobieta prasowała koszule francuskim żołnierzom za kilka blaszanych monet – oraz historię jej brata, który podczas drugiej wojny światowej przyłączył się do sześciu tysięcy Libańczyków stanowiących oddział *kannasa*\* pod zwierzchnictwem sił Wolnej Francji. Wspominałem, jak babcia opowiadała mi o bohaterskiej walce w bitwie o Bir Hakim. Wspominałem, jak opowiadała o swoim bracie, który zginął na pustyni, stęskniony za domem wysoko w górach, za szpalerami drzew, biciem dzwonów i kozami żującymi trawę.

Zapaliłem więc gitane'a i spacerowałem po paryskich ulicach, szukając nazwisk swoich przodków na marmurowych tablicach i na łukach triumfalnych. Chodziłem niczym szpieg w przebraniu: na głowie kapelusz, pod pachą bagietka – kiedy zaś zobaczyłem, jak

---

\* snajperów (arab.)

gestapo i funkcjonariusze Vichy spędzają w jednym miejscu tysiące osób wyglądających podobnie do mnie, mających takie same nosy i kolor skóry, zawróciłem na pięcie i zszedłem do kanałów. Bałem się, że mnie złapią, bałem się, że wyląduję w ciasnych wagonach kolejowych, bałem się zimnych nocy bez jedzenia, bałem się, że zabiorą mi kapelusz, zegarek, bagietkę, skrzypce i tych, których kocham... bałem się też ceny, którą tak czy inaczej będę musiał zapłacić – teraz lub w przyszłości. Bałem się widma gajów oliwnych, namiotów pełnych uchodźców trzymających w dłoniach klucze do domów, których już nigdy nie zobaczą, oraz zdjęcia ziemi, którą pewnego dnia przywłaszczą sobie obuci w sandały ludzie o jaśniejszej skórze, a ich poczynania usprawiedliwią święte księgi. Czołgałem się kanałami, aż dotarłem do rzymskich katakumb, gdzie spocząłem pośród tysięcy czaszek oświetlonych migoczącą słabo latarką. Choć może światełkiem przed moimi oczami był tylko żarzący się koniec papierosa?

Następnego popołudnia Rhea przyszła mnie odwiedzić. Pocałowała mnie w policzek i poszliśmy w miasto, jakbyśmy oboje wiedzieli, co robić.

Zapytałem ją, czy wie, w jaki sposób jej ojciec poznał matkę George'a.

Ojciec był wówczas dyplomata w Egipcie, powiedziała Rhea, ale wyjechał stamtąd z powodu wojny izraelsko-arabskiej. W drodze powrotnej do Francji zatrzymał się w Bejrucie, bo miał tam jakieś sprawy do załatwienia. Matka George'a pracowała wtedy jako sekretarka we francuskim konsulacie. Ojciec, który był wciąż jeszcze wolny, przystojny i młody, powiedział, że spodobał mu się jej akcent. Pewnie miała taki sam akcent jak ty, uśmiechnęła się Rhea. Matka George'a uczyła się u zakonnice, ale mówiła ojcu, że później się zbuntowała. Wydaje mi się, że kiedy się dowiedzieliśmy, że ojciec choruje na raka, on postanowił opowiedzieć mi wszystko o swoim życiu. Mówił, że zakonnice znęcały się nad nią, ale mimo to zapewniły jej porządną edukację, która pozwoliła jej zdobyć pracę w konsulacie. Ojciec wiele razy zapraszał ją na kawę, zanim się zgodziła. Bejrut... Zawsze opowiadał o Bejrucie z nutą nostalgii. Kiedy wyjechał z miasta, przez kilka tygodni korespondował z matką George'a. A potem, tak mi opowiadał, ni stąd, ni zowąd przestała do niego pisać. Prawdopodobnie odkryła, że jest w ciąży. Ojciec przez wiele lat nie wiedział, że ma syna.

Matka George'a nie powiedziała mi o tym, a on nic nie podejrzewał. Dopiero kiedy pojechał do Rzymu, spotkał libańskiego biznesmena, który akurat znał tę rodzinę i powiedział ojcu, że matka George'a zaszła w ciążę z jakimś Francuzem, który wyjechał z kraju, i że postanowiła zatrzymać dziecko pomimo wszystkich społecznych konwencji, trudności, jakim musiała stawić czoło, kościelnych gróźb ekskomuniki oraz grożącej jej izolacji od rodziny i społeczeństwa. Zapytałam ojca, czemu nie wrócił do Bejrutu, żeby zobaczyć się z George'em i jego matką. Powiedział, że po wybuchu wojny Bejrut stał się zbyt niebezpieczny dla ludzi takich jak on.

Rhea ponownie spojrzała mi w oczy. Matka George'a była niepokorna, prawda?

Tak, ale była też wspaniałomyślna, powiedziałem. Obu nas bardzo kochała.

W jaki sposób umarła?

Na tę samą chorobę, na którą zmarł twój ojciec.

Może nawet w tym samym czasie, dodała Rhea.

Przez dwa dni, jakie upłynęły od naszej rozmowy o jej ojcu i matce George'a, Rhea się nie odzywała i nie pokazywała w hotelu. Drugiego wieczoru poszedłem do niej. Stałem naprzeciw jej kamienicy na skrzyżowaniu ulic, przy sygnalizacji świetlnej. Zaciągałem się dymem na żółtym świetle, a wypuszczałem białe kłęby na zielonym. Kiedy zaś światło zmieniało się na czerwone, stałem w grupie pieszych i przyglądałem się ich kolorowym ubraniom.

Dostrzegłem elegancko ubranego starszego mężczyznę czekającego przy bramie wejściowej kamienicy Rhei. Patrzyłem, jak światła uliczne kładą się blaskiem na jego twarzy, a ona zmienia kolor niczym kameleon. Potem zobaczyłem Rheę, która zeszła na dół. Wycofałem się z rogu ulic i stanąłem w cieniu. Rhea pocałowała mężczyznę, po czym ruszyli razem ulicą. Facet był chudy, rysy miał delikatne, niemal dziecięce. Szedłem za nimi, trzymając się w cieniu – kiedy oglądali się za siebie, zamierałem niczym zwierzyna łowna w obliczu drapieżcy.

Weszli do baru, mężczyzna przytrzymał jej drzwi. Dotychczas to ona mówiła – on tylko kiwał głową i pochylał się w stronę Rhei.

Czekałem przed barem. Wypaliłem wszystkie papierosy, ale dalej stałem, zaglądając przez okna. Kelnerki chodziły w tę i z powrotem, przesłaniając centralnie zawieszony żyrandol, który świecił dokładnie w połowie ramy okiennej, niczym pozaziemski statek. Ruchy kelnerek powodowały czasem, że jego światło migotało mi w oczach. Interpretowałem to migotanie jako sygnały nadawane alfabetem Morse'a, instruujące mnie, żebym nie zgubił obiektów swojego śledztwa, żebym chodził ich śladem, notował każdy śmiech i każdą, nawet najbardziej banalną rozmowę, przyglądał się ich gestom, tropił każdą wymianę karteczek, paczek papierosów, spojrzeń, uśmiechów, czułych głosów.

Stałem tam całe godziny. Marzyłem o następnym papierosie, jak również o świecach płonących nad łóżkiem Rhei. Tęskniłem za jej zdjęciami i niekończącymi się pytaniami.

Kiedy wreszcie wyszli z baru, zamarłem. Przestałem nawet mrugać. Mężczyzna stanął na chodniku, wyciągnął paczkę papierosów i starą zapalniczkę. Zapalił, zaciągnął się i ruszył z Rheą w drogę powrotną. Przez cały czas, aż do jej domu, szedłem za nimi. Facet odprowadził ją do drzwi, ona go pocałowała, a on ruszył dalej. Czekałem, aż mnie minie, po czym zszedłem za nim do metra. Stałem na peronie, niedaleko. Przyglądałem mu się z bliska. Zawieszane w tunelu neonowe światło malowało wokół niego niepokojące cienie, które nie pasowały do jego niebieskich oczu, jedwabnego krawatu i porządnie uczesanych włosów.

Wsiadałem i wysiadałem na tych samych stacjach co on – szedłem za nim wszędzie, nie zważając na to, czy mnie widzi.

Kiedy wysiadł na ostatniej stacji i zaczął się oddalać, pobiegłem za nim. W małej uliczce poprosiłem go o papierosa. Odpowiedział mi obcesowo, że nie ma papierosów.

A ja wiem, że pan ma, odparłem.

Wyminął mnie, a na jego twarzy malowała się pewność siebie, powiedział, żebym się zmywał.

Wyciągnąłem pistolet, podbiegłem i zastąpiłem mu drogę. Papieros albo strzelam, co pan woli?

Wyciągnął z bocznej kieszeni marynarki paczkę papierosów i mi ją podał.

Jeszcze zapalniczka, powiedziałem.

Przeszukał ubranie, wyjął zapalniczkę z kieszeni spodni i powolnym ruchem mi ją podał, patrząc na mnie oczami, w których nie było strachu. Wziąłem zapalniczkę i poszedłem w przeciwną stronę. Postanowiłem nie jechać metrem, na wypadek, gdyby facet zadzwonił na policję – na pewno wypatrywaliby mnie na stacjach.

Szedłem szybkim krokiem przez puste ulice i czułem coraz większy głód. Cały dzień nie jadłem, ponieważ czekałem, aż zadzwoni Rhea, chciałem zjeść razem z nią, patrzeć, jak

patrzy mi prosto w oczy, tak jak nikt w tym mieście na mnie nie patrzył, czuć zapach jej włosów.

Kiedy w końcu dotarłem do ruchliwszej ulicy, stanąłem za młodym drzewkiem i zapaliłem. Czułem w dłoni ciężar zapalniczki, przyglądałem się jej złotej barwie. Były na niej inicjały, którym postanowiłem przyjrzeć się później, w lepszym świetle. Otworzyłem i zamknąłem zapalniczkę – trzaskała przy zamykaniu, wydając dźwięk, który niósł się jak brzęk drzwi więzienia, jak szczęk z sali tortur, jak kłóący się w samochodzie i na parkingach kochankowie, jak nocne wyjścia ojca z domu i poranne z salonów gry. Chciało mi się pić, ale sama myśl o wodzie wywoływała wspomnienia zatapiającej mnie dłoni Rambo na moim karku, myśl ta odcinała od moich płuc powietrze, przez co jeszcze dłużej zaciągałem się papierosem i przyspieszyłem kroku, a im szybciej szedłem, tym bardziej obco się czułem. Tęskniłem za długimi spacerami pośród spadających bomb. „Bomby służą nie tylko do zabijania”, myślałem. „Bomby są jak sygnały nadawane alfabetem Morse’a, pełne słów i treści”. W Paryżu jednak nie spadały bomby – Paryż był miastem milczącym.

Następnego dnia Rhea zadzwoniła z hotelowego holu. Oznajmiła, że wchodzi na górę. Weszła, trzaskając drzwiami (tak jak zatrzaskuje się kosztowna złota zapalniczka).

Śledziłeś mnie wczoraj wieczorem, powiedziała oskarżycielskim tonem.

Nie odzywałem się.

Tak, tak, widziałam cię. Widziałam, że czekasz przed barem, po drugiej stronie ulicy. Rozpoznałam twoją sylwetkę, torbę, papierosy. Stałeś tam kilka godzin, jak myśliwy na czatach. Rozpoznałam cię po tym, jak paliłeś i jak zerkałeś na boki spod naciągniętej na oczy czapki i znad kołnierza kurtki. Tak, tak, stałeś w przytłumionym świetle, sądząc, że nikt cię nie rozpozna, ale ja zawsze poznaję ludzi po sylwetce. Specjalnie przedłużałam spotkanie w barze, bo nie chciałam stamtąd wychodzić, dopóki sobie nie pójdziesz – ale ty jesteś uparty i stałeś tam, jakby cię ktoś opłacił. Stałeś, a widok twojej znieruchomiałej, smutnej sylwetki przypominającej stojącego trupa mnie przeraził. Jakie ty masz prawo? Kto ci dał prawo mnie

śledzić? Widziałam, że kiedy rozeszliśmy się z Rolandem, poszedłeś za nim. Widziałam! – krzyczała. Dlaczego za nim poszedłeś? Kto ci dał prawo?

Znów patrzyła mi prosto w oczy, teraz jednak było to zupełnie nowe spojrzenie, jakiego wcześniej nigdy nie widziałem – miała przymrużone oczy, jak strzelający pod słońce snajper, jak zagubiony marynarz, jak osoba próbująca przedrzeć się wzrokiem przez dym papierosa lub płonącego siana.

Dlaczego? Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego za mną szedłeś. Dlaczego? – krzyczała Rhea.

Żeby cię chronić, powiedziałem cicho.

Co? Chronić mnie? Przed czym? Przed kim? Kto cię o to prosił? No kto? Nie masz do mnie żadnych praw, rozumiesz? Było mi cię szkoda, ale sam fakt, że było mi cię szkoda i że się z tobą przespałam, nie daje ci do mnie prawa własności. Zrozumiano? Nigdy więcej masz za mną nie chodzić! Uniosła w górę palec i zatrzymała go na wysokości mojej twarzy. I nie zaczepiaj Rolanda, bo on nie jest taki miękki i delikatny, jak ci się wydaje.

Odwróciła się i trzasnęła drzwiami (tak, brzmiało to jak trzaśnięcie więziennych drzwi). Patrzyłem z okna, jak przechodzi przez ulicę, przecinając białą przerywaną linię na jezdni, a potem znika za białymi kamiennymi murami.

Chodziłem po pokoju, między oknem i łazienką, szukając czegoś nowego, czemu mógłbym się przyjrzeć. Nie miałem już mydła i potrzebowałem nowego ręcznika. Zszedłem na dół, do holu.

Recepcjonista, Algierczyk w grubych okularach i z kręconymi włosami, czytał książkę. Powoli podniósł głowę. Kiedy go poprosiłem o nowy ręcznik i mydło, powiedział, że muszę poczekać na następne sprzątanie. Zapytałem, czy ma jakąś książkę, którą mógłbym pożyczyć.

Schylił się, sięgnął pod blat i wyciągnął stos książek. Proszę, powiedział. Ludzie zostawiają książki w pokojach, a my je zatrzymujemy. Niczym żongler trzymał chwiejącą się

wieżę z książek na dłoni, a potem postawił je przede mną. Proszę sobie wybrać. I przynieść z powrotem, kiedy pan skończy albo zanim się pan wymelduje.

Wybrałem *Obcego* Camusa.

*Ah oui. On est tous ça ici, mon frère\**, powiedział ze śmiechem.

Poszedłem na górę, do pokoju, i położyłem się w łóżku. „Dzisiaj umarła mama. Albo wczoraj, nie wiem”\*\*. To było pierwsze zdanie książki. Wstałem i usiadłem koło okna, przerzucając strony. Kiedy spojrzałem na ulicę, zobaczyłem mężczyznę na spacerze z psem. Przeklinał psa. Nisko zawieszona słońce mocno świeciło, skutkiem czego Paryż tonął w śródziemnomorskim upale. Kawiarnie przepęłniał zapach tymianku, a im większy żar lał się z nieba na Paryż, tym bardziej przesunął się on w stronę wybrzeży północnej Afryki. Między stronami książki widziałem jej bohatera chodzącego po plaży z pistoletem w rękę... „Oskarżam tego człowieka, że pogrzebał matkę ze spokojem zbrodniarza”\*\*\*, mówił prokurator, wskazując palcem oskarżonego. Pospiesznie opuściłem salę sądową i rzuciłem książkę na łóżko, żeby przyglądać się, jak Paryż pośród migoczących fal czerwonego światła przesuwa się na południe. Odbijające się w piasku pustyni słońce łączyło się z falami Morza Śródziemnego. Od wzmożonego upału zaczynało mi się kręcić w głowie, czułem, że po plecach, do spodni i dalej po pośladkach spływają mi kaskady potu. Czułem też wilgoć pod spodem kolan.

Padłem na łóżko. Było mi niedobrze, czułem głęboki niepokój. Sięgnąłem po telefon i podniosłem słuchawkę. Odezwał się w niej głos siedzącego na dole Araba.

Czy ma pan może ocet? – spytałem. Chciałem zmoczyć octem kawałek materiału i położyć go sobie na czole, tak jak robiła moja babcia, gdy byłem mały i leżałem ogarnięty gorączką.

Ocet? – powtórzył recepcjonista. To hotel, nie mamy octu.

*Cball\*\*\*\**, powiedziałem.

---

\* O, tak. Tu wszyscy nimi jesteśmy, bracie (franc).

\*\* A. Camus, *Obcy*, przeł. M. Zenowicz, Warszawa 1967.

\*\*\* Ibidem. Dalsze cytaty z *Obcego* według tego wydania.

\*\*\*\* Ocet (arab.).



Recepcjonista się rozłączył. Rzuciłem telefon na podłogę i poszedłem do łazienki. Wyrzuciłem przez okno – na zewnątrz szalał piasek, zasypując wszystko niczym morskie fale rozpryskujące się po dokach i portach. Daleko na pustyni widziałem Rommla przesuwającego się ze swoimi ludźmi na wschód. Wyjąłem pistolet i przykucnąłem przy oknie, czekając, aż będą pod nim przechodzić.

Przyleciała kuropatwa i usiadła na parapecie. „Dam ci znać, kiedy nadejdą”, powiedziała.

Obudziłem się jakiś czas później, nie wiedząc, która godzina. Miałem przemoczoną koszulę. Pustynne pragnienie kazało mi iść do łazienki. Napełniłem szklankę u wodopoju i wypiliśmy. Spojrzałem w lustro: miałem mokre włosy, byłem wychudzony, okrągłe oczy były zaczerwienione i zdawały się tonąć w żółtej skórze wysokich kości policzkowych. Moje ubranie pokrywał pył. „Zapewne czołgałem się pod okiem wroga w gorącym piasku”, pomyślałem. „Zapewne uciekłem przed wysokimi skórzanymi buciorami przeciwników”.

Wziąłem prysznic, a pod strumieniem wody dotknąłem czoła. Nie miałem już gorączki. Kiedy wyszedłem spod prysznica, spojrzałem na zegarek. Była czwarta po południu, ale niewiele mi to mówiło, bo nie pamiętałem, kiedy dokładnie Paryż zaczął przesuwać się na południe ani kiedy wreszcie opuścił swe kolonie i przemieścił się z powrotem na północ.

Zadzwoeniłem do siedzącego na dole Algierczyka i zapytałem go, czy pamięta, jaki był dzień, kiedy go pytałem, czy nie ma octu. Roześmiał się i nie odpowiedział. Zapytał za to, czy już skończyłem książkę.

Powiedziałem, że nie.

„Dzisiaj umarła mama. Albo wczoraj, nie wiem”.

Pierwsze zdania książki rozbrzmiewały w mojej głowie bez przerwy, aż zacząłem się śmiać, takie to było absurdalne. Śmiałem się, wspominając daleką kuzynkę matki, która przyjechała z północy cała ubrana na czarno i melodramatycznie lamentując, rzuciła się na otwartą trumnę i ucięła sobie pogawędkę ze zmarłą. Mówiła do niej, że jej syn, Bassam, wciąż żyje, ale jest teraz samiuteńki, przypomniała matce o tym, że zbyt młodo umarła, na co wszystkie odziane na czarno kobiety wokół zaczęły jęczeć i ronić łzy w trzymane w dłoniach

chusteczki. Obraz zebranych wokół ciała mojej matki zapłakanych kobiet w czerni popijających kawę, całujących mnie w czoło, zawodzących żałobne pieśni i bijących się w piersi sprawił, że jeszcze bardziej chciało mi się śmiać. Przypomniałem też sobie ojca Sam'ana, grubego i niskiego brodatego księdza, który przyszedł do mojego pokoju, machając kadzidłem w stronę moich chłopięcych plakatów piłkarzy i skąpo odzianych dziewcząt, jak również na gołębie za szybą, które na widok ognia i dymu całym stadem wzbity się w górę i przysiadły na dachu naprzeciwko, przechylając głowy i przyglądając mu się uważnie. Pragnąłem tylko jednego: żeby ten tłum opuścił mój dom. Nie byłem pewien, kiedy matka umarła – czy było to dzisiaj, czy wczoraj, czy nawet dzień wcześniej. A tu proszę, te wszystkie kobiety rozmawiały z nią, jak gdyby wciąż ich słuchała. Robiły sobie kawę w kuchni, częstowały się papierosami, otwierały lodówkę w nadziei na znalezienie zimnej wody, cucity się nawzajem wodą różaną, mdlały niczym włoskie śpiewaczki operowe, zawodziły. A ja w ten dzień, dzień pogrzebu matki, widziałem tylko czarną zasłonę kryjącą wiele zalanych łzami głów, ciał połączonych pod czarną tkaniną, poruszających się z trudem, chwiejnym krokiem ogromnego rannego zwierzęcia. Potem przyszli mężczyźni, którzy przeciskali się pośród czarnych szat kobiet, unosząc trumnę siłą dwunastu ramion; ponieśli matkę na cmentarz przez ulice pełne samochodów i usadowionych na balkonach wścibskich sąsiadów – ludzkich sępów o zagiętych szponach. Szedłem w kondukcje i patrzyłem na wieńce przecięte białymi wstęgami, na których widniały dedykacje i nazwiska żałobników. Szedłem i nagle zorientowałem się, że ktoś mnie trzyma za ramię, w obawie, żebym nie zemdlął, nie poślizgnął się lub nie zaczął się czołgać za trumną. Spojrzałem tej osobie w oczy i poprosiłem o papierosa.

W Paryżu delikatne światło wieczoru pełzało po powierzchni chodników, powietrze za oknem poruszyła bryza, a z ulic podnosił się zapach świeżej wilgoci. Otworzyłem szufladę, wyjąłem z niej kopertę i przeliczyłem pieniądze. „Może mi starczy na tydzień, może na więcej”, pomyślałem. Pokój był wynajęty na jeszcze kilka dni, nie spodziewałem się jednak, żeby Rhea przedłużyła mi pobyt.

Wziąłem pieniądze i zszedłem na dół. Algierczyka już nie było, w recepcji siedział teraz jakiś Senegalczyk. Poprosiłem go, żeby przedłużył mi pobyt w hotelu na jeszcze jeden tydzień, na to samo nazwisko.

Kim jest Rhea? – spytał. Pokój jest wynajęty na nazwisko Rhei.

To moja dziewczyna, powiedziałem.

Pokiwał głową, o nic więcej nie pytał i zaczął wypełniać jakieś formularze. Zapłaciłem mu i wyszedłem. Chciałem poszukać czegoś do jedzenia. Rozmazane kształty rzucanych przez latarnie cieni kładły się na mokrych ulicach – wyglądały jak wijące się duchy w trenczach i z płonącymi włosami.

Kupiłem bagietkę z parówką. Potem poszedłem w stronę rzeki, oparłem się o poręcz i pogrzebałem bułkę w żołądku.

Pałace po drugiej stronie rzeki oświetlone były zielonymi i czerwonymi reflektorami. Mgła zdawała się obniżać niebo nad budynkami, wskutek czego miasto przybrało wygląd przyduszony i spokorniały.

Zszedłem po schodkach na brzeg rzeki, usiadłem na ławce i czekałem, aż mgła opadnie i dotknie tafli wody.

Wszystko teraz stało się niewidzialne, myślałem. Wszystko jest ukryte przed prawem, ludzkimi oczami, możliwością postrzegania. Taka pewnie jest śmierć, kiedy nic już nie widać.

Przyodziałem się w mgłę i spowity nią poszedłem w noc.

Następnego dnia zadzwonił telefon. Algierczyk powiedział: *Une nana t'attend en bas. Elle veut que tu descende* \*.

---

\* Na dole czeka na ciebie dziewczyna. Chce, żebyś zszedł (franc).

Wiedziałem, że to Rhea. Włożyłem spodnie jej ojca i zbiegłem boso po schodach. Czekala w holu, rozmawiając z mężczyzną, którego kilka dni temu napadłem. Oboje spojrzeli na mnie w milczeniu, potem popatrzyli na siebie.

Masz czas pójść z nami na kawę? – spytała Rhea trzeźwym, pragmatycznym tonem.

Tak, zaraz tu będę, powiedziałem.

Włożyłem skarpetki i buty oraz koszulę jej ojca, którą uprałem, ale której nie zdążyłem uprasować. Kiedy wyszliśmy z hotelu, mężczyzna przyglądał mi się w milczeniu. Jego twarz niczego nie wyrażała. Weszliśmy razem do kawiarni i usiedliśmy.

Rhea spojrzała na mnie karcącym wzrokiem i spytała przez zaciśnięte zęby: Masz zapalniczkę Rolanda?

Wyjąłem ją z kieszeni i oddałem mu.

A pistolet? Skąd masz pistolet? – pytała dalej.

Z Bejrutu.

Wjechałeś do kraju z pistoletem? – zapytał Roland, uśmiechając się cynicznie.

Tak.

W tym kraju posiadanie broni to poważna sprawa, powiedział Roland.

Wzruszyłem ramionami.

Rhea wyciągnęła rękę ponad stołem i ścisnęła mnie za ramię, mówiąc dobitnie: Słuchaj go, Bassam. Roland wie, co mówi! Posłuchaj go.

Roland rozejrzał się, jak gdyby wokół czaili się szpiedzy.

Musisz się go pozbyć, powiedział. Masz go teraz w torbie?

Tak.

*C'est pas vrai!*\* krzyknęła Rhea. Wyprostowała się i uderzyła otwartą dłońią w okrągły stół. *Mais c'est ridicule, non?*\*\*

---

\* To niemożliwe! (franc).

Wydź wieczorem i wrzuc go do rzeki, szepnął do mnie Roland.

Posłuchaj go, powtórzyła Rhea. Słuchaj go, on wie.

Wyrzuc go do rzeki i zapomnij o sprawie, powiedział Roland, po czym poszedł do baru uregulować rachunek.

Rhea patrzyła na swoje paznokcie. Unikała mojego wzroku, jej twarz zasłaniały spływające miękko włosy. Dookoła nas gwar, szepty i pomruki mieszały się z brzękiem sprzętów kuchennych, dymem z papierosów ulatniającym się z ust wzdychających kochanków oraz łagodnymi, smutnymi dźwiękami akordeonu, którego melodia tworzyła akompaniament dla naszego skrępowania i milczenia.

Gdy wrócił Roland, Rhea wstała i chwyciła swoją dużą torbę. Kiedy wychodzili, Roland podał mi paczkę papierosów, mówiąc: Proszę, weź – może to cię powstrzyma przed bohaterскими wyczynami w przyszłości.

Odepchnąłem jego rękę, mówiąc: Jeśli będę czegoś potrzebował, sam sobie wezmę.

Zostałem jeszcze przez chwilę w kawiarni, pijąc wodę mineralną, którą Rhea zamówiła, ale zostawiła nietkniętą.

Kiedy wyszedłem, spacerowałem ulicami Paryża, a ciężar pistoletu w torbie zdawał mi się większy niż wcześniej. Zastanawiałem się, czy tak samo bym chodził bez tego ciężaru na ramieniu, czy nie czułbym się nagi. Co by pomyślał cesarz, gdybym złożył broń w rzece? „To na pewno jakaś konspiracja”, pomyślałem. „Roland jest bogatym arystokratą, jeśli zaś stracę pistolet, nie zdołam przeciwdziałać rozszerzaniu się próżności, nepotyzmu i ucisku”.

Wróciłem do pokoju i czekałem, aż słońce zatoni w wodzie, a woda wzbierze i wypełni całą ziemię, pochłaniając wszystkie rzeki i strumienie. Leżałem na łóżku, pływając w pozycji idealnie równoległej względem niskiego sufitu. Uniosłem pistolet i wyciągnąłem

---

\*\* Ależ to śmieszne, prawda? (franc).

rękę. Wycelowałem w wiszący na ścianie obraz przedstawiający polujących na jelenie myśliwych i wężące przy ziemi psy.

Potem wycelowałem w siebie samego i spojrzałem prosto w lufę. Gdybym zamiast automatycznego miał pistolet bardziej hazardowy, czy wówczas igrałbym z losem? Czy zostawiłbym sobie jedną kulę, a potem zakręcił magazynkiem, tak jak podczas wojny w Bejrucie robiło wielu młodych mężczyzn po obejrzeniu filmu *Łowca jeleni*? Wielu z nich zginęło, grając w to, w co grał De Niro. Kilku z nas wiedziało, że Roger, syn wdowy Miriam, którejś nocy pociągnął za spust, a krew z jego mózgu poplamiała kokainę na stole, koszulę George'a, twarz Isama i moją pierś. Znieśliśmy go z Isamem po schodach i położyliśmy na tylnym siedzeniu jego samochodu. Nie ma co tamować krwi, powiedział George. Już po nim. Kiedy dojechaliśmy do szpitala, czekaliśmy w korytarzu, paląc bez cienia skruchy. Paliliśmy, aż wreszcie wyszedł jakiś paramedyk i zapytał nas o nazwisko zmarłego i o przyczynę zgonu. George mu powiedział, że Roger został zastrzelony podczas walk na *dżabha*. Facet nie kupił jego opowieści. Wyczuł kłamstwo, patrząc na nasze jedwabne koszule i czując zapach wody kolońskiej przebijający przez zapach krwi. Spojrzał na nas podejrzliwie i mruknął niepewnie: To był strzał z bardzo bliskiej odległości. George wziął go na stronę, położył mu dłoń na ramieniu i szeptał coś do ucha, a potem przesunął dłoń na jego kark i mówił dalej. W końcu uwolnił mężczyznę, odpychając go od siebie. Facet odszedł zły, zdjął kitel i cisnął go na znak protestu na nosze na kółkach, przeklinając wojnę, swoją pracę, bogów i ogarnięty szaleństwem kraj.

Na pogrzebie Zaghul zaśpiewał pieśń w stylu *zadżał*<sup>\*</sup>, a mężczyźni tańczyli z trumną. Matka Rogera chodziła po ulicach, krzycząc w stronę balkonów: Mój syn to *batal, batal*, urodziłam bohatera.

Gdy w Paryżu ponownie nastąpiła noc, poszedłem stanąć twarzą w twarz z rzeką. Przeklinałem wszystkie rzeki świata, od Jordanu po Missisipi. Stałem na skraju wody, trzymając w rękach torbę. Otworzyłem zamek. O, zdradzieckie rzeki, które nas obmywacie i pozostawiacie nagimi i zziębniętymi, krzychałem. Wyjąłem pistolet, ale go nie rzuciłem.

---

\* Odmiana arabskiej poezji stroficznej pisanej językiem potocznym.

Wróciłem do hotelu. Po drodze zatrzymałem się w sklepie i kupiłem plastikowe worki i linkę. Poszedłem do pokoju, zawiązałem pistolet w kilka toreb i zacisnąłem pakunek linką, którą zawiązałem na mocny supeł. Potem znów udałem się nad rzekę; wybrałem najbardziej odludny odcinek. Znalazłem stary, przerdzewiały most, który stał samotnie, bez świadków, w ciemności. Wszedłem pod przęsło i zobaczyłem ślady bezdomnego życia i wygasłe ogniska. Obwiązałem jeden koniec linki wokół metalowej belki mostu i wrzuciłem pistolet do wody. Poszedł na dno, dołączając do przerdzewiających kul armatnich, spragnionych martwych żołnierzy i cesarskich koni, które pasły się w odmętach rzeki.

Wróciłem do hotelu, czując nieznośną lekkość. Torba na moich plecach zdawała się bezsensowna, nieużyteczna, niczym echo jakiegoś owada brzęczącego pod moim uchem.

W pokoju zauważyłem, że posłano mi łóżko. W łazience pojawił się zapas świeżego mydła i czysty ręcznik. Końcówka papieru toaletowego została elegancko zawinięta.

Otworzyłem okno i wpuściłem do środka powietrze. Lecąca z prysznica mżawka opadała na pokryte mydlaną pianą części mojego ciała. Kiedy zakręciłem wodę, chwyciłem ręcznik i wytarłem nim skórę.

W samej bieliźnie sięgnąłem po książkę. Otworzyłem i przeczytałem: „Czy chociaż wyraził skruchę? Nigdy, panowie sędziowie. Ten człowiek ani razu w czasie śledztwa nie zdawał się być poruszony swoją ohydłą zbrodnią”.

Pewnie, że nie, odpowiedziałem. Dlaczego miałby być? Wszyscy zgodziliśmy się wziąć w tym udział. To był nasz wybór, każdy z nas kręcił magazynkiem własnego pistoletu, każdy miał cztery szanse na pięć. Wszyscy działaliśmy zgodnie z własnymi przekonaniem, powodowało nami uczucie. Pyta pan: z jakiej przyczyny? Panie prokuratorze, podczas gdy wszyscy się tu pocimy na tej sali sądowej pełnej sędziów i Francuzów, przyczyny są tylko użyteczną fikcją.

Wyszedłem z sądu i przerzuciłem stronę książki. Przeczytałem: „I naraz schwycił mnie za gardło bezsensu wszystkiego, co tutaj robiłem i zapragnąłem już tylko jednego – skończyć z tym jak najszybciej, znaleźć się w celi i zasnąć”.

## 19

Rano zadzwonił telefon.

Mówi Roland, usłyszałem głos po drugiej stronie linii.

Tak.

Powinniśmy się spotkać, ale przyjdź bez tamtego przedmiotu.

Jest w rzece.

O, świetnie, świetnie, znakomicie. Przyjdź zatem dziś po południu. Musimy porozmawiać. Spotkajmy się o czwartej przy stacji metra Montparnasse.

Wyszedłem z hotelu, żeby napić się kawy.

Hakim (dowiedziałem się, że tak ma na imię Algierczyk z recepcji) spytał mnie, czy skończyłem książkę.

Tak, powiedziałem, ale chcę ją zatrzymać.

Roześmiał się i powiedział: Może kiedyś przyjdzie ci zapłacić za swoje czyny.

Nie mam nic przeciwko.

Roland czekał na mnie na stacji metra. Jak zwykle był elegancko ubrany i uczesany, pachniał wodą kolońską. Wyszliśmy ze stacji i wsiałem do jego renault.

Jesteś głodny? – spytał Roland.

Tak.

Dobrze. To pojedziemy do mnie, zrobię ci coś do jedzenia.



W mieszkaniu Rolanda pełno było obrazów, figurek i kobierców. Z dużego otwartego okna rozpościerał się widok na wieżę Eiffla. Roland wyjął ze skromnej piwniczki na wino butelkę i przelał jej zawartość do karafki. Po upływie kilku minut nalał mi wina do kieliszka.

Czy Rhea też przyjdzie? – zapytałem po drugim łyku.

Nie.

Jest zła?

Tak, ale chce też pomóc. Rhea jest nie dla ciebie. Jej życie jest inne niż twoje.

To dlaczego chce pomóc? – spytałem.

Rhea ma uporządkowany system wartości i wierzy w Boga. Uważa cię też za kogoś, kto ją zbliża do brata. Tego wieczoru, gdy szedłeś za nami, mówił Roland, lejąc oliwę na patelnię, rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób można by ściągnąć George'a tu do Paryża. Rhea się martwi o brata. Mimo że nigdy go nie widziała, jej ciekawość pomału przemienia się w coś w rodzaju... jak by to powiedzieć. Nie nazwałbym tego miłością, może raczej obsesją.

To chyba normalne, prawda? – zauważyłem.

Czy to normalne dać się zauroczyć kimś, kogo się nigdy nie widziało? Nie wiem. Ale staram się rozumieć, bo może czuje się bardzo samotna, pozbawiona rodziny.

Jak pan ma na nazwisko? – spytałem.

Na nazwisko? Zdawał się zaskoczony. Meusiklie.

Ta zapalniczka nie należała do pana, powiedziałem. Inicjały nie pasują do pana nazwiska.

Należała do Claude'a, ojca Rhei.

Dał ją panu?

Nie. Zatrzymałem ją po jego śmierci.

Przyjaźniliście się?

Właściwie to pracowaliśmy razem.

W dyplomacji?

Tak, w dyplomacji, zaśmiał się Roland.

Czemu się pan śmieje? – spytałem.

Rhea nazywa nas szpiegami.

I ma rację?

No cóż, w pewnym sensie może nawet wszyscy dyplomaci są szpiegami.

Dlaczego więc pan mnie tu zaprosił?

Rhea mnie poprosiła, żebym ci pomógł. Na początku nie miałem na to ochoty, ale się upierała. Musisz wyjechać z Francji. Nie masz dokumentów i przez wiele lat ich nie zdobędziesz, a prędzej czy później policja wpadnie na twój trop. Zakładam, że nie masz też pieniędzy, bo w przeciwnym razie nie szukałbyś desperacko sposobów na zdobycie papierosów. Wiesz, co mam na myśli.

Roland puścił do mnie oko.

Tak więc, drogi młodzieńcze, oto, co ci proponuję. Mam nadzieję, że lubisz *escargots à la sauce au basilic*\*? W skrócie, oto, co proponuję. Jeszcze wina?

Nalał sobie do kieliszka, posiekał pietruszkę, po czym odwrócił się i umył ręce.

No cóż, tak jak mówiłem... Przynieś tu swój kieliszek... Oto, co proponuję. Kanada.

Kanada, powtórzyłem.

Tak. Zadzwońisz do faceta, który zna kogoś, kto zna kogoś innego, kto może ci załatwić podrobioną wizę do Kanady.

Teraz mówi pan jak prawdziwy szpieg.

Bystry jesteś. W samej rzeczy, bystry z ciebie młodzieniec. Przywiozłeś ze sobą paszport czy tylko broń? – zapytał z uśmiechem.

---

\* ślimaki w sosie bazyliowym (franc.)

Tak, mam paszport.

Dobrze, nie jesteś więc aż tak nieodpowiedzialny. Wsiądziesz do samolotu, a gdy wylądujesz na lotnisku w Montrealu, poprosisz o status uchodźcy. Później dam ci numer tej osoby. Rhea powiedziała, że za wszystko zapłaci – za bilet i całą resztę. Skontaktuje się z tobą w tej sprawie. No dobrze, to teraz zjedźmy. A, tak przy okazji – czy przed wyjazdem widziałeś się może z George'em?

Nie, powiedziałem.

Roland pokręcił głową i wskazał mi miejsce przy stole.

Następnego ranka poszedłem do najbliższej budki telefonicznej.

Wybrałem numer, który podał mi Roland. Odebrała kobieta. Powiedziałem, że dzwonię w sprawie garnituru na ślub za miastem.

Jaki kolor i rozmiar? – spytała.

Kolor niebieski, rozmiar siedem.

Dobrze. Gdzie możemy się spotkać?

Na stacji metra Montparnasse. Będę miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami zakrywającymi dłonie.

Jutro rano o ósmej trzydzieści, powiedziała. Znajdę pana.

Rozłączyłem się, po czym wstąpiłem do pobliskiej kawiarni i zamówiłem filiżankę kawy. Kelner był bardzo uprzejmy i zwracał się do mnie *monsieur*. Otworzyłem gazetę i przeglądałem ją bez pośpiechu.

Zauważyłem notkę o bombie podłożonej w samochodzie w Bejrucie Wschodnim – pięć osób zginęło, trzydzieści zostało rannych. Zdjęcie pokazywało prowadzoną do karetki zalaną krwią kobietę.

Przesunąłem się bliżej okna i gapiłem na zdjęcie. Chciałem sprawdzić, czy będę w stanie rozpoznać tę kobietę lub kogokolwiek innego na zdjęciu. Podpisane było „Al-

Aszrafijja”, nazwą dzielnicy, w której mieszkałem. Na ziemi pełno było szkła i gruzu, w tle zaś stał mężczyzna, wskazując palcem balkon nad swoją głową. Historia opisana w gazecie była irytująco skupiona na faktach, bez żadnej narracji ani dociekań.

Choć wyteżalem wzrok, nie byłem w stanie rozpoznać żadnej osoby na zdjęciu. Popijałem więc kawę, a kiedy kelner odwrócił wzrok, ostrożnie wyrwałem tę stronę z gazety, złożyłem pod stołem i schowałem do kieszeni.

Wróciłem do hotelu i wszedłem na górę do pokoju. Wyciągnąłem stronę gazety z kieszeni i rozpostarłem na biurku. Potem położyłem się na łóżku i patrzyłem na ściany. Po chwili wziąłem do ręki książkę. Zbliżałem się już do końca. Przeczytałem: „Powiedziałem, że od miesiący przyglądam się tym murom. Nie istnieje na świecie nic ani nikt... Życie, w którym mógłbym wspominać obecne”.

Zamknąłem książkę i spojrzałem w słońce, które wślizgnęło się do pokoju niczym melancholijne pocieszenie.

Po południu poszedłem do mieszkania Rhei i czekałem przed kamienicą. Nie zadzwoniłem, ale starałem się być widoczny. Stałem w pełnym świetle. Drżałem jak liść na wietrze. Palilem i wypuszczałem indiańskie sygnały dymne, żeby ją ostrzec przed swoim przybyciem.

Wkrótce ujrzałem długi płaszcz i parasol Rhei – przesuwały się nad chodnikiem i powoli zbliżały w moją stronę; zdawały się coraz większe. Rhea mnie dostrzegła i minęła, unikając mojego spojrzenia. Poszła prosto do swoich drzwi.

Podszedłem do niej i skryłem się pod jej parasolem. Rozmawiałem z Rolandem, powiedziałem przy akompaniamencie deszczowych kropel.

To dobrze. Możesz teraz wyjechać.

Chcesz, żebym wyjechał?

Słuchaj, zrobiłeś coś niewybaczalnego i szczerze mówiąc, dość przerażającego. Na początku Roland nie chciał ci pomóc, ale go uprosiłam.

Czemu mi pomagasz?

Robię to dla George'a.

Otworzyła drzwi wejściowe do budynku, zanim jednak zdążyła je za sobą zamknąć, przytrzymałem je i zapytałem, czy mogę wejść.

Nic nie odpowiedziała, więc poszedłem za nią. W windzie nie odzywała się ani słowem; przez cały czas patrzyła na swoje buty. Były czarne i błyszczące, miały okrągłe, płaskie noski i niewielkie obcasy. Na skórze zebrały się krople deszczu. Poszedłem za nimi długim korytarzem. Szedłem za jej butami z czarnej skóry jak przemoczony szczeniak – jeden z wielu pudli, które przecinają ulice Paryża rozrastającą się pajęczą siecią smyczy trzymanyh przez ich właścicielki.

Rhea otworzyła drzwi do mieszkania i wrzuciła klucze do miseczki. Weszła do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Potem wyszła i spytała, czy jestem głodny.

Powiedziałem, że nie.

Dzwoniłeś tam?

Tak.

To dobrze. Czyli jesteś zdecydowany.

Nie, ale zadzwoniłem.

Tu nie ma dla ciebie przyszłości. Musisz wyjechać.

Wziąłem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie. Próbowwała mi się wyrwać, ale trzymałem ją mocno. Odwróciła ode mnie twarz, zasłaniając ją miękkimi włosami. Powoli je uniosłem i gładziłem ją po twarzy. Stała nieruchomo, nie wiedząc, co robić. Pocałowałem ją w policzek, a potem w szyję. Kiedy dotarłem do jej ust, wciąż miała je zaciśnięte.

Jesteś przemoczony, powiedziała. Idź lepiej do domu i się przebierz. Delikatnie mnie odepchnęła. Zadzwon do mnie, kiedy już będziesz miał wizę. Zarezerwuję ci bilet.

Wyszedłem z mieszkania i po własnych śladach mokrego pudła przemierzyłem korytarz. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem, że Rhea patrzy za mną przez nieznacznie uchylone drzwi.

Następnego dnia stałem przy wejściu na stację metra Montparnasse. Około czterdziestoletnia kobieta pociągnęła mnie za rękaw i uśmiechnęła się. Szła przede mną, a ja ruszyłem za nią. Dotarliśmy do niewielkiego parku, w którym stało kilka ławek. Usiadła i spojrzała mi prosto w twarz.

Kiedy pan tu przyjechał?

Kilka tygodni temu.

Pokiwała głową. Skąd?

Z Libanu.

Sytuacja jest tam nieciekawa, powiedziała z akcentem, którego nie potrafiłem zidentyfikować. Czemu pan wyjechał?

Nie jestem tam już mile widziany.

Przez kogo?

Przez władze.

Czy mógłby pan być trochę bardziej konkretny?

Chce pani usłyszeć całą historię? – spytałem. Oskarżono mnie o zabójstwo, którego nie popełniłem. Byłem torturowany.

Postawiono pana przed sądem?

Nie.

Kto pana torturował?

Falangiści.

Dlaczego?

Tak jak mówiłem, oskarżyli mnie o kradzież i zabójstwo!

Najpierw mówił pan o zabójstwie. Nie wspominał pan o kradzieży.

No tak, ale o to też.

Proszę mi więcej opowiedzieć o tych torturach. Poddawano im pana tylko, czy razem z przyjacielem lub kimś z rodziny?

Tylko mnie.

W jaki sposób?

Opowiedziałem jej o Rambo. O kąpielach, zanurzaniu głowy w wodzie i wyciąganiu jej w ostatniej chwili. Opowiadałem o pozbawianiu mnie snu, przejażdżkach samochodem i długich przesłuchaniach.

Jak pan sądzi, czemu wybrali właśnie pana?

Mieli na mnie oko, ponieważ paliłem haszysz, ale chyba również dlatego, że ich przywódca wie, iż mój wuj jest komunistą.

Kobieta zadawała mi wiele pytań. Chciała znać szczegóły, na przykład moje pełne imię i nazwisko, wiek i dokładną datę opuszczenia kraju.

Chciałam się z panem spotkać, powiedziała, po pierwsze dlatego, że potrzebny mi pana paszport, a po drugie, żeby pan wiedział, że nie robimy tego dla zysku. Robimy to wyłącznie dla uchodźców. Jesteśmy podziemną organizacją humanitarną. Rozumie pan?

Tak, powiedziałem.

Dobrze. Ma pan przy sobie paszport?

Tak.

To dobrze. Widzi pan tamtą taksówkę?

Ten nieduży biały samochód? – upewniłem się.

Tak. Kiedy odejdę, proszę wsiąść do tego samochodu i pozwolić się odwieźć do domu. Proszę zostawić paszport w taksówce. Damy panu znać, kiedy wiza będzie gotowa. Aha, i

proszę nie rozmawiać z kierowcą i nie dzwonić więcej pod nasz numer. Proszę unikać policjantów i zatłoczonych miejsc. Proszę się nie dać aresztować. Skontaktujemy się z panem, gdy wszystko będzie załatwione.

Wsiadłem do taksówki. Podczas jazdy rzuciłem paszport na siedzenie. Kiedy dotarliśmy do mojego hotelu, powiedziałem: Tu mieszkam.

Taksówkarz podał mi taryfę za kurs.

Minęły dwa dni, a ja nie próbowałem kontaktować się z Rheą. Skończyłem czytać książkę. Wrzuciłem ją do torby, w nadziei, że dzięki temu odzyska choć część ciężaru, jaki utraciła, gdy się pozbyłem pistoletu.

Pewnej księżycowej nocy poszedłem z powrotem w miejsce, gdzie ukryłem pistolet. Miałem nadzieję, że może wypłynął na powierzchnię i teraz unosi się na wodzie, opierając się prądom rzeki. Lub może przeszedł w posiadanie jakiegoś martwego francuskiego żołnierza. Może wykorzystywał swą szybkość strzału, celność i funkcje półautomatyczne, żeby spod wody strzelać do przepływających statków wycieczkowych i zatapiać bawiących na nich amerykańskich agentów, którzy udawali turystów i koneserów wina.

Przez chwilę stałem, wypatrując na wodzie pęcherzyków powietrza, z nadzieją, że pistolet wyskoczy na powierzchnię jak ryba, w pogoni za unoszącymi się nad rzeką narcystycznymi muchami gapiącymi się na własne odbicie w lustrzanej tafli. Nic się jednak nie poruszało. Później zaś usłyszałem strzały stłumione przez płynącą rzekę i zorientowałem się, że ktoś odwinął moją broń. Ostrożnie podszedłem do samego brzegu, pochyliłem się i zobaczyłem przesuające się kształty, które wznosiły się nade mną, oraz własne odbicie. W moich oczach mieniły się sceny bitewne z Bejrutu: zobaczyłem siebie jako dziecko, biegnącego za Al-Wutwatem, który strzelał zza worków z piaskiem ze swojego AK-47, a ja małymi dłońmi zbierałem jeszcze ciepłe puste naboje i chowałem je za koszulę, która układała się jak kieszeń kangura. Widziałem też radość na swojej twarzy, gdy w podskokach (jak kangur) wracałem do domu, a potem wymieniałem zebrane skarby z dziećmiakami z sąsiedztwa.



\*

Przez kolejne dwa dni ani Rhea, ani kobieta od wiz się nie odzywały. Pierwszego ranka wsiadłem do metra i pojechałem pod wieżę Eiffla. U metalowych stóp potwora łazili drobni jak mrówki turyści. Zadzierali głowy w górę, osłaniając oczy małymi plastikowymi aparatami fotograficznymi, pozowali pod wieżą jak uśmiechnięte figury, przyciskając palcem wskazującym maleńkie guziczki, które wysysały światło z ich uśmiechniętych twarzy i zapisywały upływ czasu na ukrytych obrazach stanowiących dowód ludzkiego istnienia i nietrwałości życia.

Siedziałem i obserwowałem gołębie, jak się karmiły wypadającymi z dziecięcych ust słodkimi okruchami. Patrzyłem na lądujące wokół autokary z turystami; wychodzili niepewnym krokiem, jak zawieszeni w kosmosie astronauty, z torbami pełnymi map i przewodników, które być może zawierały wskazówki pomagające rozwikłać tajemnicę księżycy. Książki te zawierały informacje o tym, jak ważny jest wybór odpowiedniej restauracji, i objaśniały drogę do odpowiednich muzeów, gdzie spoczywały strzępy historii i imperialne łupy poukładane w szklanych menażeriach, które należało odwiedzać rano, zaraz po śniadaniu kontynentalnym spożywanym z nostalgią za kolejkami do bufetu, podłużnymi pojemnikami ze stali nierdzewnej, pomarszczonymi jajkami sadzonymi, smażonymi ziemniakami bez smaku, neonowymi dżemami, gliniastym chlebem tostowym i lurowatą kawą, którą popijali w rytm płynącej z kuchni muzyki big-bandów, okraszonej nuceniem czarnego kucharza za wahadłowymi drzwiami, których okrągłe okienka przypominały te na statkach sunących w takim samym rytmie po Missisipi, załadowanych mąką, kukurydzą i tłustym bekonem dla turystów.

Drugiego ranka zostałem w łóżku, Paryż zaś znieruchomiał i ani drgnął. Czekałem, aż zmieni się sceneria za oknem, ale wciąż pozostawała taka sama.

Z końca ulicy wezwał mnie rząd powracających z bitwy żołnierzy. W końcu więc wstałem z łóżka i pomaszerowałem w stronę Łuku Triumfalnego. Przekroczyłem szeroką ulicę pełną niecierpliwych, jeżdżących w kółko samochodów. Przeszedłem pod łukiem i ogłosiłem swoje zwycięstwo nad wszystkimi wrogami. Kiedy się znalazłem po drugiej

stronie, postanowiłem coś zjeść. Włóczyłem się po mieście, szukając jedzenia. Usiadłem przy stoliku w kawiarni i przyglądałem się pędzącym po chodnikach ludziom. Zjadłem, co mi zaoferowano, zapłaciłem i wróciłem piechotą do hotelu.

Hakim z recepcji miał dla mnie wiadomość: Mój garnitur jest gotowy do odbioru, mam przyjść po niego jutro o tej samej porze, w tym samym miejscu.

Tej nocy zapragnąłem zobaczyć się z Rheą. Poszedłem pod jej dom i obserwowałem z ulicy jej sypialnię. Miała włączone światło. Za każdym razem, gdy jej cień omiatał szybę, chowałem się za ścianą, wymazując z ulicy swoją postać.

Trzeciego ranka spotkałem się z kobietą od wiz. Poszliśmy do tego samego parku, w którym rozmawialiśmy przedtem. Usiedliśmy na tej samej ławce.

Załatwione, powiedziała. Proszę posłuchać, co ma pan zrobić. W samolocie, zanim pan przyleci do Montrealu, niech pan pójdzie do toalety. Musi pan podrzeć paszport i wrzucić do sedesu. Nie może po nim zostać ani śladu. Potem, kiedy pan wysiądzie z samolotu, niech pan powie strażnikowi, że prosi pan o status uchodźcy. Musi pan koniecznie podrzeć ten paszport. Ma pan przy sobie jakieś inne dokumenty tożsamości?

Tak, mam libański akt urodzenia.

Może go pan zatrzymać. No dobrze, dzisiaj wieczorem niech się pan uda pod ten adres. To restauracja. Ktoś tam przyjdzie i przekaże panu paszport. Proszę być na miejscu około ósmej wieczór. Powodzenia!

Patrzyłem, jak odchodzi. Obserwowałem, jak szybkim krokiem idzie wśród tłumu, stapiając się z płaszcami i aktówkami, znikając z mojego życia na zawsze.

Wieczorem poszedłem do restauracji. Zamówiłem piwo i paliłem papierosa, kontemplując noc, tak jak czynią mieszkańcy Paryża.

W lokalu były nieduże okrągłe stoliki stojące tak blisko siebie, każdy wdychał dym pozostałych gości. Okrągłe, stłoczone stoliki tworzyły wzór nakładających się na siebie

okręgów. Tu i tam ich monotonię przecinał biały fartuch kelnera przechodzącego pomiędzy stolikami i przecinającego wzór niczym nożyczki. Czekałem, a po upływie godziny zacząłem się denerwować. Nikt do mnie nie podchodził, ja też nie rozmawiałem z nikim oprócz kelnera, który w końcu podszedł do mnie z rachunkiem, pochylił się i powiedział: *C'est déjà dans ta poche*\*.

Wyszedłem i sprawdziłem kieszenie. W jednej z nich był paszport.

Teraz mogę lecieć, pomyślałem. Poleciałem więc nad Paryżem, obserwując kapelusze przechodniów unoszące się nad ziemią jak ruchome cele, psy obwąchujące swoje mokre ogony, krążące wkoło i goniące się jak psy światła samochodów. Im wyżej zaś się wznosiłem, tym mniejsi zdawali się ludzie – coraz mniejsi i mniejsi, maleńcy i nieznaczący, a domy i ulice układały się w wycięte w kształt stołów okręgi, wokół których zadumani artyści palili papierosy, przyczyniając się do gęstnienia paryskiej mgły, która skrywała ich głębokie przemyślenia przed unoszącymi się nad miastem ludźmi i wężącymi psami.

Kiedy wylądowałem na ziemi, minąłem Senegalczyka w recepcji, z którym zapomniałem się nawet przywitać, i pobiegłem prosto do pokoju. Otworzyłem paszport: była w nim wbita kanadyjska wiza.

---

\* Masz go już w kieszeni (franc).

Następnego ranka obudziłem się wcześniej, pobiegłem do kamienicy Rhei i zadzwoniłem domofonem. Odezwał się jej zaspany głos.

Mam wizę, powiedziałem.

*Tu veux du café?*\* – spytała.

*Oui*, odpowiedziałem.

Wpuściła mnie, naciskając guzik domofonu. Na górze zastałem ją chodzącą niespiesznie po kuchni. Miała na sobie cienką białą przezroczystą koszulę nocną. Najwyraźniej wyczuła, że mój wzrok przewierca jej kuse ubranko, bo obejrzała się nagle i przyłapała mnie. Bez słowa poszła do swojego pokoju, przebrała się w codzienne ubranie, po czym wróciła i usiadła naprzeciwko.

Co porabiasz ostatnimi czasy? – spytała.

Czytam i spaceruję, powiedziałem.

Pokiwała głową. Co czytasz?

Historię o kimś, kto zabija Araba w Algierii.

*Obcego?* – spytała.

*Oui, c'est ça.*\*\*

Uśmiechnęła się. Chodź, usiądziemy na balkonie, powiedziała. Minie jeszcze kilka dni, zanim dostaniemy bilet lotniczy. Dziś dowiem się u Monique, agentki biura podróży.

Czy przez ten czas dasz radę nie wpakować się w żadne kłopoty? Nie bardzo lubię być śledzona.

---

\* Chcesz kawy? (franc).

\*\* Tak, właśnie (franc).

Dopaliłem papierosa.

Chciałbym znów się z tobą przespać, powiedziałem.

Może, ale dopiero tuż przed wyjazdem, powiedziała Rhea. Nie dziś ani jutro, ale może w noc przed odlotem. Dziś wieczorem jest impreza u jednego z moich przyjaciół. Możesz przyjść, jeśli obiecasz, że będziesz umiał się zachować i grzecznie poprosisz, jeśli ci czegoś będzie trzeba.

Wieczorem znów poszedłem do mieszkania Rhei. Razem pojechaliśmy taksówką na imprezę w ogromnym, podłużnym lofcie, w którym paliło się kilka czerwonych lamp sufitowych i stały puszyste fioletowe sofy. Przy wejściu zebrał się zblazowany tłumek ludzi, którzy mają w zwyczaju nie zwracać uwagi na wchodzących – przypominali rośliny doniczkowe w zastygłych pozach. W kącie tańczyli posiadacze farbowanych włosów i obcisłych skórzanych spodni, wykonując księżycowe ruchy. Rhea zniknęła, ja zaś stałem oparty o ścianę z butelką piwa w dłoni. Przyglądałem się torebkom, wysokim szpilkom, czarnym koronkowym pończochom i ekstrawaganckim fryzutom kobiet.

Po jakimś czasie zauważyłem Rheę. Rozmawiała z jakimś mężczyzną, a potem on wszedł za nią na górę po schodach. Rhea prowadziła, a facet szedł za nią, kołysząc się w rytm głośnej muzyki.

Podszedł do mnie chłopak z ustami umalowanymi czarną szminką i artystycznie rozczochranymi włosami.

Hej, *t'es l'ami de Rhea?*\*

Tak, odpowiedziałem.

Jestem jej fryzjerem, powiedział on.

Jej matki pewnie też?

---

\* Jesteś kumplem Rhei? (franc).

*Bien oui, je connais la connasse\**, zaśmiał się, kołysząc w przód i w tył swym chudym ciałem o jedwabistej skórze.

Co jest na górze? – spytałem.

A, to takie miejsce, gdzie można sobie odlecieć, powiedział, patrząc w sufit.

Dokończyłem piwo i wszedłem w głąb przestrzeni. Wszyscy dookoła w nonszalancki sposób udawali, że są szalenie ważni, przybierając nowoczesne pseudoartystyczne maski. Gdybym tylko miał przy sobie pistolet, pomyślałem ze smutkiem. Zastrzeliłbym ich wszystkich na schodach ich pałaców.

Pół godziny później znudziły mnie te zbiorowe popisy wyluzowania, rozwlekłe rozmowy i posągowe pozy. Dorwałem fryzjera i powiedziałem: Słuchaj, możesz pójść na górę i powiedzieć Rhei, że wychodzę?

A co z tego będę miał? – spytał z uśmiechem, opierając ręce na biodrach.

Nic, zupełnie nic. Po prostu wyświadczysz mi przysługę, powiedziałem. Kiedy zaś nadejdzie rewolucja, może nie przebiję ci głowy bagnetem.

Zrobię to wyłącznie dla twojego akcentu, wielkich oczu i długiach rzes, odparł fryzjer, po czym szybko odwrócił się na pięcie i z wdziękiem lamy zaczął wchodzić po schodach.

Nie mogłem jej znaleźć, powiedział, kiedy wrócił. Jinni mówi, że chyba już wyszła.

Wyszedłem na ulicę, gdzie zobaczyłem Rheę rozmawiającą z tym samym mężczyzną, z którym wcześniej była w środku. Atmosfera między nimi była napięta – Rhea wyglądała na wzburzoną, facet zaś był wyraźnie wściekły. Czekałem, obserwując ich z daleka. Nagle mężczyzna chwycił Rheę za ramię i pociągnął w stronę samochodu.

Podbiegłem do nich i odciągnąłem go od niej.

Rhea zaczęła płakać. Facet wyciągnął z kieszeni nóż i zaczął nim przede mną wymachiwać. Rhea podbiegła do niego, błagając: *Non, Moshe. Arrête! Cest un ami à moi.*\*\*

---

\* Pewnie, znam tę cipę (franc).

\*\* Nie, Mosze. Przestań! To mój przyjaciel (franc).

Idź stąd, Bassam! – krzyknęła do mnie. Czemu za mną chodzisz?

Stałem w miejscu.

Rhea ujęła mężczyznę za ramię. *Va t'en!*<sup>\*</sup> – krzyczała dalej w moją stronę. Potem otworzyła drzwi samochodu i powiedziała do niego: *Bien voilà*<sup>\*\*</sup>, pojedę z tobą.

Facet wepchnął ją do samochodu, a sam przeszedł na drugą stronę i usiadł za kierownicą. Tobą zajmę się później, powiedział, celując we mnie palcem, po czym odjechał.

Zapamiętałem numer rejestracyjny samochodu i wróciłem na imprezę, powtarzając ten numer jak mantrę. Odszukałem fryzjera, chwyciłem jego torbę, wyjąłem z niej czarną kredkę do oczu i szybko zapisałem numer na ścianie. Potem poprosiłem go, żeby mi pomógł znaleźć kawałek papieru. Zniknął gdzieś, po czym wrócił z pustą paczką po papierosach. Rozdarłem ją i zapisałem na niej numer.

Kiedy już ostatecznie stamtąd wychodziłem, fryzjer spytał, czy nie chciałbym też sobie zapisać jego numeru.

*Putain de macho!*<sup>\*\*\*</sup> – krzyczał za mną, a jego słowa niosły się echem po krętej klatce schodowej.

W drodze powrotnej do hotelu przyszło mi do głowy, żeby zadzwonić do Rolanda. Może on byłby w stanie pomóc Rhei. Zatelefonowałem do niego z pokoju i go obudziłem. Opowiedziałem mu, co się stało.

Lepiej się nie wtrącać, uciał Roland i się rozłączył.

Następnego dnia aż do popołudnia leżałem w łóżku. Rano dzwoniłem do Rhei, ale nie odbierała.

W końcu zwlokłem się i zszedłem do recepcji.

Hakim, spytałem, jesteś moim kumplem, prawda?

---

\* Idź stąd! (franc).

\*\* No i proszę (franc.).

\*\*\* Cholerny macho! (franc).

Hakim roześmiał się i spytał: O co chodzi?

Mam małe pytanko. Czy można dowiedzieć się czyjegoś nazwiska i adresu na podstawie numeru rejestracyjnego samochodu?

Zostaw mi ten numer, powiedział. Ale to cię może trochę kosztować.

Ile?

Później, powiedział. Zobaczę, co się da zrobić, bracie.

Ponownie zadzwoniłem do Rhei. Tym razem odebrała.

Idę do ciebie, powiedziałem.

Nie! – krzyknęła.

Idę do ciebie, powtórzyłem.

Nie, powiedziała. Nie wpuszczę cię.

Poszedłem do jej kamienicy i nacisnąłem guzik domofonu.

Idź stąd! – powiedziała.

Trzymałem palec na guziku domofonu.

Potem zobaczyłem przez szybę w masywnych drzwiach, że od windy zmierza w moją stronę starsza pani z dwoma podobnymi do jamników pieskami. Podeszedłem do drzwi, a kiedy je otworzyła, powiedziałem nadzwyczaj uprzejmie: *Laissez-moi vous aider, madame* \*.

Przytrzymałem starszej pani drzwi, po czym wszedłem do budynku.

Wjechałem windą na górę, podbiegłem do mieszkania Rhei i zapukałem.

Otworzyła drzwi, lecz kiedy spostrzegła, że to ja, próbowała je zamknąć. Wcisnąłem jednak stopę do środka i mocno pchnąłem drzwi.

Wynoś się! – powiedziała i pobiegła do kuchni. Wynoś się! – krzyczała. Wynocha!

---

\* Proszę pozwolić sobie pomóc, proszę pani (franc).



Zauważyłem, że ma podbite oko. Włosy miała potargane, była wyraźnie zmęczona.

Kim jest ten facet, z którym byłaś wczoraj? – spytałem.

Wynoś się, powtórzyła i otworzyła szufladę, zanurzyła w niej dłonie, gorączkowo dzwoniła metalowymi sprzętami, aż w końcu wyciągnęła nóż i zaczęła nim wymachiwać.

Mówiłam ci, żebyś za mną nie łąził i nie wtrącał się w moje życie!

Podszedłem do niej, a ona zaczęła się powoli cofać. Złapałem ją za nadgarstek i wyrwałem jej nóż z dłoni. Potem zaciągnąłem Rheę z powrotem do salonu, rzuciłem na kanapę i powiedziałem: Wiem, że George życzyłby sobie, żebym cię chronił, i będę to robić, dopóki tu jestem.

George! – krzyknęła Rhea. George nawet nie wie o moim istnieniu. Jestem wolna, rozumiesz? Nie wtrącaj się w moje życie! Doniosę na ciebie policji i pošlę cię z powrotem do George'a, tam, skąd przyjechałeś!

Wymachiwała mi przed twarzą rękami. Potem wzięła głęboki oddech, jej ręce opadły, głos złagodniał i powiedziała: Wyjdź. Proszę cię, wyjdź. Mam przez ciebie kłopoty.

Delikatnie mnie odepchnęła.

Kim on jest? Jak się nazywa? – pytałem.

*Vas te faire foutre*\*, powiedziała.

Nikt nie będzie podnosił ręki na siostrę George'a i nikt nie będzie przeciw żadnemu z nas wyciągał noża. Znajdę tego twojego Mosze, powiedziałem i wyszedłem z pokoju.

Tak, idź! – krzyknęła, ruszając za mną. I weź to ze sobą.

Rzuciła kopertę.

Idź i zajmij się swoimi sprawami. *Collant de merde!*\*\*.

Wziąłem kopertę i zbiegłem po schodach. W środku był bilet do Kanady. Odlatywałem za sześć dni.

---

\* Odpieprz się (franc).

\*\* Cholerny natręt (franc.).

Spokojnym krokiem wróciłem do hotelu, kiedy zaś dotarłem na miejsce, zwołałem swoich generałów i powiedziałem: Musimy znaleźć tego faceta, i przedstawiłem im swój plan.

W hotelu wysłałem jednego z oficerów, żeby przesłuchał człowieka w recepcji i spytał, czy zdobył informacje na temat numeru rejestracyjnego. Wrócił z odpowiedzią przeczącą. Wraz z pozostałymi oficerami kręciliśmy się w kółko i paliliśmy fajki. Niektórzy z moich ludzi trzymali nogi na stole, eksponując oficerki. W sztabie było gęsto od dymu, na stole zaś leżały mapy ukazujące szczegóły rzek, gór i bezkresnych równin.

Powinniśmy wkrótce zaatakować, zanim ruszycie na nowy kontynent, towarzyszu, orzekł jeden z generałów o siwych, obwisłych wąsach.

Zgodziłem się z nim. Postanowiliśmy zakończyć naradę i udać się każdy w swoją stronę, w oczekiwaniu na wiadomości o lokalizacji wroga.

Przez dwa dni wysyłałem swojego oficera, żeby pytał człowieka w recepcji o informacje na temat numeru rejestracyjnego, ale wciąż dostawałem tę samą odpowiedź: Pracuje nad tym. Wreszcie trzeciego dnia między budynki wojskowe wjechał, ciężko dysząc, posłaniec na koniu. Mamy adres, powiedział.

Otworzyłem list. Samochód był zarejestrowany na firmę Mani i Spółka, Jules Favre, rue de la Commune.

Skrzyknąłem pozostałych rewolucjonistów. Zwołaliśmy naradę, aby ustalić plan ataku.

Udałem się pod wskazany adres i obserwowałem budynek. W końcu zobaczyłem mężczyznę, na którego czekałem. Jechał tym samym samochodem co wcześniej. Zostawił go na parkingu i wszedł do budynku. Odczekałem chwilę, po czym też wszedłem do środka, obserwując z dołu spiralnych schodów, jak jego skórzana kurtka wznosi się ku niebu.

Wróciłem do domu, naradzić się z pozostałymi bojownikami. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka, przygotowując się do ataku. Po południu następnego dnia zszedłem do

piwnicy hotelu. Otworzyłem kontener ze śmieciami i zajrzałem do środka. Potem chodziłem wokół ścian piwnicy w poszukiwaniu odpowiedniego przedmiotu, aż wreszcie znalazłem metalową rurkę, która leżała na ziemi pośród sterty zdezelowanych krzeseł, między połamanym stołem a starym zlewem.

Wziąłem rurkę do ręki, wsunąłem sobie do rękawa i wszedłem po schodach z powrotem do pokoju.

Wezwałem do siebie porucznika i powiedziałem mu, że przyjechała amunicja.

Porucznik przyprowadził konie i jeszcze tego wieczoru pojechaliśmy na teren wroga. Jego samochód był teraz zaparkowany na ulicy. Podeszedłem do niego i zacząłem nim bujać, aż włączył się alarm. Wtedy włożyłem kapelusz, podbiegłem do schodów kamienicy, zacząłem się między piętrami i czekałem, aż drzwi się otworzą.

W słabym świetle księżycy obserwowałem pędzącą po schodach męską sylwetkę. Kiedy facet znalazł się na wprost mnie, naciągnąłem kapelusz na oczy i przytłumionym głosem powiedziałem: *Bonsoir*. Kiedy tylko mnie wyminął, uderzyłem go od tyłu. Zanim miał czas dojść do siebie, podbiegłem do niego i zacząłem go okładać świszczącą rurką. Przeszukałem mu kieszenie, wyciągnąłem portfel, zabrałem z podłogi kluczyki do samochodu. Potem popędziłem po schodach, wskoczyłem na konia i ruszyliśmy galopem po paryskim bruku, podczas gdy w tle wciąż było słychać lamentujący alarm samochodu.

Tej nocy miałem serię koszmarów. W jednym z nich widziałem samego siebie tonącego w ogromnym morzu skurczonym do rozmiarów wanny. Śnił mi się Roland, który wlewał we mnie wino, a potem, kiedy się odwrócił od skwierczącej kuchenki, ujrzałem twarz Rambo mówiącego: „*Ja habub*, odeślemy cię z powrotem do domu”. Kiedy we śnie zbiegałem schodami, zjawił się przede mną George. Uśmiechał się, a w dłoni trzymał pistolet. Stał na schodach oparty o ścianę i kręcił magazynkiem.

Obudziłem się zlany zimnym potem – potrwało kilka minut, zanim zdałem sobie sprawę, że jestem w Paryżu. Popędziłem do drzwi pokoju, aby się upewnić, że są zaryglo-

wane. Następnie zamknąłem na klucz drzwi do łazienki. Usiadłem przy oknie i gapiłem się w ciemność, upewniając się, że Paryż wciąż jest Paryżem.

A jednak fragmenty koszmaru uparcie do mnie wracały i nie mogłem już zasnąć. Myślałem o George'u i wydawało mi się, że lada chwila do mojego pokoju wejdzie Rambo i zaprosi mnie na przechadzkę. Wymyślałem sobie od tchórzy i słabeuszy, próbując zwalczyć strach przed duchem nieżyjącego już potwora. „Martwi nie wracają”, powtarzałem bez końca w myślach.

Przeklinałem Rolanda za to, że kazał mi wyrzucić pistolet. Za wszystko winiłem brak broni. Nie miałem przecież takich snów, kiedy pistolet leżał pod moją poduszką.

Chodziłem po pokoju. Paliłem papierosa za papierosem, bo w podziemnym lochu, mojej sali tortur, najbardziej pragnąłem właśnie zapalonego papierosa.

Przypomniałem sobie, że gdy Rambo przytrzymał mój kark, a zimna woda wpływała mi do nozdrzy, rozmyślałem o paleniu pod wodą. Przypomniałem też sobie, że matka zawsze paliła, gdy podkradała wodę od sąsiadów. Kiedy byłem dzieckiem, widziałem, jak się wspinała po grubych rurach, aby się dostać do zbiornika. Patrzyłem jak zahipnotyzowany, gdy cały jej tułów, włącznie z papierosem w ustach, zniknął za krawędzią metalowej cysterny, a potem cała jej postać znów się ukazywała – z wiadrem pełnym wody w ręku i wciąż zapalonym papierosem w ustach. Przyglądałem się jej przed każdym zanurzeniem – wspinała się na palce niczym baletnica i pokazywała uda mojej małej stojącej niżej postaci, nurkowała po wodę i jak marynarz przeklinała pod nosem swoje pełne poświęceń życie oraz małżeństwo z tym nieudacznikiem i niepoprawnym hazardzistą, moim ojcem. Jej ciche przekleństwa niosły się echem po cysternie.

Wiele lat później ja też, tak jak moja matka, dałem nura do wanny pod okiem oprawcy; zanurzałem tułów, myśląc o niezamoczonych papierosach matki, tej marce, która niczym feniks bezustannie płonie i bezustannie zanika. Kiedy zaś Rambo szeptał mi do ucha, że śmierć już nadchodzi, cieszyłem się, że moi rodzice nie żyją, ponieważ moja śmierć, jak każda inna, powinna być naprawdę śmiercią, końcem wszystkiego – żadnych wspomnień, zdjęć, opowieści czy matczynych łez. Śmierć powinna stanowić ostateczny kres. Cała reszta jest tylko wynikiem ludzkiej próżności i fantazji.

\*

Następnego ranka ulicą jechały, trąbiąc, samochody, nad nimi zaś drżały, przecinając wiatr, flagi jakiejś drużyny piłkarskiej, a ludzie tańczyli na chodnikach, pili i głośno śpiewali. Kiedy otworzyłem okno, hałas wzbił się wyżej; kiedy je zamknąłem, opadł jak prześcieradło, które hotelowa sprzątaczką poprzedniego dnia narzuciła na moje łóżko, podczas gdy ja siedziałem i patrzyłem na nią oraz prześcieradło spływające na łóżko niespiesznie i z gracją, niczym kuropatwa przelatująca nad rozświetlonymi słońcem wodami.

Wodziłem wzrokiem za sprzątaczką, która zniknęła w łazience, po czym wrzuciła ręczniki do kosza. Nie zwracała na mnie uwagi, być może czuła na swojej krótkiej spódnicy moje pożądliwe spojrzenie, może wiedziała, że oczami rozwiązuję jej biały fartuszek. Dziękowałem jej za każdy wyniesiony kubek, każdy podniesiony papierek, każdy skłon, każdy ruch ręki, każdą pogłaskaną poduszkę, każdą fałdę układanej równiutko kołdry. Kiedy poczęstowałem ją papierosem, uśmiechnęła się i powiedziała, że nie pali. Wzięła moją popielniczkę i wysypała jej zawartość do worka na śmieci. Zapytałem, jak ma na imię i skąd pochodzi. A potem wziąłem ją za rękę i zawołałem: Lindo z Portugalii, będę codziennie czekał, aż przyjdiesz do mojego pokoju! Pozwól się gładzić po piersiach, pozwól mi delikatnie opaść na swoje ciało, ona jednak wyrwała mi dłoń i szybko wybiegła z pokoju, pchając swój wózek w stronę windy towarowej, a potem wychyliła głowę przez zamykające się drzwi, żeby się upewnić, że za nią nie idę i nie obejmę jej w talii, nie zaproponuję pieniędzy, nie będę dyszeć do ucha, nie nacisnę w windzie guzika „stop” i nie rozwiążę jej białego fartuszka.

Później do sprzątania mojego pokoju przychodził już starszy mężczyzna. Popychał ten sam wózek i patrzył na mnie wzrokiem mówiącym: Znam cię, znam takich jak ty, drapieżców, przed którymi drżą pomoce kuchenne, ciężko harujące samotne matki, pracujące na czarno imigrantki i małomówne sprzątaczkę. Nie mówił mi dzień dobry i traktował mnie z pogardą, zamieniając miękki lot białych prześcieradeł w samobójcze upadki i katastrofy lotnicze, pozbawiając mnie wytęsknionego miękkiego lądowania, które zdawały się obiecywać dłonie Lindy.

Gdzie jest Linda? – spytałem go.

Odpowiedział wrogim tonem, po francusku, ale z silnym portugalskim akcentem: Niech się pan trzyma z daleka od mojej bratanicy, rozumie pan? Po czym splunął na dywan i z impetem zamknął za sobą drzwi.

Tego dnia otrzymałem zaproszenie od Rhei. Napisała: Wpadnij do mnie, proszę. To ważne.

Poszedłem do niej piechotą. Otworzyła drzwi bez słowa, nawet na mnie nie spojrzała. Usiadłem przy oknie, ona zaś wybrała krzesło stojące w najdalszym kącie pokoju.

Właśnie skontaktowała się z nami ambasada francuska z Libanu, powiedziała. Staraliśmy się załatwić George'owi paszport, oni jednak nie są w stanie go namierzyć. Wysyłali ludzi do jego domu, rozpytywali o niego. Skontaktowali się nawet z kimś z falangi. Nikt nie wie, gdzie może być. Sprawdzili szpitale i kostnice – i nic. Ale ty coś wiesz, prawda? Tak, ty coś wiesz, mam wrażenie, że o pewnych rzeczach mi nie powiedziałaś. Jak sądzisz, co się z nim stało? Nie znoszę tego twojego milczenia. Jaki ty masz wzrok! Nawet nie patrzysz mi w oczy. Nic cię to wszystko nie obchodzi, co? Nie obchodzi cię. Porozmawiaj ze mną. Powiedz coś.

Podniosłem się i skierowałem ku drzwiom. Krzyknęła: Proszę cię, powiedz. Proszę.

Bez słowa wyszedłem z jej domu.

*Bassam! Dis-moi, Bassam. Dis-moi quelque chose, putain\**, krzyczała za mną Rhea.

Ruszyłem nad rzekę. Usiadłem na ławce i patrzyłem na przepływającą wodę i powracające chmury. A potem się zdecydowałem. Wstałem i wróciłem pod dom Rhei.

Nacisnąłem guzik domofonu, ale nikt nie odpowiadał. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i zawołałem ją po imieniu, lecz nadal nie odpowiadała. Czekałem. Przejechało dziesięć tysięcy samochodów, a ja obserwowałem ulicę, wdychając spaliny, aż w końcu jeden z nich się zatrzymał. Rozpoznałem Rolanda; siedział w środku razem z facetem, któremu przywaliłem rurką. Wycofałem się za ścianę i patrzyłem, jak Roland wysiada z samochodu.

---

\* Bassam! Powiedz mi, Bassam. Powiedz mi coś, do jasnej cholery (franc).

Nachylił się jeszcze do okna, wymienili z tamtym kilka słów. Facet w samochodzie skinął głową jak posłuszny pracownik, a Roland poszedł do kamienicy i nacisnął guzik domofonu Rhei.

Teraz już tylko z niecierpliwością głodnego lwa czekałem na ulicach Paryża na nadejście nocy. Padało, ale ja dalej czekałem, obserwując kolejne gasnące światła, każdy promień, który powolutku znikał po drugiej stronie kuli ziemskiej. Kiedy zaś spod rzeki uniosła się w górę noc, popędziłem w kierunku mostu, przy którym zostawiłem pistolet. Zobaczyłem migoczący płomień ogniska i dwóch starszych mężczyzn z butelką wina, którą tulili w zniszczonych dłoniach i przytykali do bezzębnych ust. Poszedłem prosto do linki, którą tam zostawiłem, i pociągnąłem za nią, lecz ciężar pistoletu stawiał mi opór. Walczyłem z dziesięcioma tysiącami diabłów, które trzymały drugi koniec linki. Wszystkie liczyły do trzech i razem ciągnęły w przeciwną stronę, jednostajnym ruchem płynących po rzece fal. Owinąłem sobie linkę wokół ręki i ciągnąłem z całej siły, ale diabły tylko śmiały się ze mnie zachrypłymi, złośliwymi głosikami, aż trzęsły im się zarośnięte, garbate grzbiety i nieupierzone skrzydła. Cieszył je widok mojego rozpaczliwego zapierania się o kamienie rzeki i metalowe pręty, przestępowania z nogi na nogę i zawieszenia nad ciemną wodą.

Wszedłem do rzeki, zanurzając stopy w tańczące na tafli odbicie ogniska tamtych dwóch. Brodziłem, próbując wyciągnąć linkę spod obciążającego ją piasku i nieustępliwych śmieci. Zbliżałem się ku dziesięciu tysiącom istot żyjących poniżej brzegów rzeki, woda zaś powiększyła mi stopy, upodabniając mnie do wojownika olbrzyma, krocącego nieustraszenie ścieżką prosto do piekła. Pomału uwolniłem linkę od ciężaru otwartych puszek, które brzęczały jak metalowe krzyże, i odpędziłem demony. Dałem nura w wodę, a mężczyźni na brzegu patrzyli, jak znikam. Krzyczeli do mnie, żebym wrócił na brzeg, błagali, żebym zmienił zdanie i nie słuchał nurtu rzeki ani diabolicznych syren. Ja jednak gołymi rękami wkopałem się w dno rzeki i wyciągnąłem zawinięty w plastik kawałek metalu, znów czując ciężar swojego pistoletu. Wsadziłem go sobie pod pachę, po czym ruszyłem w stronę wypolerowanych kamieni nabrzeża, o które pocierałem linkę tak długo, aż pękła, a mój pistolet stał się wolny.

Unosząc się nad mokrymi ulicami, z bronią w ręku wkroczyłem w bramy miasta.

Przesiąknięty wodą szedłem po kałużach, a z chmur lały się na mnie strugi deszczu.

Przykryłem pistolet kurtką i wróciłem do hotelu. Zanim recepcjonista zdążył wydusić ze mnie wyjaśnienie, dlaczego jestem taki mokry, popędziłem schodami do swojego pokoju. Zabarykadowałem drzwi krzesłem, na którym zaraz powiesiłem przemoczone ubranie zmarłego. Wziąłem ciepły prysznic, włożyłem stare ubranie, ukradłem mydło z łazienki, spakowałem się i wyslizgnałem schodami do piwnicy, a potem przez kuchnię wyszedłem z hotelu w małą boczną uliczkę.

Już nie padało.

Przez pół nocy jeździłem metrem bez celu. Patrzyłem na drzwi, które otwierały się i zamykały, podczas gdy pociąg połykał ludzi i przenosił ich z miejsca w miejsce. Siedziałem w rogu wagonu, tak jak to miał w zwyczaju George. Siadaj zawsze plecami do ściany, mówił, i miej pistolet pod ręką.

Po północy metro przestało jeździć, a ja wysiadłem byle gdzie. Zastanawiałem się, czy nie zostać na stacji, ale policja robiła tam regularne obchody. Spacerowałem więc, a gdy ogarniało mnie zmęczenie, siadałem w małych uliczkach za drzwiami restauracji. Paliłem i liczyłem ściekające po ścianach i pełznące w świetle latarni krople deszczu.

Rano zadzwoniłem do hotelu. Postanowiłem zostawić Lindzie napiwek i przeprosić za pożeranie jej pożądlivym wzrokiem i natarczywe spojrzenia. Czy Linda dziś pracuje? – spytałem.

Linda?

Tak, ta sprzątaczką.

Po chwili ciszy głos znów się odezwał: Nie, dziś jej wuj ma zmianę.

O której kończy pracę?



W południe.

W południe czekałem na ulicy przed hotelem.

Kiedy zobaczyłem starego, poszedłem za nim. Trzymał pod pachą torbę i szedł ze spuszczoną głową, blisko ściany, zdawał się liczyć kamienie brukowe pod stopami.

Szedłem za nim i zawołałem: *Señor! Señor!*

Stary zatrzymał się i odwrócił. Nie rozpoznał mnie.

Powiedziałem: *Señor*, jestem tym człowiekiem z pokoju 201.

Odwrócił się z powrotem i ruszył dalej. Szedłem za nim jak pies, zwieszając głowę i wyczekując jego wzroku.

*Señor*, chciałbym z panem porozmawiać.

Nie odzywał się.

*Señor*, chciałem tylko powiedzieć, że żałuję tego, co powiedziałem Lindzie.

Zatrzymał się, spojrzał mi w oczy i powiedział: Wszyscy sobie wyobrażacie, że możecie wykorzystać każdą ubogą, ciężko pracującą dziewczynę.

Nie, *señor*. Mam dla niej wielki szacunek.

Szacunek, powtórzył. Przez chwilę milczał, po czym dodał: Przestraszyła się. Cały czas ma do czynienia z mężczyznami takimi jak pan. Poprzedniej nocy jakiś staruch zabawił się swoim małym. Wiedział, że ona wejdzie posprzątać, kiedy więc zapukała, specjalnie nie odpowiadał. To dobra dziewczyna, a wy wszyscy... Powiedział coś niezrozumiałego po portugalsku i ruszył w swoją stronę.

*Señor*, zawołałem. Proszę przekazać Lindzie pozdrowienia i wyrazy szacunku. Proszę jej powiedzieć, że jest mi przykro i że jest piękną dziewczyną.

Nie.

Proszę, *señor!* – mówiłem, idąc za nim dalej jak piesek.

Młody człowieku, przyjeżdża pan sobie tutaj i nic pan nie robi. Ja w pana wieku wyjechałem z Portugalii. Wziąłem do siebie Lindę, gdy jej ojca wykończył Salazar. Ciężko pracowałem, żeby ją tu wychować, i wyrosła na dobrą dziewczynę. Nie jest pan wart nawet włosa z jej głowy! Machnął rękami z rezygnacją.

Owszem, *señor*, jestem. Ja też mam swoją wartość. Mam.

Nie, pan ma raczej kłopoty.

Dlaczego pan tak mówi, *señor*?

Wczoraj była w hotelu policja. Przeszukiwali pana pokój.

Policja?

Tak, dwóch policjantów.

Jest pan pewien, że to byli policjanci, *señor*?

Niech pan już sobie idzie i przestanie za mną łązić!

Czy jeden z nich miał na głowie bandaż, *señor*?

Niech pan sobie idzie.

Miał bandaż na głowie? Proszę mi powiedzieć.

Tak! A teraz niech pan już sobie pójdzie.

Dziękuję panu, *señor*, i proszę powiedzieć Lindzie, że będę zawsze pamiętać jej piękne okrągłe oczy i wdzięk, z jakim zmienia prześcieradła. Proszę jej powiedzieć, że będę się ubierać na czarno, w kolorze jej długich rzęs.

*Conyo*, zaklął stary i uniósł pięść, po czym poszedł przed siebie, dalej licząc kamienie brukowe i mruczając coś do ścian budynków; zszedł do metra, rzucając niosące się echem przekleństwa oraz spluwając na ziemię.

Zadzwoiłem do Rhei.

Nie dzwoń do mnie więcej, powiedziała. Albo zadzwoń, kiedy będziesz gotowy powiedzieć mi coś sensownego. Męczy mnie twój upór i cała ta tajemniczość.

Mam się spotkać z Rolandem u niego w domu, zanim wsiądę w ten samolot do Kanady, ale zgubiłem adres, skłamałem.

Rue Fouchons 35, powiedziała i natychmiast się rozłączyła.

Wsiadłem w metro, po czym poszedłem do mieszkania Rolanda. Stojąc po drugiej stronie ulicy, obserwowałem wejście do budynku. Niebawem zobaczyłem, jak podjeżdża samochodem facet, któremu przywaliłem rurką. Zaczekałem, aż wyrzuci Rolanda i odjedzie, a potem ruszyłem w stronę drzwi i wszedłem do kamienicy za Rolandem. Wyciągnąłem pistolet i przytknąłem go do jego pleców.

Chodźmy na herbatkę, powiedziałem.

Roland pomału się odwrócił, a gdy mnie zobaczył, uśmiechnął się.

A, *voilà*, to ty. Szukaliśmy cię ostatniej nocy. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem dziś nie wyjeżdżasz.

Wiem. Dlatego tu jestem.

Roland zdjął płaszcz i rękawiczki. Po co ci ten pistolet? Chodź, usiądź sobie, powiedział do mnie spokojnie. Wszedł do salonu i usiadł.

Zająłem krzesło w rogu. Opuściłem rękę, ale nie wypuszczałem z niej pistoletu.

Jesteś kompletnym idiotą, powiedział Roland. Posłuchaj, dam ci jeszcze jedną szansę, ale już ostatnią. Odłóż ten pistolet.

Podniosłem rękę i wycelowałem prosto w jego twarz. To chyba ja mogę tobie dać szansę, powiedziałem.

W porządku. Pokiwał głową.

Ten facet z zabandażowaną głową pracuje dla ciebie, powiedziałem.

Mosze? Tak, pracuje.

To ty mu kazałeś pobić Rheę? – spytałem.

To wzduszające, że się tym przejmujesz. Siedz spokojnie i nie zachowuj się jak głupi romantyk.

Czemu kazałeś ją pobić? – pytałem dalej.

Bo ona należy do mnie. Rhea zawsze należała do mnie, odkąd skończyła piętnaście lat. Jej ojciec dla nas pracował. Rozumiesz? Ojciec Rhei pracował dla nas. Po jego śmierci zaopiekowałem się nią. Jej matka jest zakupoholiczką, to pusta dama z towarzystwa. Rhea była zaniedbaną nastolatką. Słuchaj, chłopczyku, wkraczasz na niebezpieczny teren. Ale dobra wiadomość jest taka, że czegoś od ciebie potrzebujemy.

Nie mam wam nic do zaoferowania, powiedziałem.

Chcemy się od ciebie dowiedzieć, co się stało z George'em.

A co was obchodzi George?

Pracował dla nas.

Dla was?

Tak, dla nas. Dla Mossadu. Zrekrutowaliśmy go, kiedy wyjechał do Izraela. George wie wszystko o swoim ojcu. Podejrzewaliśmy, że Abu Nahra będzie się otwierał na współpracę z Syryjczykami. Teraz, po zabójstwie Ar-Rajjisa, zapewne jeszcze bardziej się do nich zbliży. Ar-Rajjis był naszym człowiekiem w Bejrucie Wschodnim. Uzbrajaliśmy jego żołnierzy, szkoliliśmy ich, podsyłaliśmy im strategię walki. No a George miał oko na Abu Nahrę, zbliżył się do niego. Abu Nahra mu ufał.

George był agentem?

Tak. I to bardzo dobrym i bystrym. Ty też powinieneś taki być, mój chłopcze. Dobry i bystry. Powiedz nam, gdzie jest George. Wiemy, że ostatni raz go widziano, gdy zatrzymał cię pod twoim domem i zaproponował, że cię podwiezie. Chciał ci zadać kilka pytań na temat twoich powiązań z zabójstwem Ar-Rajjisa. Wiemy o wszystkim. Mamy wśród tych chrześcijan swoich ludzi. Wystarczy zapytać. Jedyna twoja nadzieja to zacząć z nami rozmawiać. Nigdzie nie wyjedziesz bez naszej zgody. Rozumiesz?

Jak dużo wie o tym wszystkim Rhea?

Bardzo niewiele, powiedział Roland. Tylko tyle, że chcemy się od ciebie dowiedzieć więcej na temat George'a.

A moja kanadyjska wiza?

Zatrzymano by cię na lotnisku w Paryżu i aresztowano pod zarzutem fałszerstwa... My byśmy wówczas zainterweniowali i dali ci opcję zwolnienia z aresztu i dobrego prawnika, pod warunkiem że nam powiesz, co tak naprawdę stało się z George'em. Siedziałbyś w więzieniu. Nie można sobie wymarzyć lepszego miejsca, żeby mieć cię na oku, co? A gdybyś nie chciał mówić, przysłalibyśmy ci jakiegoś milutkiego koleśka, żeby się z tobą zaprzyjaźnił – wiesz, co mam na myśli. Jesteś w tej grze zaledwie płótką, ciągnął Roland. Dam ci kilka minut na zastanowienie. Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, połóż pistolet tu na stoliku. Może będziemy mogli coś dla ciebie zrobić, ale jeśli nie będziesz mówił, to nigdzie nie wyjedziesz, możesz mi wierzyć.

Wstałem, wycelowałem pistolet w jego twarz i powiedziałem: Ręce za głowę.

Posłuchał.

Przeszukałem mu kieszenie i zabrałem portfel i okulary przeciwsłoneczne. W portfelu było kilkaset franków, które schowałem do kieszeni.

Na podłogę, warknąłem.

Za chwilę będą tu moi ludzie, powiedział Roland. Daję ci ostatnią szansę.

Nie ruszaj się, bo będę strzelać, warknąłem.

Jesteś tylko drobnym złodziejaszkiem! Jesteś kompletnym idiotą, krzyczał Roland, leżąc na dywanie.

Nadepnąłem na jego okulary, aż pękły z trzaskiem. Potem podbiegłem do telefonu stojącego na stoliku i wyciągnąłem kabel z gniazdka. Związałem nim ręce Rolanda i wyjąłem mu z kieszeni klucze do mieszkania. Podeszedłem do drzwi i powoli je otworzyłem. Kiedy zobaczyłem, że nikt za nimi nie stoi, zamknąłem je za sobą i przekręciłem klucz w zamku.

Zbiegłem po schodach na ulicę, a potem bocznymi uliczkami przemknąłem do kamienicy Rhei.

Kiedy dotarłem na miejsce, zadzwoniłem do niej z budki po drugiej stronie ulicy.

Przecież ci mówiłam, żebyś już do mnie nie dzwonił! – powiedziała Rhea. A poza tym powinieneś się chyba spieszyć na samolot?

Chcę ci teraz opowiedzieć o George’u, oznajmiłem.

Przez chwilę milczała. Potem się odezwała: Powiedz.

To nic przyjemnego, powiedziałem. Nie jest to dobra wiadomość. Stoję po drugiej stronie ulicy. Wpuść mnie.

Kiedy się zgodziła, wszedłem na jej piętro po schodach. Nie miałem ochoty czekać, aż metalowa winda zawiezie na górę moje walące jak młotem serce.

Rhea otworzyła drzwi zapłakana. Objęła mnie, ale zaraz potem, jak gdyby zdawała sobie sprawę, że stoi przed nią posłaniec śmierci, zrobiła krok w tył i zakryła dłonią usta.

Przez cały czas wiedziałeś, co się stało z George’em, powiedziała.

Ostatni raz widziałem się z nim tuż przed wyjazdem, wyjaśniłem.

Skinęła na mnie ręką, zapraszając do środka. Gdy wszedłem, odwróciła się ze szlochem. Położyłem dłoń na jej plecach, ona jednak potrząsnęła głową. Trzymając Rheę za ramiona, obróciłem ją powoli w swoją stronę. Wciąż płakała, po jej twarzy lały się łzy.

George był moim bratem, powiedziałem.

Wzięłem głęboki oddech, a potem zacząłem mówić jednym tchem. Kiedyś wzięliśmy strzelby i pojechaliśmy w wysokie góry. Zamieraliśmy jak węże, trzymając w górze lufy i jadowity proch. Staliśmy bez ruchu i obserwowaliśmy gałęzie, czekając, aż któraś się ugnie pod ciężarem pióra lub pieśni godowej. Wkrótce udało nam się zranić małego ptaszka. Trzymałem go w ręce.

Zabij go, jeśli jeszcze żyje, powiedział George. Zabij go!

Ja jednak nie mogłem się przemóc, żeby zabić ptaszka. Jego dzióbek bezgłośnie się otwierał i zamykał, jak gdyby prosił mnie o wodę. Trzymałem go na rozłożonej dłoni, a jego oczy pomału się zamykały.

Zabij go! Czemu się gapisz na zranionego ptaka? Zabij go i przerwij jego cierpienie. Wykończ go. Twój brat był wyraźnie poirytowany.

Ja jednak czekałem, aż ptak znów wzbije się w niebo.

George wyrwał mi z dłoni zranionego ptaszka. Położył go na kamieniu, a potem kilka razy uderzył w jego główkę kolbą strzelby, po czym poszedł dalej, szukając następnych ofiar.

Dlaczego mi opowiadasz tę historię? – spytała Rhea.

George i ja zabijaliśmy nie tylko ptaki.

Ludzi też?

Tak, pokiwałem głową, po czym opowiedziałem jej o zabójstwie Chalila i o naszych przekrętach w kasynie, kłótniach bez słów i wstąpieniu George'a do falangi. Opowiedziałem jej o *monsieur* Laurencie, o Nicole i torturach, jakim mnie poddawano.

Rhea słuchała oparta o zlew, czasem patrząc mi prosto w oczy, a czasem wpatrując się w sufit lub podłogę. W końcu powiedziała: No dobrze, opowiadasz mi to wszystko, ale gdzie George jest teraz?

Nie odpowiedziałem wprost, tylko zacząłem mówić o masakrze w obozie dla uchodźców. Opisałem jej to, co George mi mówił o światłach, psach, ptakach, stosach gnijących ciał, siekierach i rzekach krwi.

Mówiłem, a Rhea kręciła głową z niedowierzaniem. W końcu mi przerwała, krzycząc: Dobrze, już wystarczy. Nie wiem. Nie wiem, po co musiałeś tu teraz przyjść i mi to wszystko opowiadać. Znów potrząsnęła głową. Tak długo czekałeś, żeby ze mną porozmawiać. Myślisz, że to jakaś gra? Czekałeś i czekałeś, ale gdzie jest teraz mój brat? Opowiadasz mi te wszystkie rzeczy, a ja nawet nie wiem, czy to prawda, czy nie. Nie znamy cię. Nie wiem, kim jesteś. A ty sobie przychodzisz i opowiadasz mi takie straszne rzeczy.

Nie zwracałem uwagi na jej krzyki. Nie zwracałem uwagi na jej nieduże oczy, drgające mięśnie policzków, brązową sukienkę. Nie zwracałem uwagi na jej protesty, a kiedy próbowała wyjść z kuchni, zatrzymałem ją i przycisnąłem do kuchennego zlewu. Opowiedziałem jej o wieczorze, kiedy jej brat zabrał mnie pod most.

To jest wszystko strasznie zagmatwane, protestowała Rhea. Twoje opowieści nie mają sensu. Nie znam tych ludzi, o których mi opowiadasz. Przychodzisz sobie tutaj i każesz mi tego wszystkiego słuchać. Muszę wyjść, powiedziała. Proszę, puść mnie.

Lecz ja nie znałem litości.

Siedzieliśmy w samochodzie pod mostem, mówiłem. Kłóciliśmy się. Przyjechał, żeby zawieźć mnie do kwatery głównej falangistów, tuż przed moim wyjazdem z Libanu. Zabrał mnie swoim samochodem. Nie chciałem z nim jechać, ale on mnie pocałował i nazwał swoim bratem. Postawił mnie w takiej sytuacji, że musiałem wsiąść do samochodu, a on pojechał ze mną pod most Naba. Twojego brata przysłano, żeby mnie sprowadził z powrotem do sali tortur i żeby potem mnie wreszcie zabito. Powiedział jednak, że da mi szansę. Bawił się pistoletem. Włożył do bębena trzy kule, po czym zakręcił. Uśmiechnął się i powiedział: Daję ci szansę.

Wyjąłem mu pistolet z ręki i zanim zdążyłem mrugnąć, zanim zdążyłem pomyśleć o morzu, statku, nowych miejscach, w których tak bardzo chciałem się znaleźć, przyłożyłem sobie pistolet do głowy i pociągnąłem za spust. Pstryknęło, ale nie wystrzelił.

Położyłem pistolet na siedzeniu obok siebie. Twój brat się uśmiechnął. Powolnym ruchem wziął go do ręki. Nie bał się, nie, był zupełnie opanowany, bez cienia strachu, jak zawsze. Wziął pistolet do ręki. Potem odwrócił do mnie twarz i uśmiechnął się, a broń wystrzeliła.

Rhea zakryła usta dłonią i próbowała się wyrwać z mojego uścisku. Wiedziałaś o tym, mówiła. Wiedziałaś. Ale...

Odepchnąłem ją i powiedziałem: Pochowałem go tam, na miejscu. Pochowałem go pod mostem. Pistolet opadł na moje stopy, a ciało George'a zsunęło się na mnie. W głowie miał otwartą ranę. Kula przeszła na wylot, rozdzierając mu twarz z drugiej strony, u wylotu zwiślał



kawałek mózgu. Przednia szyba była cała we krwi. Po szkle spływały na tablicę rozdzielczą czerwone strużki, jak deszcz. Siedziałem w środku i patrzyłem na domy i przejeżdżające samochody, powoli pogrążające się w czerwonym deszczu. Włosy De Niro rozsypały się na moich kolanach. Głaskałem go po tych włosach. Głaskałem.

Niewiele myśląc, pogłaskałem Rheę po włosach. Zamarła, przerażona.

Trzymałem ją mocno za ramiona i mówiłem dalej: Pochowałem go pod mostem. Przeciągnąłem go nad odpływem ścieków, ku stercie kamieni. Ułożyłem go obok niej. Wziąłem pierwszy duży kamień, jaki miałem pod ręką, i położyłem przy jego głowie. Po drugiej stronie położyłem następny. Otoczyłem go kamieniami, a potem wróciłem do samochodu, przyniosłem jego pistolet i karabin i położyłem u jego boku. Przykryłem go mniejszymi i większymi kamieniami. A potem nabierałem w złożone dłonie piasku i wypełniałem szczeliny między nimi. On jest tam. Twój brat jest tam, pod tym mostem.

Chciałaś wiedzieć, gdzie on jest? Posłuchaj, powiedziałem. Słuchaj dalej. Wróciłem do samochodu. Usiadłem na siedzeniu kierowcy. Przednia szyba była cała zalana krwią. Próbowałem zetrzeć ją dłonią, ale od tarcia tylko mętniała, zdawała się gęstnieć, tworzyły się na niej długie, szerokie smugi. Krew szybko wysycha i ciemnieje, potem coraz trudniej ją usunąć. Wróciłem więc do hałdy, zgarnąłem jeszcze trochę piasku i próbowałem przetrzeć nim szybę. Wtedy wszystko zamieniło się w czerwone błoto, jak w tej mitycznej rzece w naszym kraju. A ja chciałem tylko widzieć przed sobą drogę, rozumiesz. Chciałem tylko widzieć coś więcej oprócz tego przeklętego miasta. Chciałem po prostu wyjechać.

Rhea spojrzała mi w oczy i próbowała uwolnić ramię, ja jednak chwyciłem ją za dłonie i powiedziałem cicho: Proszę, pozwól mi skończyć.

Nieznacznie pokiwała głową. Czuję, jak jej ciało słabnie i lekko opada, kolana jej się uginały i prawie dotykały moich.

Zbiłem szybę, powiedziałem. Wróciłem do sterty kamieni i wybrałem największy, jaki byłem w stanie unieść. Położyłem go na masce samochodu. Wszedłem do środka, wyjąłem z torby kurtkę i położyłem ją na siedzeniu kierowcy. Wszedłem znów na zewnątrz i

wskoczyłem na maskę. Podniosłem kamień i cisnąłem nim o szybę, która rozbiła się na milion kawałeczków.

Uniosłem kurtkę leżącą na siedzeniu kierowcy i rzuciłem ją pod niebo, pozbywając się odłamków. Otaczało mnie dziesięć tysięcy błyszczących, czerwono-zielonych diamentów. Zaśmiałem się. Potem szybko odjechałem, a wiatr wiał mi prosto w oczy. Jechałem, wiatr trzepotał moją koszulą, a z moich oczu płynęły łzy, choć nie płakałem. Wiatr smagał mnie po twarzy, przez co miałem wrażenie, że znów ktoś mi wypycha głowę pod wodę. Z trudem łapałem powietrze, wydychając zarazem zapach krwi. A potem krew na moich rękach zaczęła gęstnieć. Nie dało się jej ukryć, była przed moimi oczami. Przejmowała kontrolę nad kołami i samochodem, zaczęła zajmować kolejne pasy jezdni, wyprzedzać samochody i ciężarówki. Krew na moich rękach kołysała samochodem, aż traaciłem nad nim panowanie. Musiałem się jej pozbyć.

Skreściłem w wąską pylistą drogę i jechałem przez zieloną łąkę, aż dotarłem do morza. Zostawiłem samochód i pobiegłem do skalistego brzegu. Wszedłem do wody i zacząłem zmywać z siebie grzechy, cały ten płonący kraj i wszystkich, których kochałem. Morze przybrało zaś kolor purpury, przypominający barwę agatów, jakich kiedyś pełno było na wybrzeżu. Krew krzyczała głośniejsz niż mewy, głośniejsz od starożytnych najeźdźców. Zanurzyłem głowę w falach i płukałem włosy. Za mną kołysały się kamyki, a małże zamykały się z trzaskiem. Siedziałem między ziemią a morzem i zwymiotowałem wszystko, czego nie zjadłem, wypluwając z siebie żółć, która łączyła się z morską pianą i razem z nią rozbijała o potężne skały.

Po chwili wróciłem do samochodu i zdjąłem ubranie. Otworzyłem torbę i przebrałem się w to, co miałem spakowane na drogę.

Potem stamtąd odjechałem, nie myśląc już o George'u. Rozumiesz? Rozumiesz? Chciałem tylko wyjechać, unosić się na morzu.

Cofnąłem się na krok od Rhei. Nie miałem jej nic więcej do powiedzenia.

Nie odwróciła się wtedy ode mnie, ale ja zostawiłem ją tam, zalaną łzami. Zbiegłem po schodach i ruszyłem ulicami Paryża.

Poszedłem piechotą na dworzec kolejowy. Padał deszcz, pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały, pasażerowie wsiadali i wysiadali.

Kobieta w kasie biletowej zapytała: *Monsieur, où allez-vous aujourd'hui?*\*

Do Rzymu, powiedziałem. Do Rzymu.

---

\* Dokąd pan dzisiaj jedzie, proszę pana? (franc).

## **Podziękowania**

Chciałbym podziękować za wsparcie Kanadyjskiej Radzie do spraw Sztuki oraz Conseil des arts et des lettres du Quebec. Chciałbym również podziękować Lisie Mills za jej obecność, przyjaźń i wsparcie podczas mojej pracy nad tą książką i po jej ukończeniu. Dziękuję Johnowi Asfourowi za przyjaźń i bardzo cenne wskazówki. Dziękuję też mojemu wydawcy, Lynn Henry, wszystkim ludziom z wydawnictwa Anansi oraz Marcie Sharpe za zakup rękopisu i stałe wsparcie. Dziękuję moim braciom i rodzinie: Markowi, Merdadowi, Ralphowi, Gigiemu i Ramziem. Szczególne podziękowania otrzymują Dima Ayoub, Leila Bdeir, Laurence Cailbeaux i Jesh Hanspal, Nick Chbat, Tina Diab, Jocelyn Doray, Julia Dover, Eva Elias, Majda El-Omari, Erin George, Kathryn Haddad, Mansour Harik, Nasrin Himada i Raphaelle Beaulieu, Magdalona Gombos, Aida Kaouk, Sandra Khoury, Johanna Manley, Ramzi Moufarej, Nehal Nassif, Maire Noonan i Antoine Boustros, Miłosz Rowicki, Babak Salari, Julian Samuels, Pascale Solon, Laurelle Spren-gelmeyer i Shannon Walsh.

Wszelkie podobieństwo bohaterów powieści do osób żyjących lub zmarłych jest wyłącznie przypadkowe.